NOWELE.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
201896

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI
(CHOCHLIK).

NOWELE.

Serya II.

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1894.

201896

W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

DYABLE WIANO.

Nowela fantastyczna.

Nawet i dyabłu może się zdarzyć przypadek...

Mądra to szelma, przezorna i — jak to mówią — kuta na wszystkie cztery, chociaż wiadomo, że jegomość ten dwoje ma rąk, a jednę tylko stopę i jedno kopyto, tak, iż kto wie, czy w Pacanowie nawet, gdzie przecie kozy kują, umianoby go podkuć na wszystkie cztery, »jak się patrzy.«

Więc też powierza dyabeł kucie swych kończyn wyłącznie tylko majstrowi z piekła, i dlatego to właśnie zdarzają mu się niekiedy przypadki. Bywa albowiem, że mu się jedna lub druga podkowa obluzuje na tej śliskiej drodze, po której zwykle chadza ladaco; a że piekielnych majstrów nie ma wtedy pod ręką, żaden zaś kowal ziemski (niechaj to czytelnikom, uprawiającym to sławetne rzemiosło, nie ubliża!) nie jest w stanie naprawić mu obuwia, więc też kuleje dyablisko — sztykul! sztykul! — ślizga się i potyka co chwila, aż wreszcie — brzdęk! — pada jak długi... Piekło się wówczas trzęsie ze złości, zaś aniołkowie śmieją się do rozpuku i trzepoczą skrzydełkami z uciechy!...

Bywa także czasami, że dyabeł, aczkolwiek sprytny i przezorny kanalia, coś przeoczy, że o czemś zapomni, lub że wreszcie coś zgubi w podróży. Zdarza mu się to zwykle, gdy łyknie za wiele smoły gorącej na śniadanie, lub gdy się zawieruszy w towarzystwie młodej jakiej czarownicy. Wszelakoż przypadki dyabelskie tego rodzaju mają to do siebie, że jemu samemu (to jest dyabłu) nie przynoszą szkody, a ludziom z nich nie wyrasta nigdy pożytek... Wiadomo przecież, że i »dyabli kaftan« nie cieszy i nie grzeje tych, którym się dostanie w udziale...

... Owóż, niedawno temu, bo w sam dzień wigilii Nowego Roku, wybrał się imćpan dyabeł do Warszawy, z torbą pełną noworocznych podarunków dla swej warszawskiej klienteli. Po drodze wstąpił do swej kumy, młodej, a w kunszcie swym wytrawnej czarownicy, która go przyjęła wspaniałym obiadem. Było tam pieczone serce bezlitośnego skąpca, były paszteciki z móżdżku bezdusznej zalotnicy, były marynowane żądła zjadliwych plotkarek, była galantyna ze starej ropuchy, był wreszcie olbrzymi *bowle* smoły, płonącej żółtym płomieniem — słowem uczta jakich mało — rozumie się uczta dla dyablego podniebienia!..

Dyabeł, łakomy, jak wszyscy dyabli, nie dał się długo prosić swej uprzejmej gospodyni. Jadł za czterech dyabłów, pił za ośmiu, aż wreszcie spił się tak, jak to dyabli spić się umieją. Poczem — i tutaj właśnie na jaw wychodzi złośliwa dyabelska natura — nie poszedł za świątobliwym ojca Noego przykładem i nie udał się »do arki« na spoczynek, lecz wziąwszy swą torbę podróżną, podążył ku Warszawie, by tam czemprędzej zanieść zgubne swe podarunki.

Późno już było, gdy wszedł do miasta. Drobny śnieżek prószył, siekąc go jakby igiełkami po twarzy. Zdumionem okiem powiódł po ulicy, na której piętrzyły się kupy pozmiatanego śniegu.

— Czy to Warszawa, czy nie Warszawa? — mruknął, nie mogąc się zoryentować.

Podszedł ku tablicy, która tam wisiała na rogu wielkiego jakiegoś budynku, oświetlona blaskiem gazowej latarni i odczytał napis na niej widniejący.

— Tak, to Warszawka! — szepnął uspokojony. — Ano, spiłem się, nie ma co mówić... A wszystkiemu winna ta szelmutka!... Ciągle tylko dolewa, a prosi: »pij lubciu, pijże serce moje!...« Któżby nie pił, kiedy smoła taka dobra, a ona tak prosi, by jej nie odmawiać?

I pogwizdując walczyka z *Nietoperza*, podążył w stronę miasta, gdzie miał złożyć swe dary.

Ale trunek piekielny mroczył mu głowę i płatał chwiejące się nogi. Śniegowe góry wyrastały raz wraz, jakby z pod ziemi i zastępowały mu drogę co chwila. Wymijając je, a unikając spotkania nocnych stróżów, by przypadkiem który nie dostrzegł końskiego kopyta, zabłąkał się dyablisko w tym śnieżnym labiryncie, tak, iż po całogodzinnej wędrówce znalazł się znowu na miejscu, z którego pochód swój rozpoczął. Co gorsza, spostrzegł, iż torbę zgubił w tej podróży.

— Do dyabła! — zaklął bezbożnym dyabelskim obyczajem. — Nie będę mógł obdarzyć przyjaciół mych przy Nowym Roku!... Gotowi jeszcze pomyśleć, żem o nich zapomniał.

Zanadto dobrze jednak znał ludzką naturę, by się długo martwić tą stratą, na której ostatecznie, jako dyabeł, mógł tylko zyskać jeszcze. Wiedział, iż przyjaciele jego potrafią broić i bez jego pomocy, oraz że ten, co torbę znajdzie, nie omieszka obrócić zawartych w niej upominków piekłu na pożytek. Więc też nie tracąc czasu, rozpostarł poły swego płaszcza i kazał się wiatrowi zanieść z powrotem do swej młodej czarownicy.

Niechajże tam sobie siedzi!... Przyjemnej zabawy!...

*

Podczas, gdy imćpan dyabeł urządzał powyższą »rozdobędę«, siedziało w pewnym szynku na placu Grzybowskim kilku szewców, pijąc piwo z »harakiem« i rozmawiając o dziurach i łatach tego tandetnego świata.

— A ja wam padam, co ten świat jest jak but podarty — mówił dobrze już cięty kum Onufer. — Cholewa jeszcze niczego: może wytrzymać... Ale reszta, to nic wart, to same dziury!...

— Cha, cha, cha!... Same dziury! — zaśmiali się jego towarzysze.

— Tu nie pomogą żadne przyszczypki — prawił dalej wymowny Onufer. — Tu nawet i zelówka nie pomoże... Trzeba dać całe podszycie: nowy wierzch i nowy spód!

— Dobrze mówi Onufer — potwierdzili szewcy — nowy wierzch i nowy spód!

— Nu, a kto będzie tym wierzchem? — spytał pan Chaim Papiermacher, przysłuchujący się od dłuższej chwili z za szynkwasu tej rozmowie.

Kum Onufer podparł się ręką pod bok, patrząc na szynkarza zamglonemi oczyma.

— Juścić nie żydzi — odparł z powagą.

— Cha, cha, cha!... Oto mu uciął — zabrzmiało dokoła.

— Ja sze nie pytam, kto nie będże, tylko kto będże? — rzekł, nie zrażając się pan Chaim.

— A któż ma być wierzchem?... Wierzchem będą szewcy — tłumaczył Onufer.

— A krawcy? — zapytał krawiec, siedzący przy drugim stole.

— I krawcy także — zapewnił wspaniałomyślnie zagadniony.

— A mosiężnicy? — ozwał się głos jakiś od lady.

— I mosiężnicy!... Wierzchem będą wszyscy rzemieślnicy — objawił łatacz spółczesnego porządku. — A żydzi pójdą pod spód.

— Sprawiedliwie mówi, cha, cha, cha!... Dalibóg sprawiedliwie — przytwierdzono ze wszystkich stron.

— No, a jeżeli żyd jest szewcem, albo mosiężnikiem? — zagadnął znowu pan Chaim — co z nim bendże wtedy?

— Co ma z nim być? — odparł pan Onufer. — Pójdzie pod spód!

— Cha, cha, cha! — parsknęli śmiechem słuchacze.

— Wiecie co, panie Onufer? — rzekł na to szynkarz — to wielgie szczęście, co ten szwat nie jest podartym butem i co wam go nie oddadzą do reperacyi, bo wybyście całkiem sfuszerowali tę robotę... Na moje sumienie, coby wtedy bulo jeszcze gorzej, jak jest.

— O, widzicie go! — zaśmieli się znowu szynkowni goście.

— Cha, cha, cha! ja wiem, coby gorzej było, ale tylko dla was — szydził Onufer.

— I dla nas i dla was i dla wszystkich — odparł pan Chaim.

— Dlaczego? — zawołało kilka głosów.

— Widzicie panowie to jest taki interes — jął mówić szynkarz. — Dekarz, albo kominiarz, to woni chodzą po dachu, jak sprawiedliwy kot.... Woni nie spadną ztamtąd i w głowie im sze nie kręczy, choć wysoko, a czasami ślisko, co aż strach... A wiecie panowie, dlaczego?... Dlatego, co dekarz, albo kominiarz, wón do tego od małoszczy nauczony; wón już do tego przywyknął... A wy, czybyście to potrafili?

— Oj, oj!... Czemu nie!

— Ja myszlę co nie; ja myszlę, coby wam sze w głowie zakręciło.

— No, ale cóż to ma do tego, o czem się gadało? — zapytał pan Onufer.

— To ma do tego, co pan jest panem — odparł pan Chaim. — Jemu sze w głowie nie kręczy być panem, bo wón do tego nauczony od dżecko; wón już do tego przywyknął... Wón da na szpital, wón da na biednych, wón da na tanie kuchnie, dlatego, bo mu sze w głowie nie kręczy i wón widzi, co jest i co potrzeba... A wy, panie Onufer, jakbyście panem byli, toby wam sze tak w głowie zakręczyło, cobyście tego wszystkiego wcale nie widzieli.

Popijając i gwarząc wesoło o koniecznem podszyciu tego dziurawego świata, zabawiała się kompania jeszcze dłuższy czas. Wreszcie oznajmił stójkowy, pukając do drzwi szynku, że czas już położyć koniec tej zabawie. Wtedy, wypiwszy jeszcze po kieliszku »gorzkiej« na drogę, rozeszli się wszyscy, każdy w swoją stronę.

*

Dziwne rzeczy działy się na ulicy, gdy pan Onufer pożegnał swych towarzyszów. Gazowe latarnie wywijały raźnego

oberka, kamienice i parkany krzesały hołubca, potrącając co chwila zmierzającego ku domowi łatacza społecznego porządku.

Zrazu bawiła go ta »heca«; kroczył więc chodnikiem uśmiechnięty, wołając od czasu do czasu dobrodusznie: »No, uważaj przecież!« — w nadziei, że tem napomnieniem oprzytomni rozszalałych taneczników. W końcu jednak, gdy go jakiś zwaryowany parkan bolesnym poczęstował szturchańcem, zakipiał gniewem.

— Czego chcesz, psia krew? — wrzasnął rozjuszony.

I podniósłszy w górę zaciśniętą pięść, chciał potężnym razem ugodzić napastnika; parkan jednakże uniknął ciosu, odskoczywszy piorunem na przeciwną stronę ulicy.

Wtedy, pokiwawszy głową, powiedział sobie, że nie warto po nocy wszczynać awantur z grubijanami i poszedł dalej środkiem drogi, trzymając się teraz już zdala od pląsających parkanów i kamienic. Wprawdzie potrącały go tutaj śnieżne kupy, wpadając na niego co chwila, uniesione piekielną jakąś galopadą, ale bądź co bądź, zetknięcie się z niemi mniej już było bolesnem.

Nagle potknął się, nastąpiwszy na coś czarnego. Wydało mu się, że to człowiek, leżący na ziemi i przyszło mu na myśl, że dorożka może łatwo przejechać tego biedaka, który sobie ulicę obrał za posłanie. Współczuciem tknięty, zawrócił się i potrącił go nogą.

— Wstawaj, pijaku, wstawaj! — rzecze, usiłując rozbudzić śpiącego.

Ale to, co leżało na ziemi, nie dawało znaku życia.

— Może to nieboszczyk? — pomyślał pan Onufer, usiłując się przybliżyć.

Wszelakoż niezbadana jakaś siła odtrącała go to w prawo, to w lewo, to naprzód, to w tył, tak, iż nie mógł wykonać swego zamiaru. Wtedy, wziąwszy się na sposób, legł na ziemi i podpełzał na czworakach ku mniemanemu nieboszczykowi, który, jak się przekonał, był dużą podróżną torbą z lakierowanego juchtu, przyozdobioną monogramem ze złoconego bronzu.

Doznane wrażenia wytrzeźwiły go nieco. Puścił się ku cyrkułowi, by tam złożyć przedmiot znaleziony, ale niebawem obsiadły go myśli, które go odwiodły od tego zamiaru. Może to skarb, może majątek wielki? Po torbie można było wnosić, że właściciel jej musi być bogaczem. Rozciekawiony, pośpieszył do domu, zapalił świecę, otworzył torbę i począł ze wzrastającem zajęciem przeglądać jej zawartość.

Skarbu tam wprawdzie nie było, ale cóż za dziwne dziwy! Paczuszki w ozdobnych zawinięciach, poprzewiązywane różowemi i błękitnemi wstążeczkami, każda opatrzona napisem, oznajmiającym istotę zawartego w niej przedmiotu, tudzież osobę, dla której przedmiot ten był przeznaczony. Widocznie były to noworoczne upominki, ale cóż za osobliwsze upominki! Przeglądając je, wytrzeźwiał do reszty pan Onufer, a jednak »rozum mu stawał capka«, tak niepojętem było mu to, na co patrzał.

Było tam mydło do mydlenia oczu »dla żony, która kocha męża«; były dwie talie bisotowanych kart »dla szczęśliwego gracza«; były szczypczyki do ściągania siódmej skóry »dla sumiennego finansisty«; była trąbka do reklamowania miernot »dla wzajemnej admiracyi«; była flaszeczka skoncentrowanej piany wściekłego psa »dla uczciwej konkurencyi«; były pantofle kalifa Omara, który spalił bibliotekę aleksandryjską »dla wiadomej kliki«; i ząb jadowitej żmii, która sobie zęby na pilniku połamała »dla Zoila«; i szydło szewca Horostratesa, i balsamowane ucho Midasa, i wiele, wiele innych przedmiotów, których tu wyliczać nie sposób.

Kum Onufer nie był »żoną, kochającą męża«, ani graczem, ani finansistą, ani księgarzem nakładcą, ani Zoilem, więc też doznał zawodu, nie znalazłszy wśród tego stosu osobliwych rupieci nic takiego, z czegoby mógł jakikolwiek dla siebie wyciągnąć pożytek. Przeznaczenia większej części tych przedmiotów nie rozumiał wcale, niektóre z nich jednakże obudziły w jego umyśle słuszne podejrzenie.

Rozmyślając, przyszedł do przeświadczenia, iżby źle było, gdyby mydło do mydlenia oczu dostało się do rąk żony,

kochającej swego męża, a szczypczyki do ściągania siódmej skóry stały się własnością jakiegoś tam finansisty. Małoż to już i tak zgorszenia na tym świecie? O jej! Wszakże to i bez tego but podarty, domagający się gwałtem podszycia!

Więc też oburzony na tego łotra, który za pomocą tych osobliwych podarunków zamierzał bardziej jeszcze krzewić zło wpośród ludzi, postanowił nie zwrócić zguby jej właścicielowi, lecz zabrawszy się przy świętym poniedziałku, lub raczej wtorku do roboty, pokrajać torbę i uszyć ze skóry uzyskanej parę lakierowanych bucików. W ten sposób nie dopuści do zgorszenia, a w dodatku wyciągnie dla siebie korzyść z przedmiotu, którym go obdarzył przypadek.

Nazajutrz, jako w dzień świąteczny, odwiedził po obiedzie swą narzeczoną, pannę Apolonię, która piastowała urząd kucharki u pewnych państwa przy ulicy Marszałkowskiej i zabrał ją z sobą do »Rozkoszy«, gdzie w wesołej kompanii spędzili wieczór na zabawie. Była to osoba już poważna i nie grzesząca wcale nadmiarem urody; mimo to, trzymał jej się pan Onufer, mając z niej wygodę »wedle opierunku«. Przytem dostarczała mu cukru i herbaty, tak, iż artykułów tych nigdy nie potrzebował kupować; częstokroć przybiegała do niego i przynosiła mu kotlet, kawał pieczeni, albo też leguminę jaką w papier owiniętą. Wszystko to były rzeczy, któremi nie wypadało pogardzać.

Ceniąc te przymioty swej narzeczonej, »chodził więc do niej« trzeci już rok, ale się wcale nie kwapił do żeniaczki. Panna Apolonia, srodze w »swym chłopie« rozkochana, przynaglała go, ażeby przecież raz już pomyślał o weselu, ale jej się zawsze umiał wykręcić, odkładając krok stanowczy od jesieni do wiosny, od wiosny znowu do jesieni. Widocznie go nie korciło pozbyć się wolności kawalerskiego stanu. Zawszeć to kłopot z babą, a tem lepiej, im później się człowiek obarczy takim ciężarem.

*

Dopiero we wtorek rano pomyślał Onufer o robocie, a pomyślał o niej z niechęcią i obrzydzeniem. Po Nowym Roku przyszła sobota: nie warto zatem było zabierać się do pracy na jeden dzień. Po sobocie nastąpiła święta niedziela — dzień Pański, dzień wypoczynku! a po niedzieli poniedziałek, którego także święcić nie zaniechał sławetnym szewskim obyczajem. Wypoczynki te zmęczyły go były niezmiernie, więc też z ciężkiem westchnieniem wziął do ręki torbę, z której miał wykroić materyał do roboty potrzebny.

Niema co mówić, jucht był doskonały, a lakier nigdzie nie nadpsuty. Można więc było z uzyskanej skóry wysztyftować parę galantnych bucików, ale to nie ucieszyło pana Onufra tak wielce, jakby się tego można było spodziewać. Po prostu robić mu się nie chciało; byłby wolał spać, albo też pójść do szynku, by tam klinem wybić dolegającego klina. Wszelakoż trudna rada, nie było pieniędzy i — trzeba było koniecznie zabrać się do roboty!

Jakoż, wyostrzywszy nóż, chciał się wziąć do prucia torby, gdy wtem z jej wnętrza ozwał się brzęk podobny do brzęku pieniędzy. Rozciekawiony, otworzył ją skwapliwie, i — o dziwo! znalazł w niej siedm sztuk nowiutkich półimperyałów, błyszczących jak gdyby dopiero co wyszły z pod stempla. A to co takiego? Nie mógł pojąć, zkąd się tam wzięły te pieniądze! Wszak przeszukał był torbę dokładnie owego dnia, czyli raczej owej nocy, gdy ją znalazł na ulicy. No, no, widocznie musiał być pijanym jeszcze! Wytłomaczywszy sobie w ten sposób dziwną tę zagadkę, schwycił pieniądze w garść, wcisnął czapkę na głowę i pobiegł do miasta.

Tydzień cały grasował, nie myśląc oczywiście o robocie. Pieniądze były w kieszeni, więc też go nie kusiło zabrać się do szydła i dratwy. Na co? po co? hulaj dusza, dopóki nie pęknie ostatni rubelek! Sypiał do południa, o południu wychodził do restauracyi lub szynku, zkąd powracał dopiero późną nocą, znajdując zawsze chętnych towarzyszów do hulanki. Wyszeptawszy się po upływie tygodnia z pieniędzy, wziął znów

do ręki torbę z ciężkiem westchnieniem. I znowu powtórzyła się ta sama scena, która się rozegrała przed tygodniem; — siedm półimperyałów, błyszczących jak słońce, wpadło mu znowu do ręki. Kum Onufer zrozumiał, iż posiada worek zaczarowany.

Zakręciło mu się teraz w głowie, jak to ongi przepowiedział pan Chaim Papiermacher, szynkarz z Grzybowskiego placu. Pieniądze sypały mu się istotnie, jak gdyby z worka; potrzebował tylko powziąć jakieś życzenie, a natychmiast znajdował w torbie środki do zaspokojenia pragnień swych potrzebne. Nie żałował też sobie niczego, coraz to nowe objawiając zachcianki. Zapragnął złotego zegarka z grubą jak palec dewizką; zaczarowana torba dostarczyła mu potrzebnych na zakup ten pieniędzy. Zachciało mu się futra — było futro; sprawił sobie kilka garniturów, nakupił bielizny, ponawkładał na wszystkie palce tyle pierścionków, iż ledwo mógł niemi poruszać. Jednem słowem dogadzał wszystkim fantazyom, które w nim nieustannie wzbudzał pieniądz, a o których mu się przedtem wcale nie śniło.

Oczywista rzecz, iż zostawszy panem, »puścił kantem« pannę Apolonię. Nie chodziło mu teraz o »opierunek«, a smakołyki kucharki utraciły były dla niego wszelką ponętę. Stosunek z »kuchtą« nie odpowiadał już teraz jego pojęciu i zajętemu w hierarchii społecznej stanowisku. Natomiast zrobił znajomość z żoną pewnego konduktora, młodą i przystojną blondynką, która chodziła w pluszowej rotundzie i w kapeluszu ze strusiemi piórami, a nosiła brylantowe kolczyki w uszach, pierścionki na palcach, i na rękach bransoletki. Pani konduktorowa była niegdyś kelnerką w jakiejś bawaryi. Gdzie, gdzie »parzygnatowi« do takiej »osoby«!

Osoba ta była kobietką wesołą i lubiącą się bawić, a umiejącą mydlić oczy mężowi, nawet i bez onego mydła, które niegdyś pan Onufry — tak go przezwała pani konduktorowa — wydobył z zaczarowanej torby, a którego widok tak go onego czasu zgorszył i oburzył. Co prawda, przychodziło

jej to z łatwością, mąż bowiem nie grzeszył zbytkiem sprytu, a na domiar, z powodu służby swej, rzadko kiedy przebywał w domu.

Korzystała też z tej swobody pani konduktorowa, wyciągając pana Onufrego do teatru, na maskarady, na kolacyjki w gabinecie i wtajemniczając go w rozkosze hulaszczego życia, o których przedtem nie miał wyobrażenia. Miała, co prawda, zachcianki kosztowne; przepadała za ostrygami, a szampana doiła jak smok, znając się na tych »używaniach« jeszcze z czasu, gdy była kelnerką. Przytem darła w sposób bezwstydny łyko ze swego szarmanta. Ten jednakże nie zrażał się wcale, bo i dlaczegóżby się miał zrażać? torba płaciła za wszystko.

Życie to podobało mu się wielce. Przyszedł do przeświadczenia, że *Monopole* Heidsicka i *Triple sec Curaçao* lub Benedyktynka nierównie lepsze są od piwa z »harakiem«. Szczupak po parysku i *salmi* z kuropatw smakowały mu daleko lepiej, niż schab z kapustą, który niegdyś poczytywał za specyał niezrównany. Jedynie tylko do ostryg i główki cielęcej *à la tortue* nie mogła go przekonać jego mistrzyni. Zdaniem jego był nierównie smaczniejszym sardelek, nie mówiąc już o golonce.

Rozumie się, iż żyjąc w ten sposób, nie marzył już o podszyciu świata, który, jeżeli mu się jeszcze wydawał podobnym do buta, to chyba do lakierowanego, miękkiego, wygodnego i błyszczącego, a zrobionego na urząd przez najlepszego majstra. Zdaje się jednak, iż porównanie to nie nasuwało się jego umysłowi, i że porwany wirem uciechy, nie zastanawiał się nad istotą świata. Zawróciło mu się było w głowie, jak to przepowiedział Chaim Papiermacher — tak, iż »nie widział tego, co jest i czego potrzeba«.

*

Raz jednakże zdarzyło mu się zetknąć z tą nędzą, której niedola tak go niegdyś roztkliwiała, a którą stracił był z oczu, nie spotykając jej nigdy na swych drogach. Wróciwszy późną

nocą z hulanki do domu, usłyszał, wstępując w bramę, płacz żałosny, którego lament rozlegał się wśród nocnej ciszy.

— Co to jest?... Kto tam płacze? — zapytał stróża, który mu otwierał.

— Nie wiedzieć, proszę pana — odparł zaspany odźwierny. — To u tej wdowy, co mieszka w suterynie... Podobnoś dziecko tam bardzo chore... Może umarło?

Litością zdjęty pobiegł pan Onufry do suteryny.

Na ubogim barłogu leżała w gorączce siedmioletnia może dziewczynka, z zamkniętemi oczkami, z główką owiniętą mokrym ręcznikiem. Przy niej klęczała zrozpaczona matka, wpatrując się przerażonym wzrokiem w te oczka przysłonione ociężałą powieką, w to liczko płonące zarzewiem, w te wątłe piersi podnoszące się z gwałtownym wysiłkiem dla pochwycenia oddechu, w te spieczone usta, z których się od czasu do czasu przez sen jęk bolesny wydobywał.

— Czemu pani tak rozpacza? — spytał pan Onufry z współczuciem.

— Ach, panie! — zawołała matka — dziecko mi kona, a ja go nie mogę ratować!

— Może pójść po doktora? — rzekł pan Onufry.

— Był doktór, był! — jęknęła wdowa.

— No, i cóż?

— Zapisał receptę... Możeby to pomogło biedactwu; możeby się tak nie męczyło!... A ja nie mam pieniędzy na aptekę, ach!... I nie mogę odejść dzieciny, aby się postarać... Och, ta noc, ta noc!... O, ja nieszczęśliwa!... Dziecko mi skona bez pomocy, ach, ach, skona z pewnością!

Pan Onufry sięgnął do portmonetki, zapomniawszy, że się nią tego wieczora bawiła pani konduktorowa.

— Daj mi pani receptę — rzekł, widząc, że go towarzyszka jego zabaw doszczętnie ogołociła. — Pobiegnę do apteki i przyniosę lekarstwo.

— Ach, panie, to Bóg chyba zesłał pana — zawołała

wdowa, składając ręce jak do modlitwy. — Niechże panu Bóg nagrodzi za tyle dobroci.

— Uspokój się pani, uspokoj!... Będzie dobrze — odparł wzruszony. — Ja skokiem wrócę... Zobaczysz pani, że będzie dobrze.

I wziąwszy receptę, pobiegł do swego pokoju, nie wątpiąc, iż mu torba dostarczy potrzebnych pieniędzy.

Ale zaczarowany worek, który zawsze tak skwapliwie czynił zadość jego żądaniom, gdy mu się nie chciało pracować, gdy na hulankę pragnął wyciągnąć swych towarzyszów, gdy chciał dogodzić fantazyom pani konduktorowej, gdy podarunkami okupował jej pieszczoty, odmówił mu teraz posłuszeństwa. Próżno zagłębiał w nim rękę, przeszukując wszystkie jego zakątki: wyschło źródło, z którego dotychczas czerpał tak obficie.

Więc zdjął go lęk, iż czar służył mu tylko wtedy, gdy mu ku złemu drogę torował i rozwścieczony własną niemocą, potrząsł workiem gwałtownie, wołając:

— Pieniędzy!... Pieniędzy!...

Ale zamiast pieniędzy, wypadł z torby kamień ciężki z łoskotem na podłogę.

... Ranek zastał pana Onufrego, pogrążonego w ciężkiej zadumie. Okiem pełnem wstrętu i nienawiści wpatrywał się w leżącą na ziemi torbę, która szeroko rozwarta, czerwonem swem wnętrzem ziejąca, zdawała się urągać mu swem bronzowem okuciem. Wspomnienie doznanego zawodu gniotło go nieznośnem brzemieniem. Po za nim leżało życie, które prowadził od czasu znalezienia zaklętej torby. Myśląc o niem, doznawał takiego wrażenia, jak gdyby się zbudził z dzikiego jakiegoś, ciężkiego snu, którego zmora mroziła mu jeszcze serce lękiem bez miary.

Spojrzawszy w okno, przez które zaglądały pierwsze brzaski świtu, ocknął się wreszcie z odrętwienia. Porwał czapkę i pobiegł do żyda, do którego się niegdyś udawał w potrzebie i pożyczył od niego dwa ruble, przyrzekając, iż dług ten za-

płaci za tydzień, skoro otrzyma zapłatę za najbliższą robotę. Uzyskane pieniądze obrócił na wykupienie lekarstwa dla chorego dziecięcia i zaniósł go stroskanej wdowie, truchlejąc, azali pomoc ta nie przybędzie za późno.

Uspokojony w tej mierze powrócił do swej izdebki pełen otuchy. Przeżegnawszy się, wziął nóż do ręki i począł pruć torbę, z której wykroił parę galantnych bucików. Jeżeli się przypadkiem dyabeł wówczas znajdował w podróży, a odczuł to, co się z jego workiem dzieje, to musiał potężnego kozła wywrócić.

Kto wie, może nawet i kark skręcił w tej przygodzie?

LISIARZ.

Gawęda myśliwska.

Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać większego lisiarza. Dziś, gdy się tak wiele mówi o psychologii zwierząt, staje mi postać jego żywo przed oczyma, pan Jan bowiem znał na wskróś lisią naturę, oraz wszystkie zwyczaje i obyczaje imci pana Mykity.

Więc też była walka, którą z lisami prowadził, niekiedy wielce ciekawa. Lisim kruczkom przeciwstawiał on swoje kruczki, fortelom szkodnika własne fortele; i nie było takiego wypadku, by inteligencya człowieka nie odniosła zwycięstwa nad sprytem przebiegłego zwierzęcia.

Było w tej walce niekiedy coś, co przypominało zabiegi dwóch palestrantów, pragnących się wzajemnie wyprowadzić w pole.

— Lis nierówny lisowi — mawiał pan Jan. — Zdarzają się między nimi mecenasy, ho ho, ministrowie... Trzeba wiedzieć jak którego zażyć, a chcąc go pokonać, musisz nasamprzód wiedzieć z kim masz do czynienia.

Tak tedy, jakkolwiek i na inną zwierzynę chętnie polował, miał pan Jan w ściganiu lisów osobne upodobanie, które nawet, jak się później dowiedziałem, wpłynęło na jego życie. Zdaje się, że go tu szczególniej nęciła psychologiczna strona tej walki, i że mu głównie przyjemność sprawiało to, iż polując na lisa, mógł bardziej niż gdzieindziej spryt swój rozwinąć. Pod tym względem był pan Jan prawdziwym artystą.

Poznałem go na polowaniu u znajomych, gdzie wszystkich zachwycał celnością strzałów i jowialnym humorem. Był

to mężczyzna lat około pięćdziesięciu, więcej niż średniego wzrostu i silnej budowy. Ruchy miał zamaszysto rubaszne człowieka, przyzwyczajonego do fizycznych trudów i żyjącego w wiejskiej swobodzie.

Spryt i odwaga malowały się w spojrzeniu jego bystrych siwych oczu, poglądających na świat wesoło. Na czerstwej twarzy, o zczerniałej od wiatru cerze, jaśniał uśmiech jowialny pełen dobroduszności, jednającej życzliwość patrzącego. Słowem, był to doskonały typ wiejskiego szlachcica i myśliwego. Pokochaliśmy się okrutnie, i zaczęliśmy sobie z miejsca mówić »ty«, dobrym Brzeżaniaków obyczajem.

Uprzejmie przezeń zaproszony, odwiedziłem go w kilka dni później w jego majątku, Tadaniu. Gospodarstwo było tam wzorowe, dom wygodny, życie dostatnie, gospodyni uprzejma, więc też mile mi płynął czas, urozmaicany zrana polowaniem, a wieczorem gawędą. W przeciągu kilku dni przetrzebiliśmy okoliczne knieje, polując, wedle ówczesnego zwyczaju, z gończakami, co swoją drogą przyjemniejszem jest, niż polowanie z naganką.

Było w lesie, jak na owe czasy, względnie dużo zwierzyny; polowanie jednak było dosyć uciążliwe z powodu śniegu, który, spadłszy nader obficie, porobił w kniei zawały. Mimo to, ubiliśmy dwa dziki, trzy kozły i kilkanaście zajęcy.

Myślałem już o powrocie do domu, gdy mnie gospodarz zapytał, czybym nie zechciał z chartami zapolować na lisy.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— W taki śnieg? — rzekłem z uśmiechem.

W istocie, pole nie było po temu. Na szczytach gór wprawdzie niewiele było śniegu, ale tu i owdzie na stokach i po dolinach leżały warstwy głębokie, pokryte grubą lodową skorupą, którą później lekko przyprószyła ponowa. Lis mógł snadnie wierzchem pomykać, nie zapadając się wcale, ale dla chartów cięższa już była robota. Cóż dopiero dla koni? Można było wierzchowca zepsuć w jednej chwili.

— Eh — odparł lisiarz, skrobiąc się w ucho. — Korci mnie strasznie... Lisy dzisiaj śmielsze będą, bo wiedzą, że

dla nich dobre pole... Wiesz co... każę do chłopskich sanek zaprządz parę fornali... Weźmiemy z sobą charty i pojedziem.

— Ha, no, dobrze — odparłem, nie wierząc w powodzenie tej wycieczki. — Skoro ci nie żal piesków i koni, jam gotów.

Za chwilę ruszyliśmy tęgim kłusem w pole. Bose sanie śmigały po wierzchu zlodowaciałego śniegu. Pan Jan powoził, ja zaś położyłem się na wiązce siana. Przytrzymując jedną ręką charty, przykryte derką, drugą uczepiłem się sani, aby mnie przypadkiem nie wyrzuciły, poszedłszy w zatokę.

Dzień był mroźny, lecz pogodny. Na jasno-błękitnem niebie świeciło słońce, w którego promieniach migotały drobne kryształki zlodniałej pary, unoszącej się w powietrzu. W dali szarzały lasy o drzewach pokrytych okiścią. Po lekko złotawym tonie płaszczyzn, zwróconych ku słońcu i po sinawem zabarwieniu tych, które w cieniu leżały, można było jedynie rozpoznać falowanie gruntu, służącego warstwom śniegowym za podścielisko; po za tem bowiem tonęły wszystkie kształty i zarysy w jednostajnej bieli śnieżnego całuna.

Trzymając się sani, poglądałem na ten krajobraz, rozmarzający mnie swą jednostajnością i martwotą. W szczerem polu, zdala od gościńca, nie widać było żadnej żyjącej istoty; nic, tylko śnieg i niebo dokoła.

Głos mego gospodarza zbudził mnie z zadumy.

— Jest! — zawołał pan Jan, wskazując mi batogiem jakiś ciemny punkcik pod lasem na górze.

Spojrzałem w tę stronę. Był to istotnie lis, który myszkował w tem miejscu, ucieszne wyprawiając harce. Widocznie zwiały były wiatry śnieg z tego wierzchu, odsłaniając mu przystępne żerowisko. Cokolwiekbądź, trzeba było mieć bystre i wprawne oko pana Jana, by go spostrzedz i rozpoznać w tem oddaleniu.

Zachodziło teraz pytanie: co robić, by sobie zapewnić możność ścigania przebiegłego Mykity? Jadąc ku niemu wprost, bylibyśmy go niezawodnie spłoszyli, i byłby nam z pewnością drapnął do lasu, odległego może o kilkaset kroków od miejsca,

gdzie żerował. Należało więc kołować ostrożnie, lecz i to nie otwierało widoków powodzenia. Z grzbietu pagórka, na którym lis myszkował, roztaczał się rozległy widok dokoła. Można było przewidzieć, iż nas dojrzy i czmychnie, nim dojedziemy.

Ale pan Jan nie stracił nadziei.

— Spuścisz charty kiedy ci powiem — rzekł, zwracając się do mnie. I zwolniwszy biegu, jął teraz kołować, wywijając batem, a klnąc i wykrzykując chłopskim obyczajem.

— Czemu tak klniesz zawzięcie? — spytałem zdziwiony.

— A ba — szepnął, śmiejąc się wesoło. — W tem właśnie cała sztuka. Lis wie, że mu ze strony chłopa nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Trzeba więc tak robić, by nas za chłopów wziął koniecznie.

Roześmiałem się ubawiony.

— Proszę cię, nie śmiej sie i nie mów do mnie po polsku, bo mi spłoszysz Mykitę — rzekł pan Jan na wpół żartem, na wpół seryo.

— A czy to Mykita zna się na gramatyce? — zapytałem.

— Ot, to! — odparł tonem głębokiego przekonania. — Są między nimi i takie profesory, co mogłyby literaturę wykładać... *hajta małeńki, hajta, tsss!* — dorzucił głośno, kręcąc batem na około głowy.

Zjechaliśmy teraz z drogi na pole. Konie zapadły się aż po brzuchy w jakimś śniegiem zakrytym rowie, ale bose nasze sanki prześliznęły się wierzchem zaspy szczęśliwie. Pan Jan klął od czorta i trzęsawicy, ja zaś milczałem, trzymając się sanek i bacząc, by nie wylecieć. Ujechaliśmy tak kilka stajań, kopiąc się mozolnie ku lasowi. Lis myszkował ciągle, nie zwracając na nas uwagi. Nagle jednak przystanął i zaczął się nam przypatrywać z widocznem niedowierzaniem.

— Prrrr, hou! — zawołał pan Jan, zatrzymując konie.

Potem zlazł z sanek i rozpostarłszy na śniegu derkę, począł się koło niej krzątać ociężałym krokiem. Zbierał pełnemi garściami śnieg i składał go na płachcie, klnąc i bajdurząc jowialnie.

— Nic się nie bój Mykita — tak lisowi perswadował w ludowej gwarze. — Nic ci złego nie zrobię, *bihme!*... Tylko ci skórkę ściągnę, taj puszczę, zobaczysz!... Ty się patrzysz, co ja robię?... Ot, śnieg zbieram, jak widzisz... *Trastia ich mat' pany* kazały człowiekowi śnieg zbierać do dworu... A żeby ich tak kolka zbierała od samego rana do późnej nocy!...

I zrzędził tak dalej, drepcząc a naśladując ociężałe chłopskie ruchy. Z odległości można było istotnie wziąć go za chłopa.

Rzecz dziwna, lecz widok ten zdawał się lisa napełniać otuchą. Przypatrywał się jakiś czas z uwagą tej robocie.

— Czy to chłop, czy nie chłop? — tak myślał prawdopodobnie. — Ej, to z pewnością chłop, bo drepcze niezdara tak, jak niedźwiedź, kiedy smali cholewki... A jaką on brzydką gębę ma, ten grubian; jak bez przerwy marudzi! Ot, murga, i basta!

I znów chwilę patrzał.

— Ale co on tu robi? — tak myślał dalej. — Śnieg zbiera, hm!... Dziwna rzecz, że po śnieg wyjechał aż w pole... Wszak go ma niedołęga w sąsiedztwie swej chałupy poddostatkiem... Et, co sobie mam głowę suszyć nad ludzką głupotą... Wolę jeszcze trochę pomyszkować, korzystając ze sposobnej chwili.

Tak pomyślawszy, dał susa i począł grzebać zawzięcie. Pan Jan zrzucił śnieg z derki, wsiadł na sanie i ruszył wolnym krokiem, zmierzając ku lasowi.

— *Wišta małeńki, wišta, tsss!* — powtarzał raz wraz, wywijając batem.

Po niejakim czasie zaniepokoił się znowu lis, widząc, że przestrzeń pomiędzy nim a saniami maleje.

— Jednak to dziwna, że ci ludzie nie dadzą lisowi zjeść spokojnie śniadania — pomyślał znowu, poglądając na nas ze wzrastającą nieufnością. — Hm, to ten sam chłop, co tam śnieg nabierał, podjeżdża aż tutaj... A jest ich dwóch: jeden się położył na sankach do góry brzuchem, a drugi powozi...

Możeby przecie wypadało drapnąć do lasu... Tylko, że mi żal odejść z żerowiska... Już to, prawdę powiedziawszy, nie ma lepszego specyału nad myszy, uummm!... A jakie one tłuściutkie tego roku, mimo ostrej zimy... Słoninka, sama słoninka!... uummm!

Ale pan Jan odgadł, co się dzieje w lisiej duszy; zatrzymał znowu konie w pobliżu krzaka, któryśmy właśnie mijali, zlazł z sanek, rozpostarł derkę i nałamawszy suchych gałęzi, począł je na kocu układać. Lis przypatrywał się z zajęciem tej krzątaninie.

— Et, głupstwo! — pomyślał. — Niema się czem niepokoić... Przecież to oczywista, że to chłop, który tu drzewo kraść przyjechał... A jak on teraz cicho siedzi, żeby go przypadkiem nie usłyszeli leśnicy... Ha, ha, ha, co za sprytna kanalia: pierwej udawał, że śnieg zbiera, rozglądając się dokoła, a jak zobaczył, że nikogo nie ma, czmych do lasu na rabunek... Przestraszyłem się go, a on sam w strachu, he, he, he!... Niechże sobie zdrów kradnie, biedaczysko... Już i tak nie ma znikąd pomocy, bo ten drugi co tam leży, spił się pewno jak nieboże stworzenie i śpi.

Tak uspokojony, machnął kitą i począł znowu myszkować.

Korzystając z jego zacietrzewienia, odcięliśmy go teraz zupełnie od lasu, i można go już było poszczuć z jakim takim widokiem powodzenia. Odległość była wprawdzie jeszcze znaczna, ale bądź co bądź, mogły go już lotne charty w czystem polu dopędzić. Pan Jan wybrał miejsce, gdzie warstwa śniegu zdawała się mniej grubą.

— Dawaj pieski — szepnął, zatrzymując konie.

Potem, przechyliwszy się na siedzeniu, ujął oburącz głowę Lotki, ślicznej podżarej charcicy, i zwrócił ją w stronę lisa, a poczuwszy, że się dzielne zwierzę rwie do biegu, wypuścił je z okrzykiem: »hajże go, ha« ze swego objęcia. Za Lotką poskoczył Pałasz, a za nim pognaliśmy i my w szalonym pędzie.

Spostrzegłszy, co się święci, pomknął lis, zamierzając zrazu zwrócić się bokiem ku lasowi. Było mu to jednakże nie

na rękę, czyli raczej nie na nogi, bo lotne pieski, przeniknąwszy zamiar jego, a po krótszej posuwając się linii, odcięły mu niebawem tę drogę odwrotu. Zaczął więc teraz pędzić wprost przed siebie, podążając ku dolinie, gdzie z powodu grubej warstwy śniegu i pokrywającej ją lodowej skorupy, pole korzystniejszem było dla niego, niż dla jego prześladowców.

Nie zdołał jednak osiągnąć tego celu, Lotka bowiem dała mu obrót, po którym doszedł go Pałasz i schwyciwszy za kark, obalił na ziemię. Dojechaliśmy w sam czas, by zadławionego rozwścieczonym psom odebrać.

W ten sam mniej więcej sposób uszczuliśmy tego dnia jeszcze jednego lisa; można więc słusznie powiedzieć, że nam sprzyjało szczęście, pan Jan bowiem prześladował tych szkodników tak zawzięcie, że się wcale mnożyć nie mogły w tej okolicy.

* * *

Wieczorem tego dnia siedzieliśmy przy kolacyi i bardzo zacnym zieleniaczku, gawędząc o porannej naszej wycieczce. Pani domu dotrzymywała nam placu. Była to osoba lat około czterdziestu, ale tak żywa, czerstwa i przystojna, że rozmawiając z nią, zapominało się o jej wieku. Obecność jej nie przeszkadzała nam bynajmniej w rozmowie, pani Julia bowiem zamiłowaną była w myśliwstwie, i towarzyszyła częstokroć mężowi, zwłaszcza, gdy z chartami wyjeżdżał w pole.

Pan Jan ożywił się był wielce gawędą. Mówił wiele o przebiegłych kruczkach lisa, o jego znakomitym węchu, o tem, jak trudno o dobrą przynętę i o znakomitości tej, której posiadał tajemnicę.

— Czy wiesz, jakim sposobem doszedłem do tego witerunku? — zapytał mnie nagle, poglądając z filuternym uśmiechem na swą połowicę.

— Ależ Jasiu, zastanów się! — rzekła zaniepokojona.

Lisiarz ujął jej rękę i przycisnął do ust.

— Moja panno, cóż ci to szkodzi? — tłomaczył, patrząc jej czule w oczy. — Dla mnie to takie przyjemne wspomnienie.

— Dla ciebie, dla mnie, dla nas — odparła, broniąc się zakłopotana. — Ale pomyśl, cóż to może pana zajmować?

— Owszem, owszem! — zawołałem rozciekawiony. — Wszystko, co Jaś opowiada, zajmuje mnie bardzo.

— No, to mów już — rzekła, ulegając — jeżeli to panu ma sprawić przyjemność.

Pan Jan ucałował rączkę jej raz jeszcze, trącił się ze mną kieliszkiem i zwilżając co chwila usta węgrzynem, zaczął opowiadać.

* * *

— Kiedym w spadku po stryju odziedziczył Tadanie, nie było tu wcale zwierzyny. Sąsiedzi moi nie dbali o to; ale dla mnie, który od dziecka miałem pasyę do fuzyjki, była to przykrość nielada... Wziąłem się energicznie do poskromienia kłusownictwa, ale to niewiele pomogło; jastrzębie bowiem, sokoły i lisy, których tu wtedy moc była, tępiły młodzież tak, iż nie sposób było dochować się zwierzyny.

Uważałeś może te krzaki nad strumykiem, tuż niedaleko pola?... Pyszne legowisko dla kuropatw, co?... Dziś tam miewam istotnie kuropatwy, które sam zaprowadziłem i podkarmiam w zimie. Ale w owe czasy nie znalazłbyś kurki ani na lekarstwo; szelmy lisy wszystkie mi sprzątały!... Zabrałem się więc do panów Mykitów na ostro. Trochę się ich utłukło w lesie, trochę uszczuło w polu, ale ubytku widocznego nie było, przynajmniej takiego ubytku, któryby wpłynął na podniesienie się zwierzostanu.

Myślę sobie: przecież ja im końca dojadę. Posprowadzałem żelazka ze Lwowa, z Wiednia, z Berlina; te ostatnie szczególniej zachwalano. Kupiłem strychniny, a że miałem tutaj podówczas rymarza, który był całym pijakiem, a kawałkiem myśliwego, i chwalił się, że umie koło tego chodzić, powierzyłem mu to wszystko w nadziei, że lisom porządną frykę urządzi.

Zabrał się tedy Piotr — tak było na imię temu pijaczynie — do roboty. Smaży a pije, pije a smaży, i co chwila

przychodzi do mnie pijany: a tego mu brak, a tego mu jeszcze potrzeba; końca nie było tym wymaganiom. Udawałem, że nie widzę, iż przy tym witerunku więcej pijaństwa, niż roboty; dostarczałem, czego tylko zażądał, byle jaknajprędzej lisom bal wyprawić.

Tak trwało tydzień; po tygodniu przychodzi i powiada mi, że wszystko gotowe. Jedziemy tedy pod wieczór z powłoczą, zakładamy pastki, zakopujemy w ziemi gałki ze strychniną: jest dla panów lisów biesiada! Na drugi dzień o świcie jadę zobaczyć, co się stało. Żeby jeden!... Szelmy lisy zwąchały pismo nosem, i zadrwiły sobie ze mnie i z mojego witerunku. Co podjadę do jakiej pastki lub gałki, jest karta wizytowa. Stoi wyraźnie na śniegu wypisane: »Był tu Mykita, obwąchał, powiedział, że pan Jan Dembski dureń, i poszedł.«

— Mógłbyś też, Janku, mniej wyraźnie to opowiadać — przerwała mu pani Julia, wzruszając ramionami.

— Ha no, cóż chcesz, moja droga — zaśmiał się, zwilżywszy usta węgrzynem. — Muszę to przecież opowiedzieć, bo te impertynencye gniewały mnie okropnie... Gdyby to przynajmniej na papierze, to człowiek mógłby był schować do kieszeni, i cicho, sza, niktby nie wiedział. Ale tak publicznie na śniegu, to już zgroza prawdziwie! Kto idzie drogą, to czyta i śmieje się z myśliwego.

Rozzłoszczony wsiadam na mego Piotra: »A ty hultaju, pijaku, oszukałeś mnie z tym witerunkiem...« A on mi na to: »Ta co ja winien? To wielmożny pan temu winien, bo tak naglił, a to trzeba było czekać aż do pełni księżyca... Myślę sobie: bajki!... Co ma pełnia księżyca wspólnego z lisami i z witerunkiem? Ale ostatecznie być może, iż coś zepsuł w pośpiechu.

Kazałem mu tedy wziąć się znowu do roboty. Tym razem nie naglilem go już wcale. Pił więc, jak Bela, a smażył i smażył, ale gdy już wszystko było gotowe, okazało się, że nic nie umie. Lisy mi znowu grubiaństwa wypisywały na śniegu. Rozzłoszczony, wygnałem pijaka na cztery wiatry, wy-

tuzawszy go porządnie za mój wstyd; pastki zaś pochowałem, nie chcąc się więcej narażać na szkalowanie Mykitów.

Minęła zima, ale myśl o tem, by lisom kurtę skroić, nie dawała mi spokoju... Ludzie przecież trują tych szkodników strychniną i łapią ich na żelazka; dlaczegóżbym ja tego nie dokazał? Prawdopodobnie chodzi tu tylko o witerunek.

Szukałem więc tego witerunku, wypytując myśliwych o tajemnicę, ale daremnie. Kosztowało mnie to wiele pieniędzy i zachodu, a przynosiło mi tylko wstyd. Przynęty, wedle rozmaitych przepisów sporządzane, nie skutkowały wcale; nie mogłem lisom moim trafić do smaku. Po dwóch latach dopiero dowiedziałem się, że o kilkanaście mil ztąd, pod Załoźcami, mieszka pan Józef Olchowski, lisiarz zawołany, który posiada tajemnicę wyrabiania niezawodnej przynęty. Możesz sobie wyobrazić, jak dalece byłem zapalony, skoro nie znając go wcale, umyśliłem pojechać do niego, by sekret od niego wyłudzić. Widocznie tak już było w gwiazdach napisane, bym tam jechał — dodał, poglądając na żonę z uśmiechem.

Pana Józefa nie zastałem w domu, wyjechał był na polowanie. Przyjęła mnie nader uprzejmie córka jego, siedmnastoletnia blondynka, o dużych szafirowych oczach i koralowych ustach, bardzo miłych w uśmiechu.

— No, no, no, bez tych opisów — przerwała z żartobliwym dąsem pani Julia.

— Dlaczego, dlaczego? — zawołał lisiarz. — Czy może zazdrościsz?... Słowo honoru daję, że nie przesadzam: panna Julia była bardzo ponętną osóbką... Ale ja tutaj bajdurzę, a ty nic nie pijesz — dodał, zwracając się do mnie i przysuwając mi kieliszek. — No wypij, wypij, bo musimy wychylić zdrowie panny Julii, która w tej historyi ważną rolę odgrywa, a jak się pewno domyśliłeś, jest tutaj obecną.

Wypiliśmy więc zdrowie »panny Julii«, a pan Jan, ucałowawszy żonę, jął tak dalej opowiadać:

— Dziewczątko to podobało mi się bardzo, jakkolwiek lisami tylko zajęty, nie myślałem polować na taką zwierzynę.

Pan Józef był wdowcem, córka jego więc sprawowała urząd gospodyni domu, a sprawowała go z wielkim wdziękiem i pewnem namaszczeniem, które mnie bawiło. Anim się spostrzegł, jak mi upłynęło kilka godzin na rozmowie z tem dziewczęciem, tak mnie umiało rozerwać. Prawdopodobnie i ja musiałem jej się podobać bardzo, bo z przyjemnością zauważyłem, że oczy jej błyszczały, a uśmiechnięta twarzyczka płonęła rumieńcem.

— Jaki zarozumiały! — zawołała pani Julia, kiwając głową i pokazując dwa rzędy białych zębów w uśmiechu.

— No, przyznaj królu mój, żem ci się odrazu podobał — odrzekł lisiarz rubasznie. — I nic dziwnego!... Młodziutkie to było, niedoświadczone, prosto z klasztoru, a ja, nie chwaląc się, byłem wówczas przystojnym chłopcem, jak to mówią: do tańca i do różańca! Więc też, czując do siebie wzajemną sympatyę, rozmawialiśmy z sobą wkrótce tak, jakbyśmy się znali od lat wielu.

Słuchając miłego szczebiotu panny Julii, zapomniałem był wcale, po co tu przybyłem... Więc też doznałem przykrego wrażenia, gdy się we drzwiach pokoju, gdzieśmy rozmawiając siedzieli, pojawiła wąsata postać pana Józefa. Trzeba było przerwać tę miłą, swobodną pogawędkę, przedstawić się nieznanemu, nie mogąc się na wspólnych znajomych powołać, powiedzieć po co się przybyło, wreszcie wyrazić żądanie, do którego mnie nic nie uprawniało i którego spełnienie zależało od dobrej woli gospodarza, tudzież od tego, czy go sobie zjednać potrafię.

Nie zdołałem tego dokonać. Onieśmielony nagłą zmianą położenia, począłem się wikłać, i ostatecznie złe na panu Józefie zrobiłem wrażenie. O ile przyjacielską była córka, o tyle chłodnym i sztywnym wydał mi się ojciec. Ugościł mnie wprawdzie, zatrzymał na polowanie, które się odbyło nazajutrz, ale gdym się wreszcie ośmielił prosić go o wyjawienie tajemnicy, jak przyrządza sławny swój witerunek, odmówił spełnienia tej prośby stanowczo i z pewnem zdziwieniem... Nie wypadało dłużej nalegać.

— Nie wiem sam, co mnie więcej zmartwiło — tak jął dalej opowiadać, napełniwszy znowu lampki i pokrzepiwszy się sporym haustem węgrzyna — czy odmowa lisiarza, czy to, że od chwili jak przyjechał, nie mogłem już z panną Julią rozmawiać. Wąsy pana Józefa odbierały mi pewność siebie, a ironiczne jego spojrzenie zamykało mi usta. Cokolwiekbądź, zrażony odjechałem po tej odmowie do domu, nie zważając na fatalną drogę, ani też na prośby gospodarza, który mnie chciał na noc jeszcze zatrzymać... Przywiozłem z sobą z tej wycieczki jedno przykre a jedno miłe wspomnienie... Obraz panny Julii tkwił mi ciągle w pamięci... Co oczy zamknę, jest... Przychodzi filutka uśmiechnięta i wpatruje się we mnie szafirowemi oczyma, szczebiocząc wesoło... Powiadam ci, pełne uszy miałem tego szczebiotu... Słyszałem go we śnie i na jawie, w domu i w lesie; gdziekolwiek się zwróciłem, ścigał mnie, a rozmarzał i rozmarzał... Głupstwo, myślę sobie; przecież się żenić nie będę; jeszcze czas!... Ot, przyszło i przejdzie, niema sobie czem głowy zaprzątać.

Wszelako, jakoś w tydzień po moim powrocie, przywieziono mi list z poczty, kobiecą pisany ręką... Patrzę na stempel pocztowy: »Założce«... Co to może być?... Nie mam wcale znajomych w tej okolicy... Otwieram: nieznane mi jakieś nierówne pismo, widocznie drżącą pisane ręką... Ale czekaj, czekaj, muszę ci to pismo pokazać — dodał, zrywając się z krzesła i podbiegając ku sekretarzykowi.

— Bądźże rozumnym, Janku — strofowała pani Julia. — Przecież panu tych głupstw pokazywać nie będziesz!

Ale pan Jan rozochocony winem, a rozrzewniony wspomnieniami lat ubiegłych, nie zważał na to.

— Moja złota, cóż ci to szkodzi! — uspakajał zakłopotaną. — Przecież to takie piękne. Czytałem to kilka dni temu... nie uwierzysz, jaką mi to robi przyjemność.

— Janeczku, proszę cię... Wprowadzasz mnie w zakłopotanie... Takie głupstwa.

Biblioteka Główna

— Nie, nie, nic nie pomoże — zaśmiał się lisiarz. — Korci mnie. Nie mogę sobie tego odmówić.

I rozwinąwszy ćwiartkę pożółkłego listowego papieru, zaczął czytać:

»Szanowny panie!«

— Napisała szanowny, bo nie wypadało jeszcze napisać kochany — zauważył żartobliwie.

»Szanowny panie — ciągnął, czytając dalej. — Dowiedziałam się od tatka, po co pan do nas przyjechał, i że tatko panu przepisu odmówił. Tatko bardzo dobry, ale czasami dziwaczy; zdaje mi się, że jakby przepis dał, toby witerunek przestał skutkować. Ci myśliwi mają takie zabawne przesądy.«

»Przykroby mi bardzo było, gdybyś pan ze swojego pobytu u nas nieprzyjemne odniósł wrażenie...«

— Owszem, bardzo było przyjemne — tłómaczył pan Jan, przerywając sobie.

»... A jak pomyślę, że pan tyle mil jechał napróżno, to mi serdecznie żal. Aby więc to złe naprawić, posyłam panu przepis robienia witerunku, który ja sama zawsze ojcu sporządzam, bo, trzeba, żeby osoba, zajmująca się tą robotą, nie paliła tytoniu, a zachowała przepis skrupulatnie.«

»Do smażenia witerunku potrzebny jest...

— Ależ Jasiu, bój się Boga!... Czyż i to chcesz czytać? — zawołała, rumieniąc się i wyciągając rękę, jakby chciała mu list odebrać.

— Czemu nie? — zawołał, śmiejąc się wesoło i broniąc się przed jej napaścią.

— Bo to niema sensu.

— Właśnie, że sens jest, o i jaki!... Poczciwa panna Julia! Chcąc mi się przysłużyć, zrobiła z siebie ofiarę.

— Dajże spokój, proszę cię.

— Nie, nie... Zresztą o co ci chodzi... To panna Julia pisała a nie ty. — I lubując się zakłopotaniem żony, czytał dalej:

»Do smażenia witerunku potrzebny jest nowy tygiel polewany, nowa miska farfurowa, łopatka olchowa i kawał sta-

rego płótna. Bierze się smalcu gęsiego nietopionego i niesolonego tyle, aby po przetopieniu było półtory kwarty tłuszczu czystego, podobnego do oliwy. Topić zwolna na żarze, bacząc, aby się tłustość nie przypaliła. Należy strzedz tygla od płomienia ognia, z łopatki na żar nie spuszczać tłuszczu, pilnując, by i z boku tygla tłustości nie było. Roztopiwszy smalec, i gdy się już tenże smażyć zacznie, wrzucić w tłuszcz trzy i jedna ćwierć małych drobniutko pokrajanych cebulek, i smażyć póty, aż końce cebuli poczernieją i na wierzch wypłyną, bacząc jednakże pilnie, by się nie przypaliły.

»Następnie, mieszając łopatką co minutę, dodać 70 gramów drobno utłuczonego *Foenum graecum*, mięty pieprzowej szczypty dwie, miazgi zielonej *Dulcamary* szczypt dwie, wrzuciwszy na moment kamfory trzy i ćwierć grama (trochę mniej jak pół ziarnka niewielkiego grochu). Dalej wrzuca się pół jabłka końskiego (dobrze po całym tyglu rozsypać) i jednę szczyptę dobrze utłuczonego majeranu, poczem się przecedza tę mięszaninę przez czyste płótno do słoika i wystawia w chłodnem miejscu do wystygnięcia. Jeżeliby lis schytrzył, to można jeszcze dodać *Marum verum* ususzonego gałązek trzy do filiżanki.

»Witerunku na posmarowanie włoka bierze się trochę więcej, niż pół naparstka, rozsmarowując go piórkiem, a wystrzegając się dotknąć palcami, by lis nie zwęszył; witerunku zaś nie urządza się wcześniej, jak do użycia potrzeba, bo stojąc długo, zwietrzeje. Trzyma się go w miejscu zimnem, obwiązawszy słoik pęcherzem lub woskowym papierem.«

— Tu dalej jest opis włoka, oraz, jak się przyrządza skwarki i gałki ze strychniną — rzekł lisiarz. — Czytać ci tego nie będę, jakkolwiek to bardzo ciekawe dla myśliwego. Ale patrz, jak ta poczciwa panna Julia doskonale znała się na rzeczy i jak ją gorąco do serca wzięła... Oto masz rysunek włoka: tu wałek, a tu łęk obręczowy, ha, ha, ha!... Myśliwy lepiejby tego nie narysował — dodał, zwracając się do żony z uśmiechem.

— Niegodziwy! — fuknęła, odwracając się z udanym dąsem.

— Teraz możesz sobie wyobrazić wrażenie, jakiego doznałem, czytając to pismo — ciągnął dalej, nie zważając na jej pozorne niezadowolenie. — W głowie mi się paliło. I śmiałem się i rozrzewniałem kolejno, wzruszony tym dowodem życzliwości naiwnego dziecięcia, zafrasowanego przykrością, jaką, wedle jej zdania, sprawił mi jej ojciec. Zrazu, zdawało mi się, że nie powinienem korzystać z wyjawionej mi tajemnicy; bądź co bądź, była ona własnością pana Józefa. Ale niebawem przemogła myśliwska żyłka. Kazałem klucznicy mej sporządzić witerunek wedle przepisu. Nie potrzebuję ci mówić, że się okazał doskonałym.

— Ba! i jak doskonałym! — dodał, śmiejąc się rubasznie. — Nietylko lisy, ale i ja sam poszedłem na ten witerunek! Zakochany w pannie Julii po uszy, pojechałem do pana Józefa i oświadczyłem się o rękę córki. Tym razem nie doznałem odmowy. O tem, że mi panna Julia wyjawiła jego tajemnicę, nie pisnąłem oczywiście ani słowa.

DRAŁA.

Obrazek z życia ludu wiejskiego.

Tajemniczość osłaniała tego dziwnego włóczęgę. Nikt nie wiedział zkąd przybył w nasze strony, i nikt nie znał właściwego jego nazwiska. Nazywano go Drała, ale on się wcale nie gniewał za to; obojętny na ludzką wzgardę, zadowolony ze swego losu, wiecznie uśmiechnięty i wesoły.

Znano go na dziesięć mil wokoło. W słomianym kapeluszu, w jednej i tej samej, zawsze brudnej i podartej sukmanie, »drałował« Drała zimą i latem boso od dworu do dworu ze swoim towarem. Sakwy jego były rodzajem gastronomicznego bazaru, zaopatrzonego zawsze w najświeższe nowalie. Czasem przynosił trufle, grzyby lub ślimaki, czasem raki, ryby lub błotną zwierzynę, czasami owoce, albo też wczesne jakieś warzywo.

Zkąd brał te wszystkie rzeczy, nikt nie pytał o to. Posądzano go, że je kradł gdzieś w okolicy i że niekiedy dziedziczkom sprzedawał ryby z własnego ich stawu, zwierzynę z ich pól i owoce z ich ogrodu. Nagabywany w sposób taki, przysięgał Drała na wszystkie świętości, że towar swój kupuje w mieście — przysięgi swoje i zaklęcia podkreślał jednak tak dziwnie jowialnym uśmiechem, że nie przekonywały nikogo. Cokolwiekbądź, nie złapano go nigdy na kradzieży. Więc też sobie nikt tem nie suszył głowy bynajmniej, zkąd Drała bierze swoje zapasy. Gosposie były rade, że mogą na stół podać przysmak niezwykły, i Drała krzesał sobie zysk ze swego handelku, nieprześladowany przez nikogo. Lichy to był zresztą i zarobek, a wymagający niemało sprytu i trudu. Przymierał też nieraz włóczęga z głodu pod płotem na zimnie, w wiatrem podszytej odzieży, nie uciekając się jednak nigdy do żebrania.

Trzebaż było niepospolitego zamiłowania w niezależności, aby się dobrowolnie skazać na żywot taki — na to wieczne koczowanie, pełne niewygód i awantur, na te dalekie wędrówki z towarem, który mu niezawsze odkupywano we dworach — na to mozolne zdobywanie tego towaru, który, bądź co bądź, nie spadał mu z nieba.

Ale Drała przenosił los wilka z bajki nad los wyżła wylegającego się na pańskiej poduszce. Unikał pilnie straży i umiał się wykręcać wszystkim, gdy go nagabywano, aż powoli, powoli, zawiązawszy handlowe stosunki z żonami urzędników, wyrobił sobie milczące uznanie dla swego procederu i uprzywilejowanie dla swego nielegalnego bytowania.

Przypadek pozwolił mi odkryć tajemnicę jego żywota. Było to jesienią. Nachodziwszy się z fuzyjką po błotach i łąkach przez dzień cały bez powodzenia, zaszedłem do lasu, ażeby tam wypocząwszy chwilkę, skorzystać jeszcze pod wieczór z ciągu słonek. Wstyd mi było wracać do domu z próżnemi niemal sakwami. Wybrawszy sobie tedy odpowiednie stanowisko na brzegu lasu, tuż niedaleko linii, położyłem się pod krzakiem leszczyny na murawie, wyczekując zachodu słońca, które rozlewając wokoło powódź złota, osuwało się powoli na pogodnem niebie. U stóp moich legł mój kurlandzki wyżeł Tyran, ziejąc otwartą paszczęką i bijąc wokół trawy i zioła kosmatym swym a zabłoconym ogonem.

Cudny był wieczór. Po ciemno-szafirowem niebie pełzały leniwo srebrne chmurki, lżejsze od puchów łabędzi. Żaden wietrzyk nie poruszał liśćmi zadumanych drzew, które jesień przystroiła była gdzieniegdzie fantastycznemi barwami swojej palety. Przez senne konary przedzierało się słońce, rzucając snopy pomarańczowych promieni na ciemno-zielone mchy i wilgotne wrzosy.

Gdzieniegdzie smugi te światła tworzyły płomienne kolumny, w których kąpiąc się igrały muszki drobne w rozkosznej zawierusze. Powietrze przesycone było melancholijną wonią leśnej wilgoci, unoszącej się z ziemi, jak gdyby westchnie-

nie. W gęszczy tuż za mną odzywały się dwie młode makolągwy, fruwając z krzaczka na krzaczek i próbując swych niezgrabnych jeszcze lotów. Z głębi lasu dolatywało mnie gruchanie dzikich gołębi i monotonne kowanie dzięcioła; przede mną za krzakami na łące rozlegało się wołanie derkacza. Reszta była tęskną zadumą, ciszą i milczeniem.

Nagle, o jakie dwieście kroków od mego stanowiska, na drodze wiodącej ku wiosce, od niedalekiej chłopskiej zagrody ozwał się dźwięczny śpiew kobiecy. Z młodej widocznie piersi dobyty, rozlegał się po lesie, zbliżając się w stronę mojego schronienia. Chwilę jakąś dzwoniła piosenka, tak jak hejnał skowronka, dziwną jakąś tętniąc namiętnością. A jednak zwykła to była tylko ludowa śpiewka naiwnej treści i niewykwintnego układu. Snadź czyniła śpiewaczka ulgę wezbranej piersi, haftując na tle prostej melodyi swe własne uczucia. I coraz bliżej rozbrzmiewał się ten śpiew perlisty, wrzący radosną pełnią bujnego życia, aż wreszcie przycichł nagle na skręcie ku linii, biegnącej tuż obok mego stanowiska.

Zaciekawiony podniosłem głowę, przytrzymując ręką Tyrana, którego zaniepokoił był szelest zbliżających się kroków, i spojrzałem w stronę, kędy umilkła piosenka.

Ścieżką ku linii szła wolnym krokiem młoda chłopka, kołysząc się na swych wydatnych biodrach, jak to na Rusi czynią wiejskie zalotnice. Od czasu do czasu przystawała, nasłuchując i rozglądając się wokoło ciekawie, jak ta, co na schadzkę podąża. Wreszcie minąwszy moje legowisko, usiadła pod rosochatym dębem, o kilkanaście kroków odemnie, na murawie.

Była to czarnobrewa Parańka, wdowa po młynarzu. Kibić kształtna, gors pełny, wzrost jak u rusałek i liczko jak u rusałek gładkie; — na dwie mile wokoło nie było nad nią piękniejszej krasawicy! Wzdychali też do niej wszystkie parobczaki, tracąc głowę, gdy na którego spojrzała żarzącemi jak węgiel oczyma. Ale Parańka drwiła z ich zalotów; rozkocha, bywało, tylko roztuży biedaka, a potem rozkochanego wyśmieje. Zwyczajnie czarownica!

Chwilę jakąś siedziała młynarka, spozierając raz wraz ku gęstwinie, marszcząc brew kraśną i siekąc gniewnie badylkiem trawę dokoła. Intrygowała mnie widoczna jej niecierpliwość. Czyżby dumna krasawica znalazła wreszcie pana? Miałażby bezmiłosna rusałka uledz nakoniec uczuciu, z którem dotychczas igrała? Rozciekawiony postanowiłem łowy moje poświęcić zbadaniu tej tajemnicy.

Nie długo potrzebowałem czekać na rozwiązanie tej zagadki. Z gęstwiny ozwał się daleki krzyk czajki, i pies mój zaniepokojony, podniósłszy łeb do góry, począł węszyć i warczeć z cicha. Kobieta spojrzała w stronę gęstwi ciekawie. Zrozumiałem, że to kochanek zwiastował jej w ten sposób swe przybycie. Pogłaskawszy więc mego wyżła, przycisnąłem głowę jego do ziemi, a poczciwe zwierzę zrozumiawszy zamiar mój, uspokoiło się natychmiast i westchnąwszy tylko głęboko, oparło głowę swą na łapach, kręcąc powoli ogonem.

Po chwili ozwał się krzyk czajki po raz wtóry, tuż, tuż blizko i szybkie a lekkie kroki zaszeleściały w gęstwinie.

— Drała! — zawołała krasawica, śmiejąc się wesoło i pokazując zęby białe jak u wilka.

Był to istotnie Drała, ale nie ów Drała pokorny i wzgardą ludzką przygnębiony, którego widywałem we dworze. W nowym słomianym kapeluszu, w podartej jak zawsze sukmanie i jak zawsze boso, szedł z przewieszonemi na plecach sakwami, lekko i dumnie jak król lasów. Siła zręczność i energia malowały się w każdym ruchu. Był to mężczyzna lat trzydziestu, krępego wzrostu, kościstej budowy i rysów twarzy dość pospolitych, a zajmujących tylko wyrazem inteligencyi, który je ożywiał. Z ogorzałego lica wyglądały na świat bystro duże, czarne oczy. Rozumne jego spojrzenie, żywe ruchy, swobodny, lekki chód i po żołniersku do góry podniesiona głowa, zdradzały niezwykłego człowieka. Pomimo licznych dziur i łat, wyglądał w swej wypłowiałej sukmanie z waszecia.

— Ha, ha, ha, ha, Drała! — zawołała krasawica raz jeszcze.

— Paraniu, gołąbko! — krzyknął włóczęga, przyśpieszając kroku i wyciągając ku niej ramiona.

Zerwała się z swego siedzenia, jak ptak co podlata, i postąpiła krok naprzód ku niemu. Sądziłem, że śpieszy w jego objęcia. Nagle jednak zatrzymała się, patrząc nań z zimnym, złośliwym uśmiechem.

— Paraniu, serce... Czekałaś na mnie? — zawołał drżącym głosem znowu, obejmując ją wpół i przyciskając do piersi.

Wywinęła mu się jak piskorz z objęcia.

— Precz z rękami, odczep się! — fuknęła, marszcząc brwi i odpychając go od siebie. — Jaki mi do pieszczoty!... Drała, ha, ha, ha, Drała!... Ależ odczep się, do dyabła! Oszalał, czy co, wołokita.

Oszołomiła go tem przyjęciem. Z wyciągniętemi rękami, z otwartemi ustami, na których przymarzł był uśmiech niedawny, stał przed nią, wpatrując się w nią zdziwionemi oczyma.

— Paraniu, co tobie, duszko? — szepnął zaniepokojony.

— Co mi jest? — odparła z przekorą. — Nic... Nie chcę, żebyś mnie całował.

— Jaka ty niedobra, Paraniu — jął mówić z łagodnym wyrzutem nawpół już udobruchany. — Co ja ci winien?... Ja do ciebie, duszo, z Brodów... prosto z Brodów, dalibóg! A ty mnie tak witasz jak psa!... W Ponikowicach spotkał ja kowala. Woła na mnie: chodź Drała do karczmy! Napijemy się, przekąsimy coś, taj pogadamy; ja zapłacę... Ale ja nie chciał, gołąbko, choć namawiał, choć prosił... choć nie miałem nic w gębie od samego rana.

— Było pójść, kiedy prosił... Czy ja ci bronię?

— Było pójść, było pójść!... Kiedy mi tęskno było do ciebie, jak spragnionemu do krynicy; kiedy mi coś mówiło, że ty czekasz na mnie... Och, Paraniu, Parauiu, ty nie wiesz, jak ja cię kocham!... Oczarowałaś mnie, lubko, temi słodkiemi oczyma; tak, ja teraz twój pies, twoja sobaka!... Gdzie każesz, to pójdę; co każesz, to zrobię... Och, ja żyć nie mogę bez ciebie.

I wyciągnął znowu ku niej dłonie drżące, chcąc ją ku sobie przygarnąć.

— Ależ odczep się, raz mówiłam!... Czy nie możesz rąk trzymać przy sobie?... Jak chcesz kochać, kochaj zdaleka... Wolno czerepasze kochać gwiazdę, wolno psu kochać miesiąc; tak i ja tobie nie bronię, żebyś mnie kochał.

— Parańka, och, Parańka!

— No, tak co, Parańka?

Chciał coś mówić, ale nie mógł z piersi wydobyć głosu. Spuścił głowę i stał przed nią zafrasowany. Po chwili ożywiła się twarz jego. Widocznie przyszła mu była myśl jakaś weselsza do głowy.

— Patrz, gołąbko, co ja ci przyniósł z Brodów — rzekł, zrzucając z ramienia sakwę i wydobywając z niej kawałek różnobarwnego perkalu, szeroką jedwabną wstążkę i kilka sznurków szklanych paciorków z srebrnym krzyżykiem.

Sięgnęła z udaną obojętnością po te przedmioty i jęła im się po kolei przyglądać ciekawie, to fałdując, to rozsuwając perkal, to znów igrając w słońcu z wstążką i paciorkami. On patrzył na nią milczący, śledząc jej twarzy wyrazu.

— Piękne? — zapytał po chwili niepewnym głosem.

Kiwnęła głową obojętnie.

— Podoba ci się?

Potwierdziła skinieniem raz jeszcze.

— To mi podziękuj, Parańka; pocałuj Drałę, popieść go trochę! — wołał, wyciągając ku niej ręce.

Odtrąciła go znowu z niechęcią.

— Pek na ciebie!... Odczep się, napastniku... Jaki mi do całowania! zabieraj sobie, jak chcesz, twoje szmaty.

— Jaka ty niedobra, Paraniu, co ci jest dzisiaj?... Co ja ci winien?... Patrz, zazulo, ja tydzień nie jadł, nie pił, a składał pieniądze, aby ci przynieść z Brodów gościńca, a ty mnie odpychasz.

— Nie kłam, Drała, nie kłam!... Niby ja nie wiem... Powiadasz, żeś kupił, a ukradłeś.

— Przysięgam Bogu, nie ukradłem, kupiłem... Nie jadłem, nie piłem cały tydzień, aby zebrać pieniądze... Jażbym się przed tobą nie zapierał... Bo i cóż? jabym się przecie nie bał nawet i ukraść dla ciebie!... Och, lubko moja, lubko! Jabym dla ciebie ukradł słońce i miesiąc Panu Bogu.

Roześmiała się serdecznie. Bawiła ją namiętność jego. Porwana uczuciem wyciągnęła ręce i objęła jego głowę, jak gdyby do uścisku, wpatrując się w jego twarz ciekawie. Nagle jednak odtrąciła go znowu od siebie z niechęcią.

— Och, Drała, jaki ty brzydki!... Jak dwie krople wody bury mój pies... Gdzie ja podziała była oczy, kiedym cię kochała.

Wistocie nie wyglądał ponętnie włóczęga, niezgrabny w swem zakłopotaniu, przygnębiony jej wzgardą, złamany, a jednak wykrzywiający usta do uśmiechu. Ogorzałej jego twarzy, którą pokrywały nierówne kosmyki ryżego zarostu, nie ożywiały w tej chwili oczy jego bystrym swym wyrazem. Oszołomiony patrzył na nią pokornie głupiem spojrzeniem bydlęcia.

— Tak mnie już nie kochasz, Parańka? — zapytał dziwnie złamanym głosem.

— Nie — odparła sucho.

— Nie żartuj Parańka, nie żartuj!... Przecieżeś wyszła do mnie, przecież na mnie czekałaś!

— Bo ci chcę powiedzieć, że się między nami skończyć musi wszystko, że się za mąż wydaję.

Spojrzał na nią oczyma bez wyrazu.

— Parańka, nie żartuj — jęknął po chwili błagalnym głosem. — Ty nie wiesz, co się ze mną dzieje... Co ja ci zawinił, gołąbko?... Czy cię nie kocham jak dawniej?

— Dawniej było co innego... Wtedy jeszcze żył mój stary; ja byłam głupia, taj bawiło mnie to, że ty taki śmieszny... Ale teraz jam wdowa, ludzie mi za mąż rają, ta gdzie mi teraz kochać wołokitę, co żyje z kradzieży?... Czy to u ciebie jest dach, czy rodzina?... Szukaj sobie innej, nierobo?... Ja się muszę wydać za gospodarza.

— Za gospodarza!... A czy to ja nie lepszy od innego?... Tak co, że wołokita? Tak co, że nie mam dachu, ni rodziny?... Nie mam, bo nie chcę, bo ty mi dach i rodzina... Czy może jest nademną pan? Kradnę, mówisz? A czy to prawda?... Bóg dał dla wszystkich ryby, raki i jagody, i nie powiedział czyje to: pańskie, czy Drały... Tak ja biorę, co Bóg dał, i sprzedaję ludziom... A małoż to ja się muszę nachodzić za tem, mało napracować... Niech inny pozna, gdzie trufla w ziemi rośnie; niech inny szczupaka ze stawu gołą ręką dobędzie... Ho, ho, niemało to się trzeba namęczyć, chcąc robić to, co ja robię... Łatwiejby mi przecie było gospodarować, łatwiej jeść pański biały chleb we dworze!

— Czemuż nie idziesz do dworu? — odparła obojętnie.

— Bo chcę mieć wolę, bo chcę żyć przy tobie, jak dotąd... Toż przecie pan z Sokołówki dał mi był liberyę, i bieliznę, i buty, i kożuch, i jeść, i pieniędzy, żebym tylko z nim chodził na polowanie... A no, nie chciałem, nie mogłem wytrzymać... Duszno mi było we dworze, ciasno w liberyi, tęskno do ciebie!... Po dwóch miesiącach zostawiłem panu wszystko co mi dał, i uciekłem... Ale za to ja sobie pan i nikt mi nie ma nic do rozkazu!

— Ha, ha, ha, ha, Drała pan, Drała pan! — zaśmiała się szyderczo, błyskając śnieżnemi zębami. — Całuję rączki wielmożnego pana!... No, tak tobie, Drała, teraz potrzeba jasnej pani, królowej jakiej, a nie mnie.

— Co mi tam jasna pani, co mi tam królowa — przerwał, zapalając się. — Chociażby nawet miała suknie z tęczy, a trzewiki z szczerego złota... Ja ciebie kocham, Parańka, pięć lat i ciebie tylko chcę... Słuchaj: każesz, porzucę handel mój, będę ci pracował za dwóch... Żaden tego nie zrobi, co ja zrobię... Ty będziesz sobie chodzić jak pani, prochy będę zmiatał z pod twoich nóg.

— Ha, ha, ha, ha! oszalał wołokita... Coby ludzie na to powiedzieli? Światubym oczu pokazać nie mogła... A potem możesz to się żenić?... Czy jest u ciebie dach, czy rodzina...

Na co się to wszystko zdało?... Trzeba raz skończyć koniecznie... Z tobą żyć nie mogę, bo mi ludzi wstyd, a wydać się muszę, bo mi gospodarstwo marnieje... Semen Kozak przysłał do mnie swatów i ja go przyjęła... Gdzie się tobie z nim równać, z takim bogaczem?... On gospodarz. a ty wołokita; on młody, a ty stary dziad... Tak teraz, co było, to było; przyszłam ci powiedzieć, żebyś mi się więcej nie kręcił koło chaty, bo mi przed ludźmi wstyd... Rozumiesz?

Zadygotał jak gdyby w febrze, oczy jego błysnęły dzikiem zarzewiem.

— Tak ty mnie naprawdę odpędzasz dla Semena Kozaka? — krzyknął boleśnie. — Tak ty naprawdę wydajesz się za niego?

— A no, przecież ci się mówiło.

— Nie, Parańka, upamiętaj się... To być nie może... Przecież cię pięć lat kocham, przecież nie zawiniłem ci niczem... Słuchaj, Parańka, nie żartuj, bo będzie nieszczęście.

— Co za nieszczęście? Jakie nieszczęście? Spalisz mnie, zabijesz, co?

— Przecież wiesz, żebym tego nie potrafił zrobić.

— A cóż zrobisz? Semena zabijesz?

Drała milczał.

— Słuchajno, Drała, nie strasz, bo ja się ciebie nie boję... Dam znać do becyrku... Powiem, kto ty jesteś i zkąd ty jesteś...

— Tybyś to zrobiła, ty! — syknął nieszczęśliwy — tybyś mnie wydała!

— Czemu nie? skoro grozisz Semenowi.

— Więc ty go kochasz?

— Przecieżem ci mówiła.

— O, ja nieszczęśliwy! ja nieszczęśliwy!... Teraz mi tylko umierać — ryknął Drała, chwyciwszy się za głowę obiema rękami.

I runąwszy na ziemię jak długi, począł się tarzać po murawie, dysząc jak odyniec zraniony.

Chwilę jakąś przypatrywała się młynarka mękom kochanka obojętnem okiem. Potem spojrzawszy na niebo, które się już ściemniać poczynało, odeszła ku domowi. Uszedłszy kroków kilkanaście, odwróciła się raz jeszcze.

— A pamiętaj, com ci mówiła — zawołała. — Ani mi się waż kręcić koło chaty.

I poszła dalej, ścinając badylkiem wrzosy po drodze.

Żal mi się zrobiło biednego Drały. Wyszedłszy więc z mego ukrycia, zbliżyłem się do niego z współczuciem, gotów mu służyć pomocą, jeżeliby potrzebował. Usłyszawszy szelest mych kroków, zerwał się na równe nogi i wpatrzył się we mnie szklanemi oczyma. Potem nie odpowiadając nic na moje pytania, skoczył w gąszcz, i uciekając, jak gdyby się obawiał pościgu, zniknął mi niebawem z przed oczu.

Tragiczna scena, której byłem świadkiem, zaniepokoiła mnie wielce. Przeczuwałem, że dramat, wikłający losy biednego włóczęgi, doszedł był do swego szczytu, i że nieniknioną była katastrofa. Obawiałem się, by zrozpaczony nie dopuścił się jakiejś zbrodni i suszyłem sobie głowę, jakby temu przeszkodzić. Poleciłem więc gajowym, aby go śledzili, i przydybawszy. dostawili do mnie chociażby przemocą.

Niestety, przezorność ta nie odniosła pożądanego skutku, Znaleziono Drałę, ale już nieżywego. Niedaleko od chaty jego kochanki stał dąb na środku polanki; na dębie tym powiesił się zrozpaczony włóczęga. W tydzień po jego śmierci wyszła Parańka za Semena.

U „NASZYCH“.

Humoreska.

I.

Kurs faluje tak, jak morze; *aggio* wznosi się, to spada. Kto wczas umie kupić, sprzedać, ten jest mądry pan!

Takim »mądrym panem« był właśnie pan August Goldstück, właściciel domu bankowego i szef firmy »August Goldstück i Spółka« — zwany pieszczotliwie Aronem.

Młody Gucio, lub jeżeli kto woli, Aronek, objawiał już w dziecinnym wieku »rozum bardzo delikatny.« Chodząc do szkół, zaopatrywał swych kolegów w papier, pióra, ołówki, tudzież w cukier owsiany, smażone migdały, chleb świętojański, pestki z bani i inne tym podobne smakołyki. A co na handelku tym uzyskał, to w nowe wkładał zakupy, kierując się już podówczas zasadą, iż pieniądz jest dlatego płaski, żeby go można w ręku trzymać, a dlatego okrągły, żeby nim można ciągle obracać.

W handelku tym nie gonił obrotny Aronek za wielkim zyskiem, wiedząc, iż lepiej zarobić pięć razy po pół grosza, niż raz jeden kopiejkę. Mimo to, jakkolwiek uprzejmy i usłużny, odmawiał jednak kolegom swoim kredytu statecznie.

— Jeden grosz kredytu, to dwa grosze kłopotu — mawiał, gdy go nagabywano. — Jabym ci dał pestek z bani za grosz i kłopotałbym się, czy ty mi zapłacisz; tybyś zjadł pestki z bani i kłopotałbyś się, zkąd masz wziąść pieniądze, aby mi zapłacić... No, tak masz tutaj dwa grosze kłopotu: mój i twój... A gdzież są teraz pestki z bani i gdzie mój zarobek?

Jednem słowem, była to bardzo delikatna głowa, z której możnaby już wtedy było wykroić rabina. Los pokierował Aron-

kiem inaczej i wykroił z niego porządnego kupca... No, nie ma nic straconego! Skoro mąka dobra, to i dobrem będzie wszystko, co się z niej zrobi. Można z niej upiec szabasową hałę, można z niej wymiesić łokszynę — wszystko jedno! I jedno i drugie będzie smakowało, rozumie się, jeżeli młynarz, piekarz lub kucharka nie zepsują Bożego daru.

Chwalić Pana Boga, Aronek nie zepsuł się wcale, nawet wtedy, gdy wstąpiwszy do jednego z większych warszawskich kantorów na praktykę, został Guciem — nawet wtedy, gdy po półrocznej praktyce dostał pierwszą miesięczną pensyę i postąpił na pana Augusta.

Zrazu szło tępo i ciężko, bo handel to tak, jak wóz... Pryncypał siedzi w nim i jedzie sobie wygodnie a wesoło; ale urzędnicy i praktykanci muszą wóz ten ciągnąć, nie przymierzając, jak jakie bydlęta.

Ciągnął tedy pan August wóz swojego pryncypała, pobierając zrazu piętnaście, potem dwadzieścia, potem dwadzieścia pięć itd. rubli miesięcznej zapłaty i rozmyślając, że daleko przyjemniej i weselej jest siedzieć w wozie i być ciągnionym, aniżeli spełniać rolę dorożkarskiej szkapy.

Wszelakoż rozpamiętywania te nie przygnębiały go wcale, lecz owszem, były dla niego bodźcem do pracy i napełniały go otuchą. Kiedyś, później — i on na takim wózku usiędzie i będzie sobie jechał wygodnie, jak pan. Wprzód jednak musi poznać mechanikę wózka, musi się nauczyć tej sztuki, jak się z jednego grosza robi dwa.

Ułatwiały mu to wrodzone zdolności, które obecnie w sobie doskonalił, sposobiąc się do obranego zawodu. Rozum, to nie głupia rzecz, ale sam dla siebie jest on tylko, jak gdyby tępy nóż; ażeby krajał, trzeba go wprzód wyostrzyć wiedzą i doświadczeniem!... Pan August czuł to, iż się tą praktyką wzbogaca. Poprzestawał więc na skromnem wynagrodzeniu, jakie pobierał, pocieszając się widokiem przyszłych korzyści.

Miesięcznej pensyi, którą mu płacono, nie wydawał tak, jak inni, na rozrywki. Żył regularnie, lecz bardzo oszczędnie,

stosując zawsze rozchód do przychodu, owszem, nawet oszczędzając coś z otrzymanej pensyi.

A to, co zaoszczędził, wkładał zaraz w handel, utrzymując, że pieniądz jest od tego pieniądzem, aby nie próżnował. Kupował marki i guldeny po tanim kursie, sprzedawał je, gdy poszły w górę — i znowu kupował i znów sprzedawał, zarabiając zawsze i powiększając swój fundusik.

Gdy doszedł do lat dwudziestu sześciu, posiadał już uciułany w ten sposób mały kapitalik, może z półtora tysiąca rubli, a może i więcej, bo przed nikim nie zwierzał swych interesów. Nadto podwyższył mu pryncypał pensyę aż do sześćdziesięciu rubli miesięcznie, wielce zadowolony z jego usług, w których nieustannie składał dowody sprytu, pilności, akuratności i nieposzlakowanej rzetelności.

Zaczęły go teraz nagabywać *szatchuny*, to jest ci, którzy kojarzą małżeństwa, pobierając za to powien procent od nowożeńców.

Nachodzili go co chwila, przynosząc mu fotografię, jedna piękniejsza od drugiej i zwierzając, ile która z panien będzie miała *nadan*, czyli posagu.

Ale pan August, choć mu się podobała ta i owa, nie dał się wziąść na te obrazki. On wiedział, że miłość jest taką potrawą, której nie należy jeść na gorąco, bo człowiek tylko sobie język poparzy. Wiedział również, iż małżeństwo nie zawiera się na pół roku, ani na rok, tylko na całe życie i że tu nie chodzi o żadne gruchanie przy księżycu, tylko o taką ważną rzecz, jak założenie gniazdka i wychowanie dzieci. Cóż dziwnego, że się namyślał?

Myślał tedy i liczył, zabierając się po kupiecku do tego interesu i układając w głowie plan przyszłego życia. Wreszcie, znalazłszy pannę gdzieś aż z Berdyczowa, z posagiem dziesięciu tysięcy rubli, wstąpił w śluby małżeńskie, podziękował pryncypałowi za posadę, wyszukał sobie wspólnika z równym kapitałem i założył kantor wekslowy na własną rękę...

Może kto powie, iż pan August źle zrobił; że przystępując do ożenku powinien się był kierować sercem, a nie głową?... Niech tylko wszyscy robią tak, jak on, a z pewnością dobrze będzie na świecie.

Szło teraz panu Augustowi, bez uroku, wszystko jak z płatka. Kupował warszawsko-wiedeńskie, to warszawsko-wiedeńskie szły w górę; kupował ruble, to rubel skakał zaraz po trzy, po cztery kopiejki w zwyżkę, tak, jakby to nie był rubel, tylko rozochocony, weselny *merszelek* [1]). Na giełdzie dziwili się ludzie, co to jest.

— Goldstück kupił... Goldstück kupuje! — wołali giełdziarze.

Znaczyło to tylko, że się kurs tego lub owego papieru z pewnością podniesie.

Rósł tedy majątek pana Augusta w górę, bo zwyczajem swoim, wszystko, co w handlu zarobił, to w nowe wkładał zakupy. I nie było takiego, któryby mógł powiedzieć, że handlując z nim, doznał krzywdy. Był ścisły w interesach, lecz kierował się zawsze kupiecką uczciwością. Zdaniem jego, była to rzecz naturalna, którą się nawet nie chełpił wcale, bo jak mawiał: »tylko głupi może pluć do studni, z której wodę pije.«

Wzrastało równocześnie z majątkiem jego, także i znaczenie, które sobie u współobywateli wyjednać potrafił, biorąc chętnie udział w każdej pożytecznej pracy. Kochał wprawdzie pieniądze, i nim grosz jaki wydał, zwykł go był wpierw zawsze przynajmniej trzy razy obrócić; ale gdy chodziło o jakieś uczciwe a rozumne, dobro ogółu na celu mające przedsięwzięcie, to je zawsze hojnym wspierał datkiem.

Byli wprawdzie tacy, którzy utrzymywali, że pobudką tej hojności nie jest duch obywatelski, lecz próżność, i że pan August na cele publiczne tak znaczne ofiaruje sumy, ażeby

[1]) Zwykle stary jakiś jowialny bywalec, wynajmowany w tym celu, aby talmudystycznemi anegdotami, przypowieściami i mimiką bawił weselnych gości.

nazwisko jego błyszczało w dziennikach, ale to jest całkiem głupie gadanie... Gdyby np. szpitale można budować z czystej filantropii i obywatelskiego ducha, toby może jeszcze wypadało zastanowić się nad tem, z jakich się ktoś przyczynił do tej budowy pobudek. Ale skoro szpitale budują się z cegły, kamienia, drzewa i żelaza, a za te materyały nie można płacić filantropią, tylko pieniędzmi, to już wtedy rzecz obojętna, czy ten, który tych pieniędzy dostarczył, powodował się filantropią, czy próżnością.

U Polaków bardzo dużo jest obywatelskiego ducha, ale bardzo mało pieniędzy, i dlatego to idzie u nich tak tępo każda robota, mająca jakiś cel publiczny na oku, a wymagająca ofiary. Bodaj się więc tacy na kamieniu rodzili, którzy każdą dobrą sprawę chcą i mogą hojnym wesprzeć datkiem, chociażby nawet pobudką, która ich do tego skłania, była chęć, aby o ich ofiarności pisało w »Kuryerach«.

II.

Kurs faluje tak, jak morze; *aggio* wznosi się, to spada, lecz uczucie gardzi złotem, głuche na rachuby głos.

Miał pan August trzech synów, którzy mu się wybornie udali. Najstarszy z nich kończył uniwersytet, sposobiąc się na lekarza; drugi był na praktyce w Berlinie, u jednego z tamtejszych przyjaciół pana Augusta. Był to ten właśnie, który miał zostać następcą ojca i prowadzić dalej dom bankowy Augusta Goldstücka i Spółki w Warszawie. Najmłodszy, będący w szkołach jeszcze, uczył się bardzo dobrze.

Ale największą pociechą ojca, niejako dumą jego i rozkoszą, była córka, której na imię było Róża, hoża brunetka, słusznego wzrostu i rysów twarzy może nieco grubych, lecz pięknych i miłym ożywionych wyrazem.

Główną jej pięknością były bujne czarne włosy i duże czarne oczy, o których możnaby rzec, iż były pełne jakiegoś

wilgotnego żaru. Wyobraźmy sobie dwie lampki elektryczne, świecące w czarną noc, a zanurzone w jakiejś bezdennej krynicy; takiem było jej spojrzenie. Oczyma temi przypominała panna Róża nieboszczkę matkę swoją, którą pan August pochował przed kilkoma laty.

Kochał ją też ojciec z tego powodu bardzo i pieścił i hołubił nieustannie. A było coś śmiesznego i rzewnego zarazem w pieszczotach tego człowieka, który mając wiecznie głowę interesami i cyframi nabitą, wyszukiwał najdziwaczniejszych porównań, aby dziecku wyrazić swe upodobanie.

— Ty jesteś moje miliony... Ty jesteś mój najdroższy kuponik! — mawiał, poglądając na nią z wyrazem niewysłowionej tkliwości.

— A ty jesteś moja najukochańsza dywidenda! — odpowiadała Róża, odwzajemniając jego pieszczotę.

Nie było jednakże drwiny w tem napozór ironicznem odezwaniu się. Dziewczyna rosła w otoczeniu ludzi, goniących za pieniędzmi i powtarzała to, co się obijało o jej uszy. Wiedziała, że dywidenda musi być czemciś dobrem i godnem pożądania, skoro się o nią troszczą wszyscy tak gorąco i z takiem jej wyczekują upragnieniem. A więc wplatała to gdzieś zasłyszane miano do swojej pieszczoty, pragnąc ojcu wyrazić swe przywiązenie.

Pan August nie szczędził pieniędzy na wychowanie swej córki. Sprowadzał do niej guwernantki z Paryża, z Londynu, kazał ją uczyć języków, literatury, gry na fortepianie, rysunków, śpiewu, dając jej najlepszych i najdroższych nauczycieli. Żadna ofiara nie była mu w tym celu za wysoką.

I znowu mówili ludzie, iż pobudką, która do tego skłania pana Augusta, jest próżność, a mieli istotnie pewną podstawę do tego zarzutu, chętnie bowiem opowiadał on każdemu, jak wiele go kosztuje wychowanie swej jedynaczki. Wszelakoż, ściśle rzeczy biorąc, była u tego człowieka, który wszystko na pieniądze obliczał, chełpliwość ta poniekąd wytłomaczoną. Zdawało mu się, iż blasku dodaje swej córce, opowiadając,

jakie na jej wychowanie łożył sumy. I jemu samemu droższą była Rózia, im więcej na jej edukacyę wydawał pieniędzy.

Rozwijało się też dziewczątko pięknie, korzystając z tego troskliwego wychowania. Śpiewało, »jak kanarek«, tańczyło, »jak wodospad«, a kiedy grało na fortepianie, to różowe paluszki jej biegały po klawiszach »tak, jak młode baranki po łące«. Ojciec lubował się temi postępami, przysłuchując się piosnkom Schumanna lub nocturnom Szopena, które Rózia wykonywała z wielką biegłością i rzetelnem uczuciem.

— Ty jesteś moja słodka córka — wołał raz wraz zachwycony.

— A ty jesteś mój słodki tato — odpowiadało dziewczę, niezrażone jednostajnością tej pieszczoty.

Jednakże Rózia rosła; młody dziewiczy pączek nabierał coraz więcej pełni rozkwitającego kwiatu. Kształty jej wypełniały się i zaokrąglały coraz więcej, a spojrzenie, płomieniste niedawno jeszcze temu, stało się marzącem i nabyło jakiejś, jak gdyby aksamitnej miękkości. Wiek, muzyka, którą uprawiała, poezya, którą miłowała namiętnie, rozbudziły w niej ów romantyczny pierwiastek, który drzemie w piersi każdej semitki.

Poczęła marzyć o sojuszu bratnich dusz, o miłości, która ziemię w raj zamienia, o całunkach rozkochanych ust, które się z sobą zlewają, jak dwa zgodne tony, jak dwa płomienie, w gorącym splecione uścisku. Ale marzenia te snuło dziewczę gdzieś w dal, w jasną jakąś, słońcem ozłoconą chmurkę bliżej nieokreślonej przyszłości, ku której serce jej rwało się w tęsknocie; dotychczas bowiem nie znalazło przedmiotu dla swego uczucia.

Aż raz w niedzielę po obiedzie — było to właśnie w zimie — wyszedłszy ze swą guwernantką na ślizgawkę, ujrzała młodego, smukłego bruneta, mogącego mieć co najwięcej lat dwadzieścia cztery, który cudów zręczności dokazywał na lodzie. Miał na sobie krótki, z bobrowym kołnierzem surducik, który uwydatniał jego harmonijne kształty i bobrową, z fantazyą na głowie osadzoną czapkę. Trudno było z odzieży rozpoznać,

kto to taki, ale z wdzięcznego układu i ze swobody, z jaką się poruszał, można było wysnuć wniosek, że to ktoś, co posiada niezależność i przyzwoite w świecie stanowisko.

Było-li to z umysłu, czy przypadkiem, dość na tem, iż nieznajomy młodzieniec nieustannie oskrzydlał pannę Różę, zręczne koło niej zataczając kręgi. Kilka razy spotykali się z sobą oko w oko. Dziewczę spostrzegło, iż młody łyżwiarz ma rysy twarzy piękne, ożywione jakimś zuchwałym wyrazem i duże czarne oczy, poglądające na nią z zaciekawieniem i lubością. Spojrzenie to mieszało ją i radowało zarazem. Panna Róża wróciła do domu rozmarzona, więcej nawet, bo zakochana w pięknym młodzieńcu.

Chodziła od tego czasu codnia, z bijącem sercem, na ślizgawkę, ciesząc się nadzieją, że go spotka. Szła wesoła i pełna jakiegoś lubego niepokoju; powracała smutna i przygnębiona, doznawszy przykrego zawodu. Nie zdarzyło jej się już ani razu spotkać pięknego łyżwiarza, ani żadnego z jego przyjaciół, zauważyła bowiem, iż przyszedł był wówczas w gronie wesołej młodzieży, której zdawał się przewodzić.

Może inną sobie obrał ślizgawkę, a może to był przejezdny, bawiący tylko chwilowo w Warszawie. Niepewność ta dręczyła ją i rozmarzała coraz bardziej. Wreszcie pękły lody i z romansu panny Róży pozostało tylko wspomnienie; coś niby sen, w którym postać pięknego bruneta rysowała się na tle śniegu i drzew, okrytych okiścią.

Ale sen ten był jej drogim; pieściła go i powracała ciągle do niego. Upajając się jego czarem, a strojąc go barwami wyobraźni, podnieconej czytaniem powieści i rozmarzających poezyj, wygrzewała swój romans dziewczęcy, karmiąc go tęsknotą. I zamieniał się pod tym wpływem sen jej powoli rzeczywistością, opanowując ją coraz bardziej, wnikając coraz głębiej w jej duszę i stając się życia jej potrzebą.

Pan Goldstück spostrzegł był przeobrażenie, jakie przebywała jego córka i zrozumiał, iż z dziewczęcego pączka rozkwita niewiasta. Prowadził ją teraz do teatru, na koncerta,

na wieczory w domach przyjaciół, radując się wrażeniem, jakie wszędzie wywoływało pojawienie się panny Róży.

Ale jakkolwiek w kołach, w których się obracał, nie brak było przyzwoitej młodzieży, nie mógł się żaden pochlubić, iż zdołał na siebie zwrócić uwagę rozmarzonego dziewczęcia. Ani teatr, ani muzyka, ani towarzyskie zebrania, nie miały dla niej uroku. Marzyła o swym pięknym łyżwiarzu i tęskniła.

Jednakże sława panny Róży rozeszła się po świecie i dyskretnie poczęli pana Augusta wypytywać przyjaciele i *szatchuny*, czyby tego lub owego młodzieńca nie przyjął za zięcia. Zgłaszali się w ten sposób pretendenci z Berdyczowa, z Kijowa, z Wilna, a nawet z Krakowa, Lwowa i Brodów — pretendenci poważni, młodzi, urodziwi, a co najważniejsze, majętni.

Pan August rokował z ajentami, korespondował z przyjaciołmi, poczytując ten rodzaj kojarzenia stadeł małżeńskich za właściwy. Wszakże to był właśnie sposób, w jaki Izaak pojął niegdyś Rebekę; wszakże i on sam przed trzydziestu laty poznał nieboszczkę swą małżonkę dzięki usłużnemu pośrednictwu *szatchunów!*

Wszelakoż rokowania te, jakkolwiek z wielką prowadzone usilnością, nie przynosiły długi czas pożądanego skutku; pan Goldstück bowiem wymagającym był, mając w tej mierze swój własny pogląd na rzeczy.

Tak jak dwa palce u ręki nie są sobie równe, tak też i ludzie różnią się ze sobą. Co innego np. jest Bergstein, a co innego Bernstein, co innego Feiteles, a co innego Teiteles, jakkolwiekby się napozór zdawało, że tu żadna nie zachodzi różnica i że obadwaj gdzieś z Grecyi tak, jak Tales, Sofokles, Praksyteles i Apeles pochodzą.

Tymczasem tak nie jest wcale, familia Taitelesów bowiem jest bardzo piękna, jest *iches*, od dawien dawna zamożna i używająca wielkiego poważania, podczas gdy Feitelesowie są wprawdzie także bogaci, ale się z Teitelesami, co do znaczenia, żadną miarą równać nie mogą.

Pan August, mając te względy na oku, nie kwapił się z wyborem pomiędzy licznymi konkurentami, którzy się zgłaszali, i przebierał pomiędzy Gold i Silbersteinami, Brylantami i Rubinami, Manelesami i Chanelesami, Cukiersüssami i Pomerancami, Lilienduftami i Rozenstokami, nie przymierzając tak, jakby to były ulęgałki.

Aż wreszcie zgłosił się aż ze Lwowa Teiteles, autentyczny, dwudziestosiedmioletni Teiteles, będący już doktorem medycyny, posiadający wcale pokaźny majątek i mający przed sobą widoki świetnej karyery. Był to właśnie zięć po myśli pana Augusta, bo i młody i przystojny i wykształcony i majętny i pochodzący z wielkiej familii.

Gdy więc pretendent oświadczył swoje zamiary i nadesłał swą fotografię, uznał pan August za rzecz stosowną wtajemniczyć córkę swą w stan rozpoczętych rokowań. Ale panna Róża wybuchnęła, na widok fotografii, płaczem, który trudno było utulić i nie chciała o niczem słyszeć, twierdząc, że doktor Teiteles jest brzydkim i że mu nigdy serca swego nie odda.

Prawdę powiedziawszy, miała panna Róża poniekąd słuszność względną. Twarz pretendenta składała się z rysów nader charakterystycznych a poczytywanych ogólnie za piękne i szlachetne. Miał nos i brodę Burbonów, usta o wydatnej Habsburskiej wardze, oczy i brwi właściwe członkom panującego włoskiego domu, a włosy nieco kędzierzawe, jak u portugalskich Braganzów. Ale wszystkie te piękności razem wzięte, tworzyły typ osobny i wielce charakterystyczny. Dość było spojrzeć na fotografię doktora Teitelesa, by odrazu poznać, do jakiej rasy należy.

III.

Kurs faluje, tak jak morze; *aggio* wznosi się, to spada, ale miłość duszy tkliwej trwa, jak wryty w ziemię głaz.

Pan Goldstück zmartwił się wielce, usłyszawszy słowa swojego dziecięcia. Zrazu usiłował je łagodnie nakłonić do

swoich zamiarów, przedstawiając mu świetność i korzyści tego związku, ale daremnie! Panna Róża nie chciała słyszeć o lwowskim pretendencie, twierdząc, iż woli umrzeć, niż oddać mu swą rękę. Tęczowy sen pana Augusta prysnął tak, jak bańka mydlana; nie było po co doktora Teitelesa sprowadzać do Warszawy.

Ojciec przestał nalegać, ale dziewczę płakało i tęskniło. Uczucie, drzemiące dotychczas w jego sercu, rozbudziło się było skutkiem ostatnich zajść i spotęgowało, ogarniając całą jego duszę. Panna Róża przyszła do przeświadczenia, iż żyć nie może bez pięknego łyżwiarza.

Niepokój, który ją trawił obecnie, począł się odbijać na jej zdrowiu. Rumieniec spełzł z jej lica, podobnego niedawno jeszcze temu do dojrzewającej brzoskwini. Oczy jej, marzące przedtem i zadumane, nabrały gorączkowego blasku. Suchy jakiś, niedobry kaszel począł ją dręczyć coraz częściej, osłabiając i rozdrażniając jej nerwy. Pod wpływem tym stawała się coraz skłonniejszą do płaczu i tęsknej zadumy.

Zaniepokojony ojciec wezwał najbieglejszych lekarzy; ci jednak oświadczyli, że panna Róża zdrową jest zupełnie i że niemoc, która ją ogarnęła, musi mieć źródło w jakiemś moralnem cierpieniu. Pan Goldstück zadawał sobie teraz pytanie, jakie to może być cierpienie? Dziewczęciu nie zbywało na niczem; opływało we wszelkie dostatki. Nie miało czasu nawet niczego pożądać, bo natychmiast spełniano jego życzenia. Uciech światowych i rozrywek, których mu ojciec nigdy nie skąpił, nie pożądało wcale. Nie była to więc nuda, która je rozstrajała i nękała. Pan August wpadł na myśl, że to prawdopodobnie musi być kochanie.

Jakoż, nie zwlekając wcale, począł córkę swą wybadywać w tym kierunku, a uczynił to z taką serdecznością, z takiem ciepłem, że panna Róża, rozrzewniona jego dobrocią, wyjawiła mu wśród pieszczoty swoją tajemnicę.

— No i czegóż się tu smucić? — zawołał uradowany. — Kochasz go, chcesz go, no, to go będziesz miała... Oj joj,

wielki interes!... Chociażby to był jaki hrabia, to ja ci go kupię... Potrzeba będzie dać sto tysięcy, to się Bogu dzięki znajdą... A jak będzie potrzeba dać jeszcze dziesięć tysięcy, i jeszcze dziesięć tysięcy, i jeszcze dziesięć tysięcy, to także jeszcze nie tak wielki strach... Tylko powiedz mi, kto on jest i jak się nazywa?

— Ja nie wiem, ojcze — odparła smutnym głosem panna Róża.

— Jakto, ty nie wiesz?... *Wie heist*, ty nie wiesz? — spytał pan Goldstück zdziwiony. Ty potrzebujesz przecie wiedzieć, jak się nazywa ten, w którym się kochasz.

— Widziałam go tylko raz jeden w życiu.

— Widziałaś go tylko jeden raz w życiu i kochasz go?

— Tak jest, ojcze, kocham go nad życie... Żyćbym nie mogła bez niego!

— *Heist ein stouss;* nie mogłaby żyć bez niego!...

Zerwał się z fotelu i począł szybkiemi krokami chodzić po pokoju.

— No i jakże on wygląda? — spytał znowu po chwili. — Trzeba go przecież szukać, skoro sam nie przychodzi, a ty nie możesz żyć bez niego.

— Słuszny jest i smukły... Ma czarne oczy i czarne wąsiki.

— No i co więcej?

— Jest bardzo zgrabny, umie się ślizgać doskonale.

— Nie o to chodzi... Ja się ciebie pytam, jak on wygląda?

— Ma krótki paltot z bobrowym kołnierzem i bobrową czapkę na głowie.

Pan Goldstück załamał ręce.

— No, i jakże ty chcesz, żebym ja ci w maju szukał człowieka, o którym tyle tylko wiesz, że się umie ślizgać i że ma bobrowe futro i czapkę bobrową! — zawołał płaczliwym głosem. — Przecież teraz nikt nie chodzi w futrze... Wszyscy noszą letnie żakiety i jasne kapelusze — dodał żałośnie.

Dziewczę wybuchnęło płaczem nerwowym.

— No, nie płacz, nie płacz, moje ty miliony! — uspakajał pan Goldstück, pieszcząc i całując rozżaloną. — Nie płacz, będziemy go szukali, znajdziemy go, tylko nie płacz, mój ty skarbie jedyny... Jak skoro on się ślizga, to on musi także i pływać, albo jeździć na tych dwóch kółkach, jak się to nazywa?

— Na bicyklu — odparła panna Róża.

— Właśnie, właśnie: na bicyklu... Będziemy go szukali pomiędzy wioślarzami i cyklistami... Przecież to nie jest żadna szpilka, żeby się zgubił i żeby go nie można odszukać w Warszawie.

Począł też pan Goldstück uczęszczać pilnie na regaty i wyścigi, prowadząc wszędzie ze sobą pannę Różę. Ludzie na giełdzie dziwili się, co to takiego i mówili, że Goldstück zwaryował, bo pan August nie mówił już teraz: *Ich nehm, ich gieb*, tylko powtarzał ciągle: *All hail* i *All right*...

Ale panu Goldstückowi nie chodziło wcale o popisywanie się z angielszczyzną, której nie rozumiał, lecz tylko o wyszukanie nie dającego się odszukać łyżwiarza. Powtarzał sakramentalne słowa, które słyszał, by sobie nadać cechę wielce w sporcie rozmiłowanego fantasty. Pragnął częstą swoją obecność w przystani i na torze upozorować w sposób jakiś, mniej lub więcej do prawdy podobny, by nie popaść w podejrzenie, iż polowanie na legendowego bruneta jest celem, za którym ugania.

Niestety, pomyślny skutek nie uwieńczył tych poszukiwań, prowadzonych tak usilnie i z taką ostrożnością. Czarnooki łyżwiarz był najoczywiściej wyłącznie tylko łyżwiarzem, bo ani pomiędzy wioślarzami, ani pomiędzy cyklistami niepodobna go było odszukać.

Panna Róża wychodziła z domu pełna otuchy, a wracała przygnębiona i znękana. Niepokój, który ją nieustannie trawił, oddziaływał coraz szkodliwiej na jej zdrowie. Ani podróż, ani pobyt w górach, ani porady najbieglejszych lekarzy nie przyniosły zdrowiu jej polepszenia. Zrozpaczony ojciec

postanowił szukać ulgi dla córki w magnetyzmie i zażądał porady u doktora Ochorowicza.

Zbadawszy tajemnicę panny Róży, pokręcił doktor Ochorowicz głową. W istocie, cóż mógł w tym wypadku pomódz magnetyzm; prędzej jeszcze magnetyzer. Można było wprawdzie przez suggestyę starać się nakłonić rozdrażnioną dziewczynę do spokoju. Więcej nawet, można było usiłować wmówić w nią, by o pięknym łyżwiarzu zapomniała.

Ale czyż się to uda w tym wypadku i wobec gwałtowności uczucia, jakie pannę Różę owładło? Zdawało się, iż uczucie to zbyt już głębokie w umyśle dziewczęcia zapuściło korzenie, by je można ztamtąd wyplenić, zwłaszcza bez niebezpieczeństwa dla zdrowia pacyentki.

Mimo to przystąpił doktór Ochorowicz do działania. Po kilku minutach uśpił pannę Różę w obecności jej ojca, nie posiadającego się z radości na widok uspokojenia i ulgi, jakie wpływ magnetyzera zdawał się chorej przynosić.

— Ach! panie doktorze, czy ona będzie zdrowa? czy tylko będzie zdrowa? — pytał ze łzami w oczach.

— Nie wiem, szanowny panie — odparł dr Ochorowicz. — Będę się starał wpłynąć na nią przez suggestyę, ale stanowczo za skutek zaręczyć nie mogę.

— Ach! panie doktorze! To mój skarb jedyny; to moje całe szczęście... Ja niczego nie będę żałował, byle ją uratować... Ja wszystko jej dam, wszystko dla niej zrobię, czego ona tylko zechce... Może ona czego potrzebuje?... Panie doktorze, niech ją pan spyta, czego ona potrzebuje... Panie doktorze, ja bardzo proszę, niech ją pan spyta o to!

Doktór Ochorowicz wzruszył ramionami, nie widząc celu takiego zapytania. Wszelakoż żal mu się zrobiło zrozpaczonego ojca, postanowił więc zadość uczynić jego życzeniu. I wykonawszy kilka pociągów odpowiednich, zapytał chorą:

— Panno Różo, czy mnie pani słyszy?

— Słyszę — odparła przytłumionym głosem.

— Powiedz mi pani, czego pani potrzebuje? — ciągnął dalej eksperymentator.

— Ja... potrzebuję... Maurycego — odparła z pewną trudnością dziewczyna.

— Powiada, że potrzebuje Maurycego — rzekł z uśmiechem doktór Ochorowicz, zwracając się do pana Augusta.

— Jakiego Maurycego?... Co za Maurycego? — pytał skwapliwie ojciec.

— Zkądże ja mogę wiedzieć? — odparł zagadniony.

— Ja znam tylko Maurycego Nelkena, Maurycego Orgelbranda i Jana Maurycego Kamińskiego... Panie doktorze, jak pan myśli, którego z nich ona może potrzebować?

— Sądzę, że żadnego — odparł doktór Ochorowicz. — Zresztą możemy ją zapytać, co to za Maurycy?

I położywszy rękę na czole chorej, spytał ją znowu.

— Panno Różo, jakiego pani potrzebuje Maurycego?

— Tego... którego... widziałam... na ślizgawce... Brunet... czarne oczy... bobrowe futro... i bobrowa... czapka.

— Ależ to niepodobna! — zawołał ojciec. — Ona widocznie bredzi w gorączce... Zkądże ona może wiedzieć, że mu na imię Maurycy?

— Prawdopodobnie musi wiedzieć, jak mu na imię.

— Ależ nie, bynajmniej... Pytałem ją niedawno o to... Odpowiedziała, że nie wie.

— Nie wiedziała na jawie, ale przypomniała sobie w magnetycznym śnie.

Pan Goldstück spojrzał na magnetyzera szeroko otwartemi oczyma.

— Nic w tem dziwnego, szanowny panie — ciągnął doktór Ochorowicz dalej. — Wypadki takie zdarzają się i w zwykłym śnie... Musiała słyszeć, że ktoś go nazwał Maurycym, ale wrażenie to zatarło się było w jej umyśle... Obecnie przypomniała sobie to wrażenie, tak jak się to zdarza w zwykłym nawet śnie... Wszystko zależy od warstwy świadomości, w której się dany jakiś obraz utrwala.

— Maurycy! Maurycy! — zawołał pan Goldstück. — Trzebaż nam teraz szukać tego Maurycego!

IV.

Kurs faluje tak, jak morze; *aggio* wznosi się, to spada,
Kto korzystać umie z chwili, ten jest mądry pan.

Suszył sobie teraz głowę pan August nad wynalezieniem sposobu odszukania tego Maurycego. Odkrycie jego imienia było do pewnego stopnia ułatwieniem, z którego należało skorzystać. Można już teraz było, na podstawie szczupłych danych, któremi się rozporządzało, ułożyć wezwanie do pięknego łyżwiarza, aby się zgłosił, celem porozumienia się w sprawie, ktora mu ustnie zostanie bliżej wyjaśnioną.

Jakoż po kilku dniach umieścił pan August w drobnych ogłoszeniach »Kuryera« wezwanie następującej osnowy:

»Młody, a ślizgać się umiejący brunet, któremu na imię Maurycy, zechce się zgłosić do kantoru bankierskiego Augusta Goldstücka i Spółki w Warszawie, celem porozumienia się w sprawie ważnej, a osobiście i zbliska go obchodzącej.«

Gdy się to ogłoszenie w »Kuryerze« pojawiło, poczęli ludzie głową kiwać nad panem Goldstückiem, dziwując się, iż taki mądry człowiek, takich się głupstw dopuszcza. Bo czy to słyszane rzeczy: pierwej biegał ciągle do przystani wioślarskiej i na tor cyklistów, powtarzając nieustannie: *All hail* i *All right*, a teraz szuka przez gazety jakiegoś łyżwiarza. Na co mu tego Maurycego? Prawdopodobnie chce się uczyć ślizgać na stare lata. Zwaryował, widocznie zwaryował!

Inni jednakże wietrzyli w tem tajemniczem ogłoszeniu jakiś zapaszek skandaliczny i domyślając się, że to o pannę Różę chodzić musi, haftowali na tle tem najnieprawdopodobniejsze plotki. Pomiędzy młodymi Maurycymi zaś, a jest ich w Warszawie niewątpliwie z kilkanaście tysięcy, wywołało ogłoszenie pana Goldstücka ogromne wrażenie.

Skoro taki potentat finansowy wzywa do siebie w sprawie ważnej przez dzienniki, to musi tu chodzić nie o byle co. Kto wie, czy ten, który na podstawie tego wezwania zgłosi się do kantoru Augusta Goldstücka i Spółki, nie zrobi losu?

Wszyscy bruneci, owszem, wszyscy nawet szatyni, którym przy chrzcie świętym i nie świętym dano Maurycego za patrona, pospieszyli hurmem na to wezwanie. Zgłosiło się też wielu rudych i blondynów, którzy sobie pofarbowali włosy, ażeby zadość uczynić wymaganym warunkom.

Pan Goldstück każdego pytał zaraz na wstępie: umiesz pan się ślizgać? Niektórzy odpowiadali twierdząco; inni nie przypuszczając, by człowiek poważny stawiał na seryo tak dziwaczne zapytanie, i sądząc, że ich pan August z mańki zażywa, wypierali się łyżwy stanowczo; inni wreszcie, przyznając się do tego otwarcie, że nie posiadają łyżwiarskiej sztuki, obiecywali święcie, że się jej w najkrótszym czasie wyuczą, skoro tego wymaga potrzeba.

Drugich i trzecich odsyłał pan August oczywiście do djabła i do stu piorunów; pierwszych zaś przyjmował w swym salonie, gdzie za portyerą ukryta, przypatrywała im się panna Róża. Umówionem było, że w razie pojawienia się autentycznego Maurycego, ostrzeże panna Róża ojca swego dzwonkiem o tym wypadku.

Przesuwała się tedy procesya Maurycych przez salon pana Augusta, ale w długim tym korowodzie nie pojawił się ten, którego szukano. Dzwonek milczał i milczał, a gospodarz zbywał gości swych po kolei, wyszukując zawsze coś, co interesanta czyniło niezdolnym do wrzekomego interesu, do którego go powołano.

Niepokój tego oczekiwania i tych zawodów rozstrajał coraz bardziej chorą pannę Różę, tak, iż musiano w końcu zaprzestać ogłoszeń, które do domu pana Goldstücka ściągały tak wielką ilość goniących za szczęściem Maurycych.

Dziewczyna popadła była teraz w dziwną jakąś obojętność i zmartwiałość. Całemi dniami siedziała, wpatrzona w jeden

punkt i w ciężkiej pogrążona zadumie. Nawet książki, w których niegdyś szukała rozrywki i pociechy, nie nęciły jej teraz wcale. Pan August rozpaczał nad losem ukochanego dziecięcia, nie widząc dla niego znikąd ratunku, ni pomocy.

Aż dnia pewnego zjawił się w kantorze młody i przystojny brunet, szukający posady. Przybywał z Berlina, z listem polecającym od jednego z przyjaciół pana Augusta. Pan Goldstück niechętnem okiem rzucił na natręta. Tak jest, niezawodnie; to była właśnie pora najstosowniejsza po temu! Pan Goldstück nie miał istotnie w tej chwili nic pilniejszego do roboty! Cóż go obchodzi jakiś praktykant, szukający zajęcia?

Już, już miał go odesłać z niczem, wyrażając swe ubolewanie, gdy rzuciwszy raz jeszcze okiem na list swego przyjaciela, wyczytał tam imię i nazwisko kandydata, ubiegającego się o posadę.

— Moritz Feiteles! — zawołał, wytrzeszczając oczy. — Moritz Feiteles? — powtórzył raz jeszcze drżącym od wzruszenia głosem. — I pan się nazywasz Maurycy?

— Tak jest, nazywam się Maurycy — odparł zagadniony, patrząc zdziwionem okiem na pryncypała. — Dlaczegobym się nie miał nazywać Maurycy?

— Pan się nazywasz Maurycy i jesteś brunet? — ciągnął dalej pan Goldstück, przypatrując się młodemu człowiekowi z wyrazem ciekawości, podziwu, życzliwości i uradowania. — A umiesz się pan ślizgać?

Kandydat spojrzał na niego ze wzrastającem zdziwieniem.

— Dlaczego nie mam umieć się ślizgać? — odparł, uśmiechając się pobłażliwie, przekonany, że pan pryncypał musiał zwaryować.

Pan Goldstück zerwał się z krzesła, przecierając oczy.

— Pan byłeś tej zimy w Warszawie?

— Byłem.

— Pan masz bobrowe futro i czapkę bobrową?

— Mam!... Dlaczegobym nie miał mieć bobrowego futra i czapki bobrowej?

— Chodź pan do mojej córki! — zawołał pan Goldstück uszczęśliwiony, zapominając w radości, iż nie powinienby okazywać tak jawnie swego zadowolenia. — Chodź pan do mojej córki! — powtórzył raz jeszcze, chwytając za ramię i ciągnąc za sobą oszołomionego młodzieńca.

— Chciałaś Maurycego, no, to go masz! — rzekł, stając przed córką swoją zdyszany. — Jest brunet i umie się ślizgać i ma bobrowe futro i czapkę bobrową!...

Panna Róża spojrzała na wpatrzonego w jej oczy młodzieńca. Twarz jej oblała się kraśnym rumieńcem. Pan Maurycy Feiteles był »autentycznie« owym, zeszłej zimy na ślizgawce widzianym Maurycym.

Młodzieniec pokraśniał także, ujrzawszy pannę Różę. Poznał ją odrazu; była to ta sama brunetka, którą widział ubiegłej zimy na lodzie i której twarz utkwiła mu w pamięci. Przypomniał sobie, iż odniósł był takie wrażenie, jak gdyby dziewczątko patrzyło na niego wtedy z ciekawością i miłym jakimś niepokojem. Tak, niezawodnie. Musiał się podobać, skoro pojawienie się jego tak wielce ucieszyło pana Goldstücka.

Świadomość ta napełniła go radością, raz dlatego, że mu istotnie w oko wpadła była piękna brunetka, a powtóre, iż sympatya panny Róży najświetniejsze mu otwierała widoki. Stał właśnie teraz na początku swej handlowej karyery. Otóż wejść w świat finansowy, w ten świat wielkich interesów, jako zięć Goldstücka, było to istotnie wielkim losem dla niezbyt zamożnego i nie posiadającego stosunków młodzieńca.

Wszystkie te myśli przesunęły mu się w jednej chwili przez głowę. Zrozumiał, że akcye jego stoją dobrze, lecz pojął równocześnie, że pragnąc kurs ten utrzymać i podnieść, powinien starać się utrwalić względy, któremi zaszczycała go piękna brunetka. Nie zwlekając też, podszedł ku niej, podał jej rękę, uścisnął dłoń i wymieniwszy swe nazwisko, zaczął mówić o spotkaniu na ślizgawce, o wrażeniu przyjemnem, które wtedy odniósł i które się głęboko wryło w jego pamięci.

A mówiąc to, podkreślał słowa spojrzeniem dużych swych czarnych, wyrazistych oczu, które domawiały to, czego nie wypowiedziały wyrazy. Panna Róża zarumieniła się po raz wtóry. Była mile wzruszona tem, co powiedział, a bardziej jeszcze tem, czego nie domówił, a co przeczuwała.

Podobała jej się jego swoboda i ten takt, z jakim wybrnął z tego nieco trudnego położenia, w którem go postawiło było rubaszne znalezienie się pana Augusta. Wdzięczna mu była za to, iż zwróciwszy rozmowę na inny przedmiot, zatarł niemiłe bądź co bądź wrażenie kompromitujących ją ojcowskich słów.

Rozmawiali więc jakiś czas jeszcze o przyjemnościach ślizgawki, które niestety dostępne są tylko w zimie i z których przeto spiesznie należy korzystać, nim prysną lody. Pan Maurycy wyraził nadzieję, iż teraz, gdy się w Warszawie osiedlić zamierza, będzie mógł tej przyjemności używać w towarzystwie panny Róży, co w oczach jego podnosi urok tej rozrywki.

Wreszcie powstał, uścisnął raz jeszcze dłoń uradowanego dziewczęcia i pożegnał pana Goldstücka, który mu polecił, by przybył nazajutrz, celem umówienia się o posadę, jaką mu ofiarować zamierza.

Pan August nie posiadał się z radości. Miał go wreszcie, tego bruneta w bobrowem futrze i w bobrowej czapce, którego tak długo napróżno szukał; miał tego Maurycego, bez którego jego córka nie może żyć. Niech on sobie będzie łyżwiarz, to on mu się przecież nie wyśliźnie. Zresztą, interes to nie jest żaden lód; tutaj Goldstück mocno stoi, a co chce, tego może dokonać.

W oczach mu się dwoiło. Zdawało mu się, że kanapy, fotele, zwierciadła i żyrandole tańczą — i on sam byłby się z niemi puścił w pląsy, tak się czuł szczęśliwym, taką pierś jego wzbierała otuchą.

Porwał pannę Różę wpół i zaczął pieścić i całować.

— No, co, jest Maurycy; jest ten sam z czarnemi wąsikami! — wołał, śmiejąc się wśród pieszczoty. — Ha, ha, ha!...

A co, nie mówiłem ci, że się znajdzie?... Co tu się smucić, co chorować?... Śmiejże się teraz, ha, ha, ha! śmiej się, będziesz go miała.

— Czy on mnie tylko zechce? — odpowiedziała panna Róża.

— Na co ty takie paskudne słowo mówisz: czy on mnie zechce?... Dlaczegoby on ciebie nie miał chcieć?... Oj, joj, i jak zechce... Przecieżeś widziała, jak się ucieszył, jak ciebie zobaczył... Zresztą, ja wszystko zrobię, co potrzeba... Ja mu dam jutro posadę... Siedm par butów musiałby schodzić, nimby znalazł taką posadę, jaką mu dam... A to wszystko dlatego, że ma czarne wąsy i że ci się podobał.

V.

Kurs faluje tak, jak morze; *aggio* wznosi się, to spada, ale miłość jest jak kompas, co w bezpieczny wiedzie port.

Pan Maurycy zrobił na panu Auguście bardzo korzystne wrażenie. Nie była to wprawdzie partya, o jakiej marzył dla swojej córki, bo najprzód był to Feiteles tylko, a nie Teiteles, co wielką stanowi różnicę. Powtóre nie był to ani doktór praw, ani lekarz, wysokie w społeczeństwie zajmujący stanowisko, tylko młody kupiec, nie posiadający żadnych stosunków i stojący dopiero na początku swojej karyery. Przed rokiem dopiero ukończył handlową akademię; potem był przez ośm miesięcy bezpłatnym praktykantem u Grünschnepfa w Berlinie — wcale nie tłusta posada!

Nie warto było również mówić o jego majątku. Miał dwunastą część kamienicy, może cztery, a może pięć tysięcy rubli całej parady. Cóż to jest dla zięcia takiego Goldstücka? Za to nie można mu było odmówić wykształcenia i urody. Zresztą nie było o czem gadać, podobał się pannie Róży, więc rzecz skończona. Pan Goldstück powiedział sobie, że go na zięcia pozyskać musi koniecznie.

Miał zresztą »interes« ten tak, jak się panu Goldstückowi w tej chwili przedstawiał, także swoje dobre strony, bo wydając córkę za pana Maurycego, nie potrzeba się było z nią rozłączać, tak jakby to uczynić wypadło, gdyby Rózia wyszła była za doktora Teitelesa, mieszkającego we Lwowie.

Powtóre, można było przypuścić, że pan Maurycy, jako Feiteles, jako mniej zamożny i nie posiadający wielkich stosunków, a stojący dopiero u początku swojej karyery, mniej będzie wymagającym od doktora Teitelesa, posiadającego wpływowe stanowisko, majątek i wielkie znaczenie w społeczeństwie.

Ostatni wzgląd ten odgrywał w kombinacyach pana Augusta wcale niepoślednią rolę, bo jakkolwiek gotów był dla uszczęśliwienia Rózi oddać wszystko, to jednakże byłby rad uczynić to jak najpóźniej. Pieniądz jest tak długo pieniądzem, dopóki się go w ręku trzyma. Można nim wtedy jeszcze obracać tędy i owędy, przysparzając sobie nietylko zysku, ale i przyjemności. Lecz jak go się raz odda zięciowi, wtedy już rzecz skończona. Nie ma już nawet o czem mówić, bo to już zupełnie tak, jakby go nie było.

Więc też przywitał pan Goldstück pana Maurycego wielce serdecznie, gdy się nazajutrz pojawił w kantorze. Posadził go na fotelu, potraktował prawdziwem hawańskiem cygarem i patrząc mu w oczy życzliwie, jął mówić:

— Nie ma u nas w tej chwili otwartej posady, a ja nie chciałbym z jednej strony panu byle co ofiarować, z drugiej zaś, nie mogę wspólnika mego obciążać jakimś nadzwyczajnym, a nie koniecznym wydatkiem... Ale ja panu coś powiem... Pan będziesz moim prywatnym sekretarzem... Pan będziesz... czytał gazety, a jak pan tam coś znajdziesz ciekawego, np. czy będzie wojna, czy nie będzie wojny, to mi pan to powiesz... No, oprócz tego, będziesz się pan przypatrywał robocie, jaka tu jest, będziesz pan starał się zaznajomić z interesem, czasem pan jakiś list napiszesz... Rozumiesz pan?

— Dlaczegobym nie miał rozumieć?

— Za to pan u mnie będziesz miał wikt — ciągnął pan Goldstück dalej z uśmiechem — śniadanie, obiad i kolacyę... No, i dam panu sto rubli miesięcznej pensyi... Czy zgoda?

— Ależ, panie radco! — zawołał uradowany młodzieniec. — Nigdym się czegoś podobnego nie spodziewał.

— Paneś się nie spodziewał?... No, i ja, co prawda, wcalem się tego nie spodziewał... A czy pan wiesz, dlaczego ja panu daję tę posadę?... Pan może myślisz, że ja potrzebuję prywatnego sekretarza?... Bynajmniej!... Ja pana biorę za sekretarza, dlatego, że się pan mojej córce podobał... Pan będziesz z nią chodził na ślizgawkę, na spacer, do teatru, na koncerta, no, a potem, jak się bliżej poznacie, to możemy i o małżeństwie pogadać.

— Panie radco! — zawołał młodzieniec, chwytając dłoń pana Goldstücka i ściskając ją wzruszony.

— Powoli — odparł pan August — powoli... Ja jeszcze nic nie powiedziałem... Ja tutaj nie mam nic do gadania, tylko moja córka... Moją rzeczą było dać panu posadę, więcem ją panu dał... A co się tyczy małżeństwa, to jej będzie rzecz... Jak przyjdzie czas, to niechaj ona powie, co o tem myśli... To będzie jej interes; przecież ona będzie z mężem żyła, nie ja.

Wziął sobie pan Maurycy tę nauczkę do serca i począł pilnie asystować pannie Róży, starając się jej przypodobać na każdym kroku. Nie było mu to rzeczą trudną, dziewczyna bowiem rozmiłowała się w nim była na pierwsze wejrzenie. Wszystko, co uczynił, wydawało jej się dobrem i pięknem; każde jego słowo znajdowała mądrem i dowcipnem.

Śmiała się i radowała, będąc w jego towarzystwie, a wesołość ta i szczera ochota, korzystnie oddziaływały na jej zdrowie, które wkrótce nic nie pozostawiało do życzenia. Widocznie prawdę powiedziała, gdy ją pytał dr Ochorowicz, czego jej potrzeba? Potrzeba jej było Maurycego.

Pan Goldstück cieszył się wielce ze szczęścia swej córki i nie strofował wcale swego sekretarza za to, iż więcej pilnował spacerów i ślizgawki, niż interesu. Wreszcie przekonawszy

się, iż młodzi ludzie szczerze mają się ku sobie, sam panu Maurycemu powiedział, iż czasby już pomyśleć o małżeństwie. Obiecywał, iż córce swej da piękną wyprawę, a zięciowi wyrobi intratną posadę u któregoś ze swoich przyjaciół, oraz że mu corocznie wypłacać będzie trzy tysiące rubli na utrzymanie żony.

Ale pan Maurycy nie był w ciemię bity. Wiedział on dobrze, jak głęboko się usadowił w sercu panny Róży i że pan Goldstück wszystko da, czego zażąda, byle tylko zapewnić szczęście swej jedynaczki. Więc też, czując mocny grunt pod nogami, naciągał strunę swoich wymagań, nie poprzestając na tem, co mu ojciec wyznaczyć zamierzał. Ostatecznie zgodzono się na trzy tysiące sześćset rubli rocznej renty, które pan Goldstück zobowiązał się w półrocznych ratach wypłacać swojemu zięciowi. Oprócz tego miał mu odstąpić willę, którą posiadał w Grodzisku i wypłacić w dzień ślubu trzydzieści tysięcy rubli do rąk pani Maurycowej. Można byłoby mieć trzech doktorów Teitelesów za te pieniądze!

Skrobiąc się w głowę i lamentując, przystał pan Goldstück na te warunki. W istocie, cóż miał robić? Nie mógł przecie dla głupich trzydziestu tysięcy rubli zerwać z tym, którego córka jego kochała tak gorąco. Wszakże Rózia dawno już powiedziała, iżby żyć nie mogła bez pana Maurycego. Ha, no, trudna rzecz! Trzeba się było zgodzić na te twarde warunki. Pan Goldstück pocieszał się myślą, że będzie miał sprytnego zięcia.

Zaraz po zaręczynach zaczęto robić wyprawę, na którą pan Goldstück nie żałował pieniędzy. Samych futer kupił córce swej trzy, sukien dwanaście, a co tam było okryć, a bielizny, a srebra stołowego, a porcelany! Śmiało można było z tych rzeczy sklep założyć. Za same koronki zapłacił trzy tysiące siedmset pięćdziesiąt dwa ruble i siedmdziesiąt dwie kopiejek.

Nie robiłbym o tem wzmianki, gdyby pan Goldstück sam każdemu nie mówił, ile go to kosztuje i gdyby ta suma nie była czarno na białem zapisana w jego rachunkach.

I wesele także było bardzo świetne. Kogo tam nie było? Był cały świat. Byli państwo Reichowie i pan Ehrenfest i pani Verstendig i państwo Filozofowie — sami ludzie zacni i uczeni. Był także pan Löw i pan Wolf i pani Adler i państwo Papagajowie i cały ogród zoologiczny — same najrzadsze zwierzęta.

Nie brakowało także państwa Goldbergów i Silbersteinów; był pan Brylant i pan Diamand i pan Topaz — wszyscy od kruszców i drogich kamieni. Byli także ludzie pachnący, jak pan Lilienduft i pani Mandelblüth i ludzie słodcy, jak pan Rodzynek i państwo Pomerancowie, i ludzie wojenni, jak pan Pistolet i pani Szabla, z małemi Szablątkami. Na wołowej skórzeby nie spisał, kto tam był, a wszystko się błyszczało od złota, pereł i drogich kamieni.

Wspaniałą też była kolacya, bo pan Goldstück powiedział kucharzowi, aby nie szczędził trufli, ni wina do sosów najlepszego gatunku. Pod tortami, pod cukrami i owocami uginały się aż stoły, a Sherry, Burgund, stary Tokaj lały się strumieniem. Wszyscy bawili się wesoło i byli pełni oczekiwania, wiedzieli bowiem, że pan August ma córce wręczyć czek na trzydzieści tysięcy rubli i że czek ten znajduje się w kieszeni jego fraka.

Ale pan August nie kwapił się wcale z oddaniem tych pieniędzy. Z nerwowem drżeniem przyciskał rękę do piersi, na której w kieszeni fraka spoczywał czek, dniem przedtem w banku zakupiony. Widocznie żal mu było rozstawać się z tym kapitałem. Wreszcie przemógł to na sobie, przywołał córkę, ujął ją za ręce i rzekł, śród ogólnej ciszy, drżącym od wzruszenia głosem:

— Moja kochana Róziu. Wiesz o tem, żem przyrzekł twojemu mężowi dać ci dziś trzydzieści tysięcy rubli... Te pieniądze mam tu na piersiach, w kieszeni mojego fraka... Ale czy ty wiesz, co to trzydzieści tysięcy rubli?... Trzydzieści tysięcy rubli, to kapitał, to majątek... Czy ty wiesz, ile ja się musiał napracować, nimem to zebrał?... Nie myśl, że mi to z nieba spadło; musiałem to ciężko zarobić.

Rozczulony, zamilkł chwilę, ocierając łzę z oka.

Panna Róża podniosła rękę jego do ust i wycisnęła na niej gorący pocałunek.

— Tak, ja wiem — ciągnął dalej pan Goldstück ze wzrastającem wzruszeniem — ty dobre jesteś dziecko, ale mimo to, trudno mi się rozstać z temi pieniędzmi, które musiałem tak krwawo zapracować... Ja ci coś powiem, moja Róziu — dodał, odsłaniając kieszeń swojego fraka — ja nie mam serca dać ci tych pieniędzy... Weź ty je sobie sama... Tutaj w kieszeni są.

To rzekłszy, odwrócił głowę, aby nie patrzeć na swoje umartwienie.

MARCUS TULLIUS MARUDA.

Humoreska.

Ile razy zdarzy mi się popełnić grzech jakiś mniej lub więcej różowy, ile razy dam się usidlić pokusie w koronkach i batyście, tylekroć odzywa mi się w sercu głos sumienia, strofując mnie i wytykając mi popełnione, lub też zamierzone zdrożności.

— Kaziu! Bój się Boga, co ty robisz?... *Quousque tandem?*... Narażasz na szwank zdrowie, spokój, cześć twą, a nawet i zbawienie!... Grzeszna miłość jest jedną z największych klęsk ludzkiego żywota; plonem jej są zawsze nieszczęścia, hańba i zgryzota!... Jest to jakby dół, napełniony zarzewiem... Przypomnij sobie przykład nieszczęsnego Parysa, który tak wielkie klęski sprowadził na siebie, na ród swój, na ojczyznę, uległszy grzesznej miłości... *Fuimus Troes, fuit Ilium et ingens gloria;* wszystko to zgubiła nieszczęsna namiętność!... Opamiętaj się na Boga! Jeżeli już tak słabym jesteś wobec pokus krwi gorącej, to się ożeń młodzieńcze!... Wprawdzie *nil melius coelibe vita*, ale czyż nie lepiej przy boku cnotliwej, wiernej i kochającej żony pędzić żywot w spokoju i zacności, aniżeli uganiając się za zwodniczemi wietrznicami, lecieć w przepaść grzesznej rozpusty?...

— E he, he! — odpowiadam na to. — Nie ma głupich!... Na co mi tych kłopotów i tego zmartwienia?... Gdzie dziś szukać żony kochającej, wiernej i przykładnej?... Wszakże wiem to z własnego doświadczenia, że ich nie ma!... Więc już jeżeli los taki na tym garbatym świecie, że ktoś musi rogi nosić koniecznie, to wolę już w każdym razie...

— Cyt, Kaziu, nie kończ bój się Boga, nie kończ — przerywa mi wtedy sumienie. — Opamiętaj się, młodzieńcze, co ty mówisz?... To bluźnierstwo! Sama już myśl taka grzeszną jest, i pozostawia brudny osad w duszy...

I strofuje mnie tak dalej sumienie, przytaczając liczne z życia i z książek przykłady na poparcie swych przestróg i wyrzutów.

Ani słowa! Prawi jak z książki, mimo to oczywista rzecz, że go nie słucham, przyznając mu zazwyczaj słuszność dopiero po niewczasie! Gdy różowy grzeszek mój odkwitnie, pozostawiwszy mi tylko cierniste wspomnienia; gdy mi sadła za kołnierz naleje moja batystowa pokusa, wtedy dopiero uznaję mądrość przestróg mojego wewnętrznego doradcy i skruszony obiecuję poprawę.

Jednakże i to nie pomaga, i przy najbliższej sposobności zapominając o przykładzie »nieszczęsnego Parysa«, lecę znowu na oślep w wiadomy już »dół głęboki napełniony zarzewiem«. Niestety, och niestety, wystarcza, by mi pierwsza lepsza pokusa w koronkach i batyście pokazała swe perłowe ząbki, natychmiast zapominam na śmierć o gorzkich naukach doświadczenia i o powziętych w chwili skruchy dobrych przedsięwzięciach!

* * *

Ale nie o to chodzi. Każdy z nas ma podobnego wewnętrznego doradcę i sędziego; każdy z nas słyszy surowy głos jego w chwilach pokusy, i każdy ma zawsze trzydzieści sześć tysięcy siedmset ośmdziesiąt dziewięć dobrych przyczyn, aby go nie słuchać. Chodzi mi tutaj o to, że ów głos wewnętrzny, ktory mnie w ważnych chwilach mego żywota ostrzega lub strofuje, brzmi zupełnie tak jak głos mojego starego nauczyciela Marczyńskiego, mając tę samą nosową intonacyę.

Dziwny to był człowiek ten Maruda — Marcus Tullius Maruda, jak go nazywałem, gdym wiedział, że mnie nie słyszy. Moralista i pedant, uczony a niedorzeczny, surowy a słaby,

podejrzliwy a naiwny, poważny a śmieszny zarazem, był on jak gdyby umyślnie wybrany na to, aby mi zbrzydzić tabakę, którą zażywał, klasyczną łacinę, którą co chwila cytował, i »rzymską cnotę«, o której prawił bez ustanku.

Nie było nic pocieszniejszego nad jego kazania, nadziane cytatami i przykładami z starożytnych dziejów. Chciałby mnie był gwałtem przemienić na Rzymianina, pełnego surowości i powagi. Dziecinne psoty moje były w jego oczach przerażającemi zdrożnościami. Gdym się dopuścił roztargnienia, prawił mi o Hannibalu, który już w dzieciństwie myślał poważnie; gdym zrobił żyda na papierze, stawiał mi za przykład Grachów i Katona.

Gderaniom takim nie było nigdy końca, i strofujący głos mego nauczyciela wbił mi się w słuch tak dalece, że go i dziś słyszę, ilekroć się dopuszczę jakiegoś wybryku. Wewnętrzny sędzia mój i doradca mówi przez nos, całkiem tak jak Marcus Tullius Maruda, cytując przytem łacinę, i nazywając mnie »młodzieńcze«, choć mam lat już blisko czterdzieści. Być może, iż się to wam dziwnem wyda, ale jestem najświęciej przekonany, że sumienie moje zażywa tabakę.

* * *

Niski, łysy i pękaty, miał nauczyciel mój głowę nadzwyczaj wielką a śpiczastą, ogromne odstające uszy, na wierzchu głowy osadzone oczy, i nos od zażywania tabaki fioletowy. Nie był to właściwie nos, lecz raczej narość gąbczasta, podobna do ośrodka w granatowem jabłku.

Nos ten wywierał na mnie wpływ magnetyczny. Słuchając wykładu, lub odpowiadając na pytania mego mentora, którego Achilesową piętą była ta narość potworna, nie mogłem od niej oderwać oczu.

Przekonałem się o tem wkrótce, że nie chcąc w zły humor wprowadzać Marudy, zwalczyć należy niemiłą mu ciekawość, ale nie miałem siły oprzeć się pokusie. Nos ten drażnił

mnie, rozciekawiał, łaskotał myśl moją i opanowywał uwagę, zwłaszcza latem, gdy do niego szturm przypuszczały muchy, z któremi rozpaczliwe walki musiał staczać mój nauczyciel.

Natarczywość ich doprowadzała go do wściekłości, którą jednak tłumił w sobie, nie chcąc zwrócić mojej uwagi na swe pocieszne zapasy. Wówczas mnie zasypywał gradem pytań bez liku, usiłując myśl moją zatrudnić i baczność odwrócić. Wszelako starania te ostrzegały mnie tylko, że w okolisy nosa Marudy dziać się musi coś nadzwyczajnego i z tem większą ciekawością przypatrywałem się jego wysiłkom. Wtedy stwierdziwszy moje roztargnienie, moralizował bez końca.

Nie mówił jednakże wprost, o co mu chodzi. Kołował zdaleka, strofując mnie za lekkomyślną nieuwagę i dopatrując się w niej zgubnego wpływu grzesznych podszeptów ducha wieku, »który niezdolnym jest pojmować i traktować życia tak poważnie, jak je pojmować i traktować winien człowiek cnotliwy«.

Lekkomyślność młodych obywateli, skłonność ich do szyderstwa i brak poszanowania dla starszych, były, zdaniem jego pierwszą przyczyną upadku społeczeństw. Tezę ową udowadniał, cytując: Juwenala, Petroniusza i Tacyta. Wynikało ztąd jak na dłoni, iż Rzym upadł dlatego jedynie, że młodzi patrycyusze nie mieli należytego szacunku dla nosów swych nauczycieli.

* * *

Portret Marcusa Tulliusa Marudy byłby niezupełnym, gdybym tu nie wspomniał o jego wstręcie do niewieściego rodu, i o jego wstydliwości posuniętej aż do dziwactwa. Nienawidził Łazienek i Saskiego ogrodu z powodu »nieprzyzwoitych« posągów, które się tam znajdują. Dla przechadzek naszych wybierał zawsze miejsca odludne, rumieniąc się, spuszczając oczy i usiłując odwrócić moją uwagę, ilekroć się nam zdarzyło spotkać jaką kobietę.

Jaki był powód tej odrazy, byłali to wrodzona nienawiść, byłli to skutek w miłości doznanych zawodów, tego wyjaśnić

nie jestem w stanie. Prawdopodobnie odgrywał w tem pewną rolę nos mojego mistrza, który, jak już wiemy, był Achilesową piętą tego surowego Rzymianina.

Cokolwiekbądź pewnem jest, że Marcus Tullius Maruda pałał ślepą zawziętością nietylko dla żywych kobiet, ale i dla tych, które już dawno umarły. Tłumacząc mi Wirgiliusza i Horacego, przeskakiwał wszystkie miejsca, które się do kobiet i bogiń odnoszą, a gdy mu wypadło mówić o mitologicznych, biblijnych lub historycznych bohaterkach, czynił to zawsze z tajemniczą jakąś niechęcią i pogardą.

Największą jednak nienawiścią gorzał Marcus dla Heleny trojańskiej. Ilekroć o niej wspominał, zapalał się gniewem bezmiernym, piorunując przeciw niewieściemu rodowi, którego płochliwość i zmienność — *varium et mutabile semper femina* — jest przyczyną wszystkiego złego na świecie. Miłość była, zdaniem jego, jedną z największych klęsk ludzkiego istnienia, a koniecznym plonem jej były nieszczęścia, hańba i zgryzota. Cnotliwy młodzieniec winien przeto unikać sideł niewieścich, gdyż — *notumque furens quid femina possit* — uśmiechy kobiet są zdradzieckim jadem, a spojrzenia zabójczą trucizną.

* * *

Rozumie się, że kazania te nie wywierały zamierzonego skutku. Tajemniczość nienawiści, którą Marcus Tullius Maruda pałał dla niewieściego rodu, zaostrzała tylko bardziej jeszcze moją ciekawość, a pogarda, z jaką się wyrażał o grzesznych rozkoszach miłości, rozpalała moją wyobraźnię. Odszukiwałem pilnie w Wirgiliuszu i Horacym miejsca, które mój nauczyciel pomijał i odczytywałem je po sto razy, marząc o Lydii i Amarylidzie, wzdychając do Semiramidy i Kleopatry, a roniąc łzy nad Dydoną i Ariadną.

Wyobraźnia moja płonęła. Postacie tych kobiet przyoblekały się w ciało i stawały się rzeczywistością. Nadawałem im kształty Nimf i Najad, których posągi widziałem w Łazien-

kach. Z zadrukowanej bibuły książek poglądały na mnie wilgotnemi oczyma i uśmiechały się do mnie błyskając ust koralem.

Żyłem w tym świecie jak basza. Kochałem się we wszystkich tych kobietach, jeżeli to można nazwać kochaniem, i nie wiem prawdziwie, której z nich największą część oddawałem mej duszy. Panowały nademną kolejno, stosownie do tego, jak się przesuwały w myśli mej ich postacie, to Juno »wołowooka«, to Wenus »niezwyciężona«, to wreszcie Pallas »dziewicza« — *virginis os habitumque gerens et virginis arma.*

Niemniejszem uczuciem gorzałem dla niewiast historycznych, mając podówczas już serce pakowne, jak angielski kuferek. Kochałem się na zabój w Helenie i Bryzejdzie, ubóstwiałem Hagarę i Zuzannę, szalałem za Aspazyą i Kleopatrą. Największą jednak miłością pałałem dla Judyty, której wizerunek widziałem raz na sklepowej wystawie. Oczy jej ścigały mnie wszędzie. Na wszystkich kajetach rysowałem jej potężne kształty, i tylko żałowałem, żem nie żył w jej czasach, by módz o nią walczyć z Holofernesem.

* * *

Marcus Tullius Maruda nie wiedział nic o tych romansach. Więżąc mnie w dwóch pokojach przy Wiejskiej ulicy, których okna wychodziły na odludne ogrody, sądził, iż mnie zabezpieczył przed wszelką pokusą. Nikt nie miał przystępu do mnie, prócz niego, starego zaufanego sługi, który nam obiad z miasta przynosił, tudzież nauczycieli muzyki i rysunku.

Pragnąc mi dać te talenta, a nie mogąc na wsi trzymać tylu nauczycieli, wyprawił mnie był ojciec z Marudą do Warszawy, powierzając mu równocześnie wybór tych, którzy mieli uzupełniać moje wychowanie. Maruda wywiązał się z tego polecenia z właściwą sobie sumiennością i rzeczy rozumieniem. Wybrani przez niego nauczyciele nie ustępowali mu wcale pod względem wieku, zalet wewnętrznych i ujmującej powierzchowności. Były to dziwolągi kubek w kubek podobne do mojego mentora.

Murem tym chińskim od świata odgraniczony, żyłem tedy, jak gdyby w pudelku napełnionem watą. Ale co dobrym octem zostać ma, to zaczyna kisnąć już zawczasu. Więc też nie na wiele się przydała ostrożność Marudy. Samotność, w której mnie trzymał, usposabiała mnie do marzeń, a tajemniczość jego zarządzeń dostarczała mej wyobraźni ciągłej podniety.

Nie mogąc wśród mego otoczenia znaleźć nic, coby mnie zajmowało i pociągało, wymykałem się w krainę fantazyi. Ojciec mój, któremu Maruda co tydzień obszerne o mojem sprawowaniu przysyłał doniesienie, ani się domyślał, że szukam dla niego synowej — na Olimpie.

* * *

Niebawem jednak zestąpiłem z błękitów na ziemię, zwróciwszy w inną stronę me uczucia. Cioteczna siostra Marcusa Tulliusa utrzymywała na Nowym Świecie pensyonat, w którym pewnego dnia mistrz mój objął wykład literatury.

Jakie pobudki skłonić mogły tę panią do tego, iż tak zaciętego wroga płci niewieściej powołała na nauczyciela w żeńskim pensyonacie — jakie przyczyny spowodowały Marudę do objęcia tej posady, tego się nigdy nie dowiedziałem. Z tego jedynie, że wypadek ten zdarzył się w środku kursu, oraz z tajemniczej i surowej miny mojego Rzymianina, domyślałem się, że tam zajść musiała jakaś awantura.

Tajemniczość, którą Marcus Tullius Maruda starał się osłonić ten wypadek, zaostrzała moją ciekawość i podniecała wyobraźnię. Wietrzyłem tam coś podobnego do porwania Heleny i gotów byłem po stronie Trojańczyków wystąpić z Marudą i jego siostrą w zapasy. W przekonaniu tem utwierdził mnie Maruda, piorunujący obecnie z większą jeszcze przeciwko nadobnej płci zawziętością.

Wszystko to drażniło mnie i niepokoiło nad wszelkie wyrazy. Sprzeniewierzyłem się Olimpowi i przestałem myśleć

o biblijnych niewiastach, a natomiast przeniosłem wszystkie moje uczucia do pensyonatu.

Nienawiść, jaką zawsze dla płci niewieściej okazywał Marcus Tullius Maruda, napełniała mnie obawą o los tych biedaczek. Co on im tam gada i jak się z niemi obchodzi ten barbarzyńca? Och, gdybym ja był na jego miejscu, z pewnością nie miałyby powodu się uskarżać. Całą godzinę byśmy się bawili, a piątki dawałbym bez słuchania lekcyj.

* * *

Więc też uderzyło mi serce w piersiach, jak gdyby młotem, gdy powróciwszy z lekcyi Maruda przyniósł po raz pierwszy kajety swych uczennic. Były tam rozmaite: w zielonych, niebieskich, różowych i liliowych okładkach, opatrzone wstążeczkami odpowiedniej barwy, na których zgrabną kokardką przymocowane były czyściutkie bibułki.

Pochłaniałem je oczyma zdaleka, nie śmiąc oddychać, aby nie zdradzić mego wzruszenia. Zdawało mi się, iż już teraz nie jestem sam na sam z Marudą, lecz, że jacyś mili i weseli goście weszli do mojego pokoiku. Cały dzień myślałem tylko nad tem, jakby się dobrać do tego skarbu, nie zbudziwszy podejrzeń mojego Cerbera. Kajety te nęciły mnie urokiem zakazanego owocu. Leżały przedemną na stoliku, a jam patrzył na nie pełen oczekiwania i miłego niepokoju, lubując się naprzód już przyjemnością, jaką sobie doznać obiecywałem, skoro je posiędę. Kiedy niekiedy przekonawszy się, że Cerber mój nie patrzy, wyciągałem ostrożnie rękę i dotykałem się ich lękliwie. Rozkoszny dreszcz przebiegał mnie wtedy po całem ciele.

Wreszcie na drugi dzień, gdy Maruda wyszedł na lekcyę, rzuciłem się na moją zdobycz, jak wilk zgłodniały. Było to prawdziwe objawienie. Ach te aniołki, jąkąż one cudowną miały ortografię, jakżeż pocieszne stawiały kulasy. Tu i owdzie kilka liter połkniętych w roztargnieniu, tam znowu żyd zlizany

języczkiem na papierze... wszystko to odsłaniało mi tajemnice pensyonatu, wszystko bawiło i czarowało zarazem.

Nie wiedziałem zrazu, w którą stronę zwrócić me sympatye, ze wszystkich bowiem kajetów poglądały na mnie wesoło te same trzpiotowate oczy, uśmiechały się te same figlarne usta. Imiona także nie dawały mi żadnej wskazówki. Były wszystkie zarówno dźwięczne i poetyczne. Aniela, Sabina, Róża, Emilia, Laura, Amalia, Flora — można tu było przebierać, jak w Olimpie. Ostatecznie zwróciłem afekta moje ku Florze, imię to bowiem odpowiadało najlepiej moim mitologicznym ideałom.

* * *

Cały tydzień bawiłem się temi kajetami; cały tydzień przemarzyłem słodko, czyniąc zadość serdecznej potrzebie, i wetując sobie nudy mej samotności i mego odosobnienia, w miłem towarzystwie tych pensyonarek, których nie znałem, ale z któremi łączyły mnie wspólność wieku i położenia.

Pod nieobecność Marudy poprawiałem zmienionem pismem wszystkie grubsze ortograficzne, gramatyczne i stylowe usterki, aby młodym mym przyjaciółkom oszczędzić strofowania. Możność przysłużenia się im w ten sposób ucieszyła mnie wielce, ale nie zadowolniła mnie jeszcze w zupełności. Chciałem się do nich zbliżyć jaknajbardziej, o ile na to pozwalały stosunki, chciałem im dać poznać, że jestem, że o nich myślę i szukam ich towarzystwa, podobnie jak ów więzień zamknięty w samotnej celi, który opukuje mury dokoła, dając znak o sobie i szukając czy w jego sąsiedztwie nie ma gdzie pokrewnej mu i współczującej duszy.

Wreszcie przyszedł mi na myśl ów koń drewniany, w którego brzuchu dostali się Grecy do wnętrza Troi. Wyrysowałem Marcusa Tulliusa Marudę, odzianego w strój rzymski, i toczącego wojnę z rojem olbrzymich much. Karykatura ta udała mi się wyśmienicie, podobieństwo było uderzające, a ruchy

i wyraz twarzy zrozpaczonego Rzymianina, oddane w siedmiu obrazkach z wielką prawdą i humorem.

Arcydzieło to opatrzyłem łacińskim i polskim podpisem: »*Marci Tullii Marudae bellum contra muscas* — Marcusa Tulliusa Marudy wojna z muchami«. Poczem włożyłem je pomiędzy wierzchnią a wewnętrzną okładkę kajetu mojej Flory, oczekując pełen trwogi i niepokoju, co z tego wyniknie.

Podstęp udał mi się wybornie. Ukończywszy poprawianie kajetów, zabrał je Marcus Tullius do pensyonatu, nie przeczuwając zdrady. Przyszły więc dla mnie chwile gorączkowego oczekiwania. Czy Flora zaglądnie pomiędzy okładki swego kajetu? Czy przypadkiem nie popadnie mój rysunek w ręce nauczycielki i nie stanie się dla niej przyczyną kłopotów? Myśl ta przerażała mnie i żałowałem już prawie mojego postępku.

Po kilku dniach jednakże uspokoiły się moje obawy. Marcus Tullius powracał z pensyonatu w jednakowo złym humorze i nie było nic takiego, coby zdradzało, iż psota moja została odkryta. Więc już teraz myślałem tylko o tem, jakie też wrażenie zrobi mój rysunek pomiędzy pensyonarkami i czy w ten sposób będziemy się mogli znosić ze sobą, drwiąc z surowości i przenikliwości Marudy.

Nie mogłem się doczekać powrotu kajetów. Po upływie tygodnia przyniósł je wreszcie Maruda z pensyonatu. Korzystając z chwilowej nieobecności mojego mistrza, który zwykł się był wydalać zawsze w czasie lekcyi muzyki, rzuciłem się na skarb mój pełen oczekiwania i nadziei. O radości! W miejsce mojego rysunku znalazłem ćwiarteczkę listowego papieru, ozdobioną trzema bratkami i podpisem: *Pensez à moi*, a dalej słowa: »Marcus Tullius M... wyborny. Prosimy o więcej«.

Nie posiadałem się z radości. Bilecik schowałem w kieszonkę od surduta na sercu i podbiegłem do fortepianiu, starając się ukryć wzruszenie. Ręce mi drżały; zdawało mi się, że z kieszonki surduta bije żar, którego ciepło rozchodzi się po całem mojem ciele. Piżmowy zapach papieru upajał mi

zmysły. Usiadłszy, zacząłem bębnić gamy, a nie były to już gamy proste, lecz jakieś tryumfalne fanfary, jakieś hymny zwycięzkie, jakaś burza tonów, nie mająca z harmonią nic wspólnego, ale odpowiadająca mojemu niepokojowi. Napróżno starał sią nauczyciel poskromić te zapały; nie byłem w stanie zapanować nad sobą w tej chwili.

* * *

Czułem się szczęśliwym nad wszelkie wyrazy. Posiadałem tajemnicę, której się nie domyślał Maruda, ani całe moje otoczenie. Mogłem korespondować teraz z pensyonatem po za plecyma mojego Rzymianina, któremu narzuciłem rolę poczty-liona, ani wątpiąc o tem, że ją teraz już spełniać będzie, jak należy. W osamotnieniu, w jakiem mnie trzymano, była to dla mnie nielada pociecha.

Co chwila sięgałem do kieszonki surduta, by się przekonać, czy mój skarb jest tam jeszcze. Był rzeczywiście gładki i miły w dotknięciu, pełen zapachu, który mi głowę zawracał. Co za rozkosz, co za rozkosz! I to wszystko zawdzięczałem Homerowi, a raczej dowcipnemu Ulissessowi, którego koń drewniany nasunął mi pomysł, w jakiby sposób zawiązać stosunki z pensyonatem.

Więc też co chwila powtarzałem wstęp do *Iliady*, chwalący mądrość wielowędrownego męża.

— *Andromoi ennepe musa poli tropon hos polla.*

— Co ty tam mruczysz, Kaziu? — pytał mnie Maruda.

— Powtarzam wstęp do *Iliady*.

— Tak, tak młodzieńcze — odpowiadał z widocznem zadowoleniem. — W starożytności szukaj wzorów... Tam znajdziesz przykłady cnoty obywatelskiej, męztwa i hartu duszy, które cię wesprą w walce i doprowadzą do celu na drodze żywota... *Puer si quae fata aspera rumpas, tu Marcellus eris!*

Ani się domyślał, że tak pilnie słucham jego rady.

* * *

Rozpoczęło się teraz pomiędzy mną a pensyonarkami ciągłe listowanie. Surowy Marcus Tullius Maruda spełniał rolę posłańca z wielką uroczystością, nieświadomy pociesznej roli, jaka mu przypadła. Zrazu przesyłaliśmy sobie karykatury, których zazwyczaj Maruda był przedmiotem, niebawem jednak daliśmy za wygraną rysunkom, których treść zbyt uboga nie wyrażała naszych myśli.

Mieliśmy już teraz sobie zbyt wiele do powiedzenia. Tajemnica i urok zakazanego owocu pociągały nas ku sobie i zapalały naszą wyobraźnię. Więc też nie było teraz końca paplaninie, którą zapełnialiśmy długie ćwiartki, plotąc trzy po trzy o chęci zbliżenia się i poznania, o miłości, o tęsknocie, tak jakbyśmy wiedzieli, co to wszystko znaczy.

Listy, które mi przynosił Maruda, były zawsze pisane jedną ręką, wydawały jednę i tę samą woń piżmową i pałały jednem i tem samem gorącem uczuciem. Jakie tam myśli powodowały moją korespondentkę, czy pisała tylko dla żartu i zabawy, czy też na seryo brała to, co wyrażały jej listy, tego nie jestem w stanie powiedzieć. Tyle tylko wiem, że serce moje i umysł były naprawdę zajęte moją nieznaną korespondentką.

Dla mnie nazywała się ona Florą i była podobną do Pallady — *Virginis os habitumque gerens et virginis arma.* Nadmienić tu zresztą muszę, że nie byłem nigdy wybrednym. Zdaje się więc, iżbym się wcale nie gniewał o to, gdybym ujrzawszy piękną moją, spostrzegł, iż jest podobną do Judyty.

* * *

Zaszedł jednakże wypadek, który pomieszał szyki moich marzeń i wykoleił mnie z dotychczasowego spokoju. Wyszedłszy dnia pewnego z Marudą do miasta, by kupić tablicę logarytmów w księgarni, spotkaliśmy pensyonat siostry mojego mentora. Gdy Marcus Tullius spostrzegł grożące mej cnocie niebezpieczeństwo, zapóźno już było myśleć o odwrocie. Mimo to szarpnął mnie za rękę, chcąc pociągnąć na przeciwległą

stronę ulicy. Ale ruch przejeżdżających dorożek udaremnił jogo zamiary.

Przeszły więc koło mnie wszystkie w granatowych sukienkach i popielatych kapelusikach, przeszły uśmiechając się figlarnie i poglądając na mnie ciekawie, naprzód słuszne, potem małe w szeregu. Szły kłaniając się Marudzie z minkami, które nie warte były i pół grosza i spoglądając na mnie ukradkiem, a ja patrzyłem na nie oszołomiony, nie wiedząc, w którą stronę zwrócić oczy, takie mi się wydały piękne i brunetki i szatynki i blondynki, i te z czarnemi i te z niebieskiemi oczyma, i te z pociągłym noskiem i te, które miały nosek zadarty do góry.

— Gdzież Flora — pomyślałem. — Zgaduj teraz zgadula, gdzie moja złota kula? — Gdym myślał o brunetkach, w oczach mi stawały blondynki i na odwrót. Biedziłem się tedy, nie wiedząc gdzie właściwie umieściłem moje afekta. W tej niepewności utwierdził mnie jeszcze wonny liścik na welinowym papierze, który mi nazajutrz w czasie niebytności Marudy oddano. Pismo było to samo co zwykle, ale treść jego odmienna.

»Licząc na dobre serce pana — pisała moja korespondentka — ośmielam się prosić o napisanie mi wypracowania p. t.: »Zasługi Kopernika dla nauki i świata«. Ponieważ wiem, że czasu obecnie panu nie brak, a więc proszę koniecznie o napisanie i przysłanie mi tego ćwiczenia jeszcze w tym tygodniu. Przysłać zaś proszę bardzo tylko między godziną 12-tą a 1-szą, t. j. w pauzę, na ręce p. Anny Szymkajło, pod adresem: »Pensya p. Hermenegildy Marczyńskiej, Nowy-Świat Nr 34.« Pozostaję *Widzianą a Niepoznaną.*

»*PS.* Sądzę, że dyskrecya zachowaną, a śledztwo zaniechanem będzie. Odpowiedź proszę nieinaczej jak tylko przez posłańca zaufanego przysłać schodami pensyonarskiemi t. j. nie frontowemi z bramy, tylko przez podwórze z sieni. Mam nadzieję, że pan Kazimierz dobrze się sprawi, a nagroda go nie minie«.

Punkt i domyślnik długi na pół łokcia.

* * *

»Widziana a niepoznana!« Te dwa słowa huczały mi teraz w głowie, jak dwa bąki wypuszczone ręką żaka. Co ona tem chciała powiedzieć, dlaczego je podkreśliła? Napróżno szukałem odpowiedzi na to pytanie. Zdawało mi się, że się po za tem kryć musi tajemnica. Uczucie to niepokoiło mnie, sprawiając mi zarazem przyjemną niespodziankę.

I rzeczywiście zaszła już teraz była skutkiem tego listu zmiana w sceneryi mojego romansu. Przedmiot mej miłości uosobił się niejako, nie przestawszy mimo to być zagadką. Uczucie moje zeszło było z dziedziny nieokreślonych porywów na grunt bardziej realny i konkretny. Przestałem myśleć o wszystkich, bo mnie już teraz ku sobie ciągnęła ta jedna, jedyna, która słodką mi przyrzekała nagrodę. »Widziana a niepoznana!« W istocie było w tych dwóch słowach dosyć, aby do szaleństwa rozmarzyć młodego studenta!

Więc też czemprędzej napisawszy żądane wypracowanie, dołączyłem list pełen wynurzeń i zaklęć miłosnych tak gorących, iż prawdziwie nie pojmuję, jakim się to stało cudem, iż nie spaliły papieru, i włożywszy obydwa te pisma w jedną kopertę, wręczyłem je synowi naszego stróża, aby je pod wskazanym oddał adresem. Chłopak to był bardzo sprytny i do mnie przywiązany; mogłem się więc na niego spuścić, jak na siebie samego.

Wraz z kajetami przyniósł mi Marcus Tullius Maruda odpowiedź, i — o radości! — fotografię »widzianej a niepoznanej«. Teraz przynajmniej wiedziałem, kto moje serce posiada!

* * *

Trudnoby mi było szczęście moje opisać. Nie posiadałem się z radości. Całe dnie spędzałem teraz na wpatrywaniu się w fotografię, wkładając ją zawsze pomiędzy kartki książek, z których się uczyłem. W istocie, nie zauważyłem był tej twarzyczki, która jednak na to zasługiwała. Była to czternastoletnia może dzieweczka o zadartym nosku, bujnych włosach

i figlarnem spojrzeniu. Jakiego koloru były jej oczy i włosy, o tem z fotografii nie mogłem sobie zrobić dokładnego wyobrażenia i prawdopodobnie ginął w niekolorowanym obrazku osobisty charakter tej twarzy. Inaczej musiałbym ją poznać koniecznie. Wszakże się sama nazwała widzianą.

Niedokładności te obiecywałem sobie uzupełnić, skoro ją raz jeszcze zobaczę. Tymczasem rysowałem postać jej na wszystkich kajetach, dodając fantastyczne upiększenia, które z trzpiotowatej pensyonarki robiły klasyczną boginię. Niemniej często odczytywałem list mej korespondentki, która mnie, co prawda, w wyrazach mniej gorących niż moje, lecz niemniej stanowczo zapewniała o swem uczuciu.

Pomimo swego trzpiotowskiego wyglądu, była to osoba, jak się zdaje, wielce poważna. Takie przynajmniej robił wrażenie jej list i sposób, w jakim pojmowała uczucie. Z wielką trzeźwością i powagą zastanawiała się nad ważnością takiego kroku, jakim jest wybór dozgonnego przyjaciela, mimo to nie odmawiała mi serca i ręki, »licząc na stałość charakteru i zacność uczuć pana Kazimierza«.

* * *

Więc też nam już teraz jako posłaniec nie wystarczał Maruda, który mi regularnie co dwa tygodnie przynosił list obszerny z pensyonatu. Syn naszego stróża nosił tam niemal codzień moje korespondencye, i nawzajem niemal codzień dochodziły mnie z pensyonatu rozliczne przesyłki. Kochałem się na zabój i chodziłem poważny i nadęty moją miłością i tajemnicą. Zdawało mi się, że jestem kimciś, że jestem figurą nielada, taką mnie uroczystością napełniała świadomość żyjącego w piersi mej uczucia.

Snuł się tedy mój romans gładko i równo jak z płatka, i czułem się w nim bezpiecznym jak gdyby w mocnej warowni, aż dnia pewnego zawezwano Marudę pod wieczór do pensyonatu. Niezwykła pora tego wezwania, nagłość jego i sposób,

w jaki je uczyniono, wszystko to wykraczało tak dalece po za zwyczaje, iż przypuszczać należało, że w pensyonacie zajść musiało jakieś ważne, niespodziewane a wyjątkowe zdarzenie. Można sobie wyobrazić, jak dalece wypadek ten zaniepokoił moje niezbyt czyste sumienie.

Więc też z bijącem sercem oczekiwałem powrotu Marudy, który pełen zdziwienia i — *notumque furens quid femina possit* — podejrzliwego lęku udał się był do pensyonatu, czyniąc zadość wezwaniu przełożonej. Wrócił surowy i złowrogi. Twarz jego wyrażała ból, wstyd, przestrach, gniew i oburzenie.

Spojrzałem na niego z trwogą. Kępka włosów, siedzących na jednej z brodawek jego nosa, których czułość na wszelkie meteorologiczne i psychiczne zmiany zauważyłem był już oddawna, przybrała była teraz postać niezwykłą. Włoski te wydłużały się zazwyczaj i podnosiły na pogodę, a kurczyły i zwijały, ilekroć burza wisiała w powietrzu. Obecnie zakrzywiły się one nakształt haków, nakształt żądeł, nakształt drapieżnych szponów. Wszystko to nie wróżyło mi spokoju ni uciechy.

Zamknąwszy drzwi za sobą, stanął przedemną w oratorskiej postawie i zawołał: »nieszczęsny młodzieńcze!« Nie sposób było się łudzić; tajemnica mego romansu była odkrytą.

* * *

Więcej niż dwie godziny trwało jego kazanie. Przekonałem się z trwogą, iż wiedział o wszystkiem, i że nie sposób było myśleć o jakimś wybiegu. Zdaniem jego dopuściłem się hańbiącego czynu, a podstęp, do którego się uciekłem, narzucając mu rolę posłańca, odsłonił całą nikczemność mego charakteru.

Ostre te wymówki bolały mnie bardzo, a jeszcze bardziej nękała mnie myśl, iż ubóstwiana moja narażoną jest na podobne wyrzuty. Marcus Tullius wyrażał się o niej z wściekłością, która mnie napełniała obawą o los biednej Flory.

— To ja, to ja wszystko zrobiłem! — wołałem szlochając. — To ja rozpocząłem i prowadziłem korespondencyę, ale w dobrej, w poczciwej myśli, bo się chcę z nią ożenić... Ona niczemu niewinna, ja także niezdolny jestem podłości... Jeżelim wkładał do jej kajetów listy, to i cóż ztąd, skoro się inaczej nie mogliśmy porozumieć.

— To podłość nikczemna! — piorunował Maruda. — Obłudą twego postępowania wprowadziłeś w błąd mnie... mnie, któremu zwierzono opiekę nad twoim losem... Oczywista rzecz, że się nie mogłem spodziewać podobnego zepsucia w tak młodym wieku i że się dałem oszukać... Ale dziś odkryte zostały podstępne twoje zdrady, a hańba twojej niecnoty została odsłoniętą... Wstydź się, nieszczęsny młodzieńcze! Takiż to owoc zbawiennych rad i nauk, które ci dawałem, takimże ci zawsze przyświecałem przykładem!

* * *

I perorował tak dalej, zawzięcie cytując Katona i Senekę, a grożąc mi gniewem ojca, któremu zamierzał donieść o mojem postępowaniu. Słowa jego kruszyły mnie i pogrążały w rozpacz bezdenną, bo jakkolwiek nie miałem świadomości zbrodni, którą mi zarzucał, to jednakże nękały mnie srodze te zarzuty, uwłaczające mojemu honorowi i uczciwości moich zamiarów.

Z drugiej strony zatruwała mi serce myśl o cierpieniach biednej Flory i wzgląd na to, że to ja na nią ściągnąłem to nieszczęście. Całą noc biedziłem się, szukając ratunku, ale daremnie. Położenie moje wydawało mi się bez wyjścia, a serce moje ściskał wstyd i żal za utratą tego szczęścia, którego się sądziłem tak pewnym niedawno temu jeszcze.

— Umrzeć, umrzeć! — zawołałem, miotany rozpaczą.

Myśl o śmierci opanowała mnie, nęcąc szczególniejszym urokiem. To było zakończenie poetyczne, które odpowiadało wielkości moich uczuć i mego nieszczęścia. Jakoż zerwawszy się rano, i wysunąwszy się cichaczem z pokoju, pobiegłem do

syna naszego stróża i pożyczyłem od niego olbrzymi skałkowy pistolet, z którego zwykł był strzelać wróble w ogrodzie.

Za dwadzieścia groszy kupiłem u niego nabój prochu i kawałek ołowiu; potem nabiwszy broń z wielką uroczystością, schowałem ją pod tużurek i udałem się do mego mentora. Umyśliłem bowiem odebrać sobie życie w jego oczach z wielką prozopopeją, tak, aby śmierć moja nietylko zmyła plamę ciążącą na mem imieniu, ale w dodatku otoczyła mnie jeszcze aureolą bohaterskiego męczeństwa.

Cobym był zrobił wtedy, gdyby Marcus Tullius Maruda przyjął był obojętnie moje oświadczenie, iż zamierzam koniec położyć memu życiu. Sądzę, iżby mnie był tem postawił w wielkim kłopocie, zdaje mi się bowiem, że jakkolwiek mocno byłem wzburzony, odgrywałem komedyę przed samym sobą i że ujrzawszy się nagle wobec nabitego pistoletu, któregoby mi nikt użyć nie bronił, byłbym ze wstydem zaniechał mojego zamiaru. Być jednak może, iż się mylę. Młodość tak głupią jest, tak szlachetnie, tak bohatersko głupią, że gdy ją zapał ogarnie, nie ma dla niej niemożliwości, i roztropniej jest nie wystawiać szczerości jej na próbę.

* * *

Marcus Tullius Maruda zbladł jak chusta, gdy stanąwszy przed nim w teatralnej postawie, wydobyłem olbrzymi pistolet z pod tużurka.

— Ka... Ka... Kaziu fe!... Co ty robisz, bój się Boga — jęknął dygocząc, jak gdyby w febrze.

— Paneś mnie nazwał podłym — rzekłem grobowym głosem. — Pan wydałeś na mnie wyrok śmierci, bo kto podły, ten nie wart, żeby go święta ziemia nosiła.

— Ale Kaziu fe, fe; nie żartuj — bełkotał Maruda, kuląc się i usuwając na bok z przestrachem. — Po... połóż to, bo jeszcze wystrzeli.

Miał widocznie zamiar wynieść się z pokoju, ale mu zastąpiłem drogę, chcąc koniecznie dokonać w jego oczach mego zamiaru.

— Wystrzeli, z pewnością wystrzeli! — rzekłem patetycznie. — I kula ta trafi odrazu dwa serca: moje i Flory... Paneś tego chciał, paneś wydał wyrok śmierci na mnie, nazwawszy mnie podłym i nikczemnym.

— Ależ, Kaziu, ja to odwołam... Jak chcesz, ja to zaraz odwołam, tylko połóż ten pistolet, bo gotowo być jakieś nieszczęście.

— Odwołasz pan?

— Odwołam, święcie odwołam.

— I pójdziesz pan wytłumaczyć siostrze swej, że ja i Flora kochamy się uczciwie, i żeśmy sobie przysięgli pobrać się, skoro ona skończy pensyę a ja gimnazyum.

— Ależ to nie ma sensu.

— Co, nie chcesz pan! — zawołałem, przykładając pistolet do czoła.

— Chcę, chcę, wszystko zrobię, tylko połóż ten pistolet, żeby broń Boże nie było nieszczęścia.

— Wytłumaczysz pan wszystko swej siostrze?

— Wytłumaczę, wytłumaczę!

— I powiesz jej, żeby Florze nie robiła przykrości?

— Powiem, powiem, tylko połóż pistolet.

— Przysięgnij pan!

— Przysięgam.

Uspokojony tem przyrzeczeniem, położyłem broń na stoliku, a Maruda porwawszy kapelusz, czmychnął z pokoju.

* * *

Czy się istotnie wywiązał ze swego przyrzeczenia, tego nie wiem. Zapewniał mnie, że tak, unikając zresztą w ciągu następnych dni wszelkiej ze mną w tej sprawie rozmowy. Był dla mnie nad wszelkie wyrazy grzecznym; unikał strofowania

i cytat z łaciny. Ale to wszystko było tylko pozornem; w istocie przeżuwał Marcus Tullius swą zemstę, oczekując tylko przyjazdu mego ojca, któremu niezwłocznie doniósł o tem, co zaszło.

Jakoż w kilka dni przybył ojciec mój, przed którym sprawa została wytoczoną na nowo. Ku wielkiemu zdziwieniu Marudy, nie wziął jednakże rzeczy tej wcale do serca, owszem, zdawało się nawet, że go bawi to całe zajście, w którem mój Rzymianin widział tyle zdrożności.

Trudno było po tym wypadku pozostawić mnie pod opieką Marcusa Tulliusa Marudy, którego system wychowawczy tak się okazał wadliwym. Więc też odebrał mnie ojciec i wywiózł na wieś, a później do Louvain, gdzie niebawem zapomniałem o moim Rzymianinie.

I tylko wtedy, gdy mi się zdarzy popełnić jakiś grzech mniej lub więcej różowy, lub gdy się dam usidlić pokusie w koronkach i batyście, odzywa się w sercu mojem nosowy głos Marcusa Tulliusa Marudy, wytykając mi popełnione lub zamierzone zdrożności.

— Kaziu, bój się Boga, co ty robisz?... *Quousque tandem*, młodzieńcze?... Narażasz na szwank zdrowie, spokój, cześć twą, a nawet i zbawienie... Grzeszna miłość jest jedną z największych klęsk ludzkiego żywota; jest to jakoby dół napełniony zarzewiem.

Ale ja sobie nic z tego nie robię i nie myślę wcale dla pięknych oczu Marudy i jego nosowego głosu wyrzekać się pokusy. Ach ba, ani mi to w głowie! Wszakże wiem, jak się postępuje w takich razach. Bierze się skałkowy pistolet do ręki i zmusza Rzymianina do kapitulacyi, wedle wiadomej państwu recepty.

PRZEZ JEDNĘ CHWILĘ.

Nowelka.

Usiadłem pod cieniem rozłożystej lipy i marzę...

Nademną sklepi się koronkowy baldachim z zieleni; sierpniowe słońce dzierżga ten namiot złotym haftem, zapala tu i owdzie szmaragdowe blaski i spada płowym deszczem światła na murawę.

U stóp mych rozścielił się miękki kobierzec łąki, utkany w fantastyczne wzory.

Kaczeńce i wole oczka rozsiały tam swe bursztyny, szafirem mrugają ostróżki i polne dzwonki, krwawym rubinem iskrzą się gwoździki... Rude kity szczawiu i białe pióropusze krwawników, chwieją się w podmuchach lekkiego wiatru, który płynąc po trawach i ziołach, sunie się zwolna po łące, przypada do mnie i przynosi mi w mrących tchnieniach nieokreśloną woń polnego kwiecia, ziemi i świeżości...

Co tu życia! Ile tu ruchu dokoła!

Po nad kwiatowemi kielichami igrają barwne motyle; w powietrzu szybują zwinne jaskółki; pijąc słodycz z miodowych ziół, wydzwaniają muszki swą tajemniczą piosenkę. W gęstwinie świegocą wróble i gwizdanie wilgi odzywa się gdzieś daleko...

Gdyby nie te głosy, milczenie byłoby zupełnem!...

Ale ucho moje i umysł przyzwyczaiły się już do nich i brzęczenie muszek, szelest liści, któremi wiatr porusza, szczebiot jaskółek, świegot wróbli i gwizdanie wilgi, nie psują mi wrażenia ciszy, w jaką się kołyszę...

* * *

— *Kief! Kief!...* [1])

Teraz dopiero pojmuję całą rozkosz tego duchowego lenistwa, któremu się poddaje Tarek nad Bosforem, kiedy w błękit nieba i w błękit fal zapatrzony, otacza się kłębami dymu wonnej nargili!

Lekkie białe chmurki żeglują po niebie, to wsiąkając, to wynurzając się z pogodnego lazuru, a ja śledzę ich grę tem samem okiem, jakiem na nią patrzeć musiał Buddha, gdy był jeszcze Sakya-Mounim i przeczuwał dopiero słodką rozkosz swej nirwany!...

Kief! Kief!... Jakże ciekawym dla psychologa, badającego każdą myśl swą i rozbierającego każde swe wrażenie, jest stan umysłu, w jakim się znajduję.

Z pogodnego błękitu spływa na mnie jakaś senność błoga, która mnie nawskróś przenika. Pod wpływem jej mierzchną we mnie wspomnienia bólów minionych i poczucie troski obecnej i te myśli, które mnie trawić zwykły, i to wszystko, co moją osobę, moją istotę człowieczą stanowi.

Świadomość moja uległa zawieszeniu lub raczej rozprysła się i rozstrzeliła, będąc cała w zmysłach, któremi zewnętrzne chwytam wrażenia. Nie ma jej więcej we mnie, niż w tem lusterku wody, które się pogodnym nieba odśmiecha lazurom, niż w tem powietrzu, które woń kwiatów nawskróś przenika, niż w tej fali eteru, która drży, potrącana szeptem liści i ptasim świegotem.

Kief! Kief!... Piję wszystkiemi porami słońce, błękit, spokój i ciszę, rozpływając się w błogiem jakiemś znicestwieniu.

* * *

A jednak, kiedy niekiedy z tego snu, który mnie pęta, wynurzają się, jak gdyby z mgły jakiejś znajome twarze

[1]) Tak zowią Turcy ową drzemkę na jawie, w którą, wobec widoku przyrody, popadać zwykli, poddając się wrodzonej umysłowej gnuśności.

i widziane obrazy, nie wywolywane przezemnie myślą i żadnym węzłem nie związane z tem, co mnie otacza. Jawią się w swem oderwaniu i znikają znowu, podobne do tych lekkich chmurek, wynurzających się, to znów tonących w błękicie, w miarę tego, czy na gorące lub na zimne prądy natrafi opar wilgotny, który się w górne warstwy powietrza unosi.

Prawdopodobnie wywołała te widzenia woń jakaś, barwa, kształt, dźwięk, lub też inne, zmysłami odczute zjawisko. Lecz wrażenie, jakie odniosłem, było tak bezwiednem, iż napróżnobym szukał przyczyny, któraby mi wytłumaczyła, zkąd się wzięły i przez jakie skojarzenia myślne pojawiły się nagle w mej pamięci...

Między temi twarzami, które się tak przesuwają przed duszy mej oczyma, jest wszelakoż jedna, która uparcie powraca. Widzę dwoje wielkich, tęsknych, czarnych oczu, wpatrujących się we mnie z litośnem współczuciem. Łagodna ich pieszczota budzi ze snu myśl moją i pociąga ją ku sobie. Z toni wspomnień wynurza się pamięć wrażenia, jakiego doznałem pod tem spojrzeniem i powoli, powoli, zarysowuje się obraz cały w moim umyśle.

* * *

Było to w przededniu bitwy. Niebo było pogodne, a dzień tak, jak dziś, słoneczny; w powietrzu czuć już było zapach krwi, a w umysłach gorączkę jutrzejszej walki. Korpus nasz otrzymał rozkaz wkroczenia w linię bojową i zajęcia odległej o mil sześć pozycyi. Szliśmy więc od rannego brzasku, podążając bitym, a pełnym kurzu gościńcem, pod skwarem czerwcowego słońca, zmęczeni, chmurni i milczący, przeklinając w duchu ten marsz piekielny, dla żołnierza stokroć bardziej od walki samej nieznośny i uciążliwy.

— Batalion, stój! — zabrzmiała nagle komenda.

Czoło naszej kolumny wchodziło właśnie w ciasne ulice małego miasteczka i wozy cofającego się taboru zatrzymały je

były w pochodzie. Stanęliśmy obok jakiejś willi, w której dziedzińcu stał furgon pakunkowy i wygodna podróżna kareta, w parę koni rasowych zaprzężona. Służba wynosiła z domu pakunki i układała je na furgonie. Widocznem było, iż mieszkańcy tej willi opuszczają wygodne swe gniazdko, uchodząc przed grozą zbliżającej się walki.

Kilku galopenów przeleciało cwałem wzdłuż naszej kolumny, którą po chwili wstrząsnął ów ruch przypływowy, jaki się zwykł objawiać w każdym oddziale, gdy w czasie flankowego marszu nagle zatrzymany, stara się odzyskać zwartość swą, nużącym rozluźnioną pochodem. Postępując naprzód, by nie utracić związku z poprzedzającemi szeregami, minąłem willę i znalazłem się w pobliżu ogrodzonego żelaznemi sztachetami ogrodu, na który wychodziła weranda, drelichową ocieniona markizą.

Korzystając z chwilowego wypoczynku, dobyłem chustkę z kieszeni i obtarłem czoło. Potem, odetchnąwszy głęboko balsamicznem powietrzem, które przesycała woń róż i rezedy, zalatująca z ogrodu, zwróciłem spojrzenie na werandę i ujrzałem dwoje wielkich czarnych oczu, wpatrujących się we mnie ciekawie, z wyrazem życzliwego zajęcia.

* * *

Młoda, dwudziestoletnia może kobieta stała tam na werandzie, w towarzystwie starszego jegomości. Oboje byli w podróżnych strojach. Mężczyzna przypatrywał się niespokojnem i jakby niechętnem okiem, krzątaninie adjutantów i galopenów, cwałujących wzdłuż naszej kolumny. Niewątpliwie niecierpliwiła go mitręga, przystankiem naszym spowodowana, a stająca w poprzek zamiarom jego podróży.

Kobieta zdawała się nie podzielać zgryźliwej niecierpliwości swego towarzysza. Rzekłoby się, iż nie czuje tej gorączki, trawiącej wszystkich dokoła, że nie widzi zgiełku i nie słyszy gwaru, który ją otacza.

Była czarująco piękną w tym ciemnym jedwabnym stroju, który uwydatniał wdzięczne jej kształty i matową cerę jej lica. Klasyczne jego rysy, w ramki czarnej koronkowej, miejscowym obyczajem na głowę zarzuconej chusteczki ujęte, opromieniała owa słodycz pogodna, która sama już przez się przedziwnym jest urokiem.

Wyniosła jej postać rysowała się na tle osłonecznionego muru z marmurową powagą. Ręką, w obcisłą szwedzką rękawiczkę ujętą, opierała się o bronzową balustradę werandy; drugą trzymała nad głową japoński wachlarzyk, zasłaniając się przed gorącemi promieniami południowego słońca. Tak stała tam, wielkiemi czarnemi oczyma w oczy me wpatrzona i jak gdyby w miłej zadumie tonąca.

Czem się to stało, iż zwróciła życzliwą uwagę na mnie, służącego pod wrogim jej narodowi sztandarem? Czem się to stało, iż mnie wyróżniła z pośród tego tłumu — mnie, okrytego grubą warstwą kurzu i schowanego w szeregu okiem nieprzejrzanej kolumny? Czem się to stało, że zwróciła oczy właśnie na mnie, podczas gdy przed niemi harcował tłum kapiących od złota galopenów i sztabowców z zielonemi pióropuszami?

Może jej przypomniała twarz moja inne znajome a miłe oblicze; może zauważyła, z jaką rozkoszą odetchnąłem balsamicznem tchnieniem róż i rezedy; może spostrzegła, z jaką tęsknotą poglądałem na to zaciszne gniazdko, nęcące strudzonego spokojem swoim, dostatkiem i wygodą; a może na twarzy mej wyczytała zachwyt ów, w jaki mnie widok jej wprawił uroczy? Cokolwiekbądź, upewniały mnie o tem jej życzliwe we mnie utkwione źrenice, że mnie zauważyła i że mój widok miłe jej sprawił wrażenie.

* * *

Nie mogłem oczu oderwać od tej wdzięcznej postaci.

Stałem pod jej spojrzeniem milczący i niemy, całą duszą w oczy jej wpatrzony. Lekko mi było, błogo, a tak dziwnie jasno, tak słonecznie w myśli!

Nie czułem wcale zmęczenia, które mnie niedawno temu jeszcze tak nieznośnem gniotło brzemieniem. Świadomość chwili obecnej, groza nadchodzącej walki i ów ponury niepokój, który zwykł najmężniejszych nawet opanowywać w przededniu bitwy, zmierzchły i znikły mi w pamięci.

Nie widziałem nic, krom tych dwojga oczu, poglądających na mnie życzliwie i zdawało mi się, że mnie ich przyjazne spojrzenie nawskróś przenika, że mnie porywa i po nad tą ludzi zawieruchą, po nad dzikim zgiełkiem wrogich namiętności, unosi gdzieś w dal, w jakąś nieskończoność dobra, piękna, pogody, harmonii i kochania!

Musiała odczuć to, co się w duszy mej działo, bo uśmiech uroczy rozjaśnił ustek jej korale. Potem, jak gdyby przestraszona uczuciem tak żywem i zakłopotana, zarumieniła się i spuściła oczy.

Chwilę jakąś stała tak zapłoniona i jak gdyby w miłej zadumie tonąca, aż wreszcie tak, jak ta, co się ze snu budzi, spojrzała na mnie tem badawczem okiem kobiety, która niespodziewanie upragnione usłyszawszy wyznania, stoi drżąca, w wywołaną tem zwierzeniem wizyę szczęścia wpatrzona, w własnego serca zasłuchana bicie.

Być może, iż to, com teraz widział, było tylko halucynacyą, prostem jeno złudzeniem.

Uciążliwy marsz wśród dusznej czerwcowej spieki sterał był moje siły; nerwy rozluzniał niepokój, który, trawiąc umysły mego otoczenia i mnie się udzielił. Pragnienie spoczynku, ukojenia, tkliwszych uczuć wymiany, napełniało serce me tęsknotą i usposabiało umysł do marzeń.

Być więc może, iż w tym nastroju, ujrzałem to właśnie, czegom pragnął gorąco. Cokolwiekbądź, w tej jednej chwili przeżyłem więcej, niż wielu innych w latach wielu, bo to, co w tych czarnych, we mnie wpatrzonych oczach, wyczytałem, nie było tylko litosnem współczuciem dla znużonego i na krwawy bój idącego żołnierza, lecz gorącem wyznaniem miłości

serdecznej, jedynej — tej miłości, o której się marzy za młodu, a której napróżno się nieraz szuka przez całe życie!

* * *

— Batalion, marsz! — zabrzmiała znowu komenda.

Zagrały trąbki, warknęły tarabany, budząc mnie ze słodkiego upojenia. Złoty sen mój o szczęściu, o kochaniu, zatrząsł się i runął, pogrążając duszę mą w żałobie. Niepewność jutra, trud nieznośny marszu, przymus mego położenia, automatyzm żołnierza, który z myślącej istoty robi rzecz bezmyślną i obcej woli posłuszną — słowem, cała ta nędza wojny, zapomniana i tak odemnie przed chwilą daleka, zwaliła się teraz znowu na mnie, przygniatając mnie ciężkiem brzemieniem.

Złamany, rozpaczą ogłupiały, uszedłem kilka kroków naprzód tym bezmyślnym ruchem maszyny, która się pod naciskiem sprężyn porusza. Potem, wystąpiwszy z szeregu, zatrzymałem się chwilę pod pozorem zobaczenia, czy wszystko w porządku w moim plutonie i zwróciłem oczy w stronę werandy.

Doczekawszy się wreszcie naszego odejścia, oddalił się był mężczyzna. Prawdopodobnie odszedł, by służbę ładującą wozy do podróży, znaglić do pośpiechu. Po nad bronzową balustradą przechylona, stała nieznajoma, przyciskając rękę do piersi, patrząc przed siebie w niemem osłupieniu.

I wydało mi się, iż w oczach jej szeroko rozwartych widzę tkliwość bezmierną i trwogę i rozpacz bezradną i ten sam żal za uronionem szczęściem, który serce moje ściskał w tej chwili. Bezwiednie wyciągnąłem rękę ku niej, aby sen mój złoty pożegnać, a wtedy — nie, to już nie było złudzeniem, to widziałem, tego jestem pewien! — i ona wyciągnęła ku mnie swe dłonie, jak gdyby tym rozpaczliwym ruchem chciała mnie zatrzymać.

Jednakże kolumna płynęła dalej i dalej, posuwając się rączo w takt werbla grzmiących tarabanów. Podążyłem skwa-

pliwie za moim plutonem i przyspieszywszy kroku, wstąpiłem znowu do szeregu. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, obejrzałem się raz jeszcze, a widząc, iż moja nieznajoma stoi ciągle na werandzie, skinąłem znowu ręką w jej stronę.

I widziałem to znowu, iż ruch mój spostrzegła, bo wyciągnąwszy dłoń, wiewała wachlarzem, żegnając mnie zdaleka, podczas gdym z sercem ściśniętem kroczył dalej i dalej, zsuwając się w ulicę miasteczka, w której załomach znikła mi wreszcie z przed oczu willa mej nieznajomej.

* * *

Cały ten obraz wynurzył mi się teraz z mroku wspomnień dalekich. Postać tej pięknej, w chwili poznania całą duszą pokochanej i straconej na wieki, spływa do mnie z tą błogością, która wieje z sennych błękitów, odrywając mnie od ziemi i unosząc po nad ból ziemski i troski żywota, gdzieś w dal, w rozkoszną jakąś nieskończoność!

Lekkie chmurki żeglują po niebie, wynurzając się, to znów rozwiewając w błękicie; świegotliwe ptaszki przelatują z gałęzi na gałęź, pieszcząc słuch mój głośniejszą, to cichszą piosenką; liście drzew, aż białe niekiedy od słonecznych promieni, zapalają się, to znów mierzchną, w miarę światła, które na nie spływa z lazuru i gry obłoków, żeglujących po niebie.

Ale postać mej nieznajomej trwa w mojej pamięci, jasna, wyraźna, niezamglona onym pyłem, którym czas zwykł pokrywać zarówno to, co nam rozkosz sprawiało, jak i to, co nas bolało przed laty.

Widzę jej duże czarne oczy, wpatrujące się we mnie z ciekawem upodobaniem i uśmiech zadowolenia, rozkwiecający jej usta i rumieniec, kraszący jej lica i wyraz szczęścia, który je opromieniał i żałość, która je później mroczyła i tych dwoje rąk, wyciągających się do mnie po nad czasu przedział, jakby mnie wołały ku sobie, i ten obraz, nęcący mnie urokiem, a pogrążający teraz w błogiej jakiejś tęsknocie.

Być może, iż ten cały dramat, w którym w jednej chwili przeżyłem wszystkie miłości rozkosze i katusze, był tylko wytworem mojej rozgorączkowanej wyobraźni. Niemniej jednakże włożyłem w to uczucie całą lepszą część duszy i z pewnością zrozumie mnie ten, który za młodu, w chwili, gdy jeszcze nęcą życia uśmiechy, znalazł się w przededniu bitwy, wobec kobiety, pełnej niewysłowionego uroku.

Jakże dziwnem było to spotkanie, jakże bolesną rozłąka i jakiż cel mogła mieć Opatrzność, zbliżając na chwilę nasze drogi i pozwalając nam przeczuć szczęście na to jedynie, by jego utratą serca nam zakrwawić?

* * *

To samo pytanie zadawałem sobie wtedy, przywykłszy od dziecka zastanawiać się nad każdem zdarzeniem i rozbierać każdą myśl moją i każde uczucie.

Żołnierz, a zwłaszcza już, gdy brał udział w morderczych bitwach, musi być chociażby trochę fatalistą. Widząc, jak obok nas pada towarzysz, który łokciem naszego łokcia dotyka, nie możemy się obronić myśli: dlaczego kula ta ugodziła w niego, a nie we mnie? Niepodobna odpowiedzieć na to zagadnienie inaczej, jak tylko słowami: »Przeznaczenie, przeznaczenie!«

Więc i ja też odpowiadałem sobie temi słowami na pytanie, które mi się narzucało obecnie, ale umysł mój nie mógł się pogodzić z tą myślą. Dlaczego miłość ta, tak wielka, istotę moją tak nawskróś przenikająca, przychodziła teraz właśnie, w przededniu krwawej bitwy, w której niepewność i moje losy były wplątane? Nie byłaż to zapowiedź śmierci? Nie byłoż to pożegnanie życia, które mnie teraz darzyło spóźnionym swym uśmiechem, aby mi wynagrodzić dotychczasową swą jałowość?

Wyrozumowane to przeczucie śmierci nie odstąpiło mnie przez cały czas tego i następnego dnia. I nie powiem nawet, żeby mi ta myśl ciężką była, tak dalece przyzwyczaiłem się

do niej, tak nieznośnem wydawało mi się życie wobec utraty szczęścia, nad którą bolałem.

W rój iskier, unoszących się z ogni biwaku, wpatrzony, marzyłem o mej pięknej nieznajomej, wskrzeszając czarowny obraz jej w pamięci. I czerpiąc w tem przeświadczeniu, że mnie śmierć nie minie, coś na kształt cierpkiej jakiejś rozkoszy, pocieszałem się myślą, iż nie przeżyję naszej rozłąki.

Spełniając automatycznie to, do czego mnie skłaniał obowiązek, brałem udział w bitwie, która się nazajutrz toczyła, bez zapału, ale też nie czując wcale owych wzruszeń, które dym prochu, widok krwi, zgiełk walki, huk wystrzałów i szczęk broni, zwykły wywoływać w każdym wrażliwym umyśle.

Ponury i w myślach swych zamknięty, obojętnem okiem patrzyłem na to, co się dzieje dokoła, dziwiąc się, dlaczego mnie żadna z kul nie dosięże. Aż wreszcie wywołało mnie z tej prostracyi znużenie i samozachowawczy instynkt, budzący się ze swego odrętwienia.

* * *

Wieczorem po bitwie, której kres położyła jedna z tych nawałnic, będących nawet i w tym kraju niepospolitem zjawiskiem, przechodziłem znowu koło willi, gdzie wczoraj ujrzałem moją nieznajomą.

Story w oknach były zapuszczone, drzwi zaryglowane; w podwórzu widać tylko było ruch i życie. Bojowy ambulans roztasował się tam ze swemi furgonami. Wojskowi lekarze opatrywali rannych przy blasku pochodni, których czerwone światło zwierciedliło się w rozlanych kałużach.

Sięgnąwszy przez żelazne sztachety, zerwałem pączek róży, na którym oko jej może spoczywało wczoraj jeszcze. I w tęsknych zatopiony myślach, odszedłem, pozostawiając... kawał serca mojego za sobą.

JAK PAN POMERANC POLOWAŁ.

Humoreska.

Gorzkie miał polowanie pan Zygmunt Pomeranc, dziedzic Koziej Wólki, *a, b, c;* — niechaj nasi wrogowie tak polują; To nie był strach; — to było siedm razy siedm strachów!... To była — uchowaj Boże! — cała śmierć!...

Tylko że, dziękować Bogu, ani pan Zygmunt Pomeranc, ani jego żona pani Amalia Pomeranc, ani ich dzieci Józio i Rózia nie pomarli, jakkolwiek wszyscy mieli gorzkie polowanie i wielki strach. Wszyscy są żywi i zdrowi; niechaj ich Pan Bóg takiemi zachowa dwieście lat!...

Oczywista rzecz, że taki człowiek poważny jak pan Zygmunt Pomeranc, nie mógł dobrowolnie polować. On tylko mógł polować przypadkiem i z musu, bo dobrowolne polowanie to nie jest kupiecka rzecz.

Każdy człowiek rozumny przyzna mi z pewnością, że niema żadnego interesu chodzić z psami, które mogą pokąsać, i ze strzelbą, która robi wielki harmider, a może — niechaj nas Bóg od tego chroni! — zrobić wielkie nieszczęście, na to, aby tą strzelbą i z tym harmiderem zabijać trefne zwierzęta.

Tego samego zdania był pan Pomeranc; więc też, kupiwszy na licytacyi Kozią Wólkę, *litera a, b, c,* i objąwszy ją w posiadanie, zdziwił się bardzo, gdy do niego przyjechał hrabia Witold Rozwadowski, dziedzic sąsiedniego Pilichowa, prosząc go, aby mu odstąpił prawo polowania na wóleckich gruntach.

Prawdę powiedziawszy, nie wiedział na razie co ma odpowiedzieć; wychowawszy się bowiem w Warszawie, gdzie prowadząc interesa pieniężne, stale dotychczas przebywał, nie

rozumiał dokładnie, czego hrabia właściwie chce. Ale że to był człowiek roztropny i obrotny w myśleniu, więc pomyślał zaraz:

— Jeżeli on mnie o to prosi, to on z tego coś musi mieć; a jeżeli on z tego coś ma, to on mi za to powinien coś dać.

I umiechnąwszy się z wielką uprzejmością — rzekł politycznie:

— Jak pan hrabia chce na moich gruntach polować, kiedy na moich gruntach stoi mój jęczmień, moje żyto i moja pszenica?

To było tak powiedziane, że mogło uchodzić za odmowę, ale mogło także uchodzić za żart, a w każdym razie zmuszało hrabiego do wyjaśnień. Bardzo mądra głowa pan Zygmunt Pomeranc!... Trudno mu tego zaprzeczyć!...

Hrabia wziął te słowa za żart, bo się roześmiał wesoło.

— Czy pan sąsiad chce na swoich gruntach pozostawić swój jęczmień, swoje żyto i swoją pszenicę przez całą zimę? — odparł z udanem zdziwieniem.

— Cha, cha, cha! pan hrabia żartuje!... — rzekł na to pan Pomeranc — dlaczego pan hrabia o to pyta?

— Bo przecież nikt nie poluje przed ukończeniem żniw... Poluje się w jesieni i w zimie... Wtedy będziesz pan sąsiad miał swój jęczmień, swoje żyto i swoją pszenicę w swojem gumnie, rozumie się, jeżeli ich nie sprzedasz do tego czasu.

Teraz rozumiał już pan Pomeranc cały interes. Wiedział, że hrabia chce na jego gruntach, gdy już z nich uprzątną wszystko zboże, z psami, ze strzelbami i z wielkim harmiderem robić polowanie na trefne zwierzęta.

— Niech sobie zdrów poluje, kiedy chce — pomyślał — byle mi za to zapłacił.

I nie obwijając już myśli w bawełnę, zapytał:

— A jak pan hrabia będzie na moich gruntach polował, to co ja za to będę miał?

— A czy ja wiem, panie sąsiedzie... Niech pan sam cenę naznaczy.... Dla mnie polowanie na wóleckich gruntach

nie ma żadnej wartości, bo mam własnego gruntu dwieście włók... Tylko, że pański las wchodzi klinem w moje lasy, i że zwierz, ruszony w Ściankach, czasami przez pańską buczynę przechodzi, więc chciałbym się zabezpieczyć... Mogę panu dać dwadzieścia, dwadzieścia pięć rubli rocznie — dorzucił niedbale.

— To jużbym wolał trzydzieści — rzekł dziedzic Koziej Wólki *litera a, b, c*, w zwykłym sobie jowialnym tonie.

— Ale Zysiu, co też ty mówisz?... Ty chyba żartujesz!... Przecież pięć rubli to nie jest dla ciebie żaden pieniądz — strofowała pani Amalia Pomeranc, która dotychczas milczała.

— Pięć rubli, to dla każdego pięć rubli — odrzekł pan Pomeranc sentencyonalnie.

— Dobrze, niech będzie trzydzieści! — zawołał hrabia.

I dobywszy z pugilaresu trzy dziesięciorublówki, wręczył je panu Zygmuntowi uprzejmie. Potem, jak gdyby tknięty jakąś myślą, która go widocznie bawiła:

— Może pan sąsiad będzie łaskaw zapolować kiedy z nami — dodał z uśmiechem. — Mam wybornie ujeżdżonego wierzchowca do jego usługi.

Pan Pomeranc spojrzał na niego, zdziwiony. Zdawało mu się, że gość jego oszalał, Ale że to był człowiek, jak się rzekło, roztropny i wielce światowy, więc odparł z wyszukaną grzecznością:

— Bardzo mi przyjemnie będzie skorzystać z łaskawych zaprosin pana hrabiego.

A w duchu dodał:

— Łam ty sobie sam kark, jeżeli się podoba; mnie nie wyciągniesz na takie błazeństwo!...

Rozeszli się, przyjemnością doznanych wrażeń rozpromienieni.

Hrabiemu uśmiechała się myśl, że zrobi swym znajomym śmieszną niespodziankę, pokazując im pana Zygmunta Pomeranc, siedzącego na angielkim *hunterze*. Pani Amalia Pomeranc, osoba bardzo pięknie wychowana i oczytana we francuskiej

literaturze, zachwycała się uprzejmością i rycerską postawą hrabiego, który — jak zapewniała — przypominał kawalera d'Artagnan z »Trzech Muszkieterów«: zaś pan Pomeranc radował się dokonaną tranzakcyą, której pomyślne uskutecznienie poczytywał za dobrą wróżbę dla swych spekulacyj.

Mógł się istotnie radować. Od czasu, jak dla uratowania sumy, odziedziczonej po niedawno zmarłym teściu, nabył Kozią Wólkę *litera a, b, c*, był to dopiero pierwszy wpływ, który mu się zdarzył; — dotychczas musiał ciągle tylko wkładać w gospodarstwo.

To było bardzo fe! to był paskudny interes. Kto wie, jak nieprzyjemnem jest takie zatrudnienie, ten łatwo zrozumie jego uciechę.

— Wiesz ty co, Malciu, ja ci coś powiem — mówił do żony, chowając w biórko otrzymane od hrabiego dziesięciorublówki — mnie się zdaje, że ja nie jestem Zygmunt Pomeranc, tylko żem patryarcha Jakób i że kupiłem pierworodztwo za miskę soczewicy!

Mimo tej radości, jaką mu sprawiało uzyskanie trzydziestu rubli za rzecz, która dla niego żadnego nie miała waloru, trapiła go ciągle myśl, że hrabia tak łatwo przystał na jego żądanie. Kto wie, co to mogło być, może to była tylko prosta ciekawość, może to było zdziwienie, a może myśl, czy przypadkiem nie wziął zbyt małej opłaty? nie można wiedzieć! Dość na tem, że aby się uspokoić, przywołał ekonoma i opowiedział mu, co zaszło.

Ekonom potwierdził to, co powiedział hrabia. Prawo polowania na wóleckich gruntach nie było dla kogo innego warte nawet piętnastu rubli. Trefne zwierzęta, na które hrabia będzie polował, trzymają się pilichowskich lasów, i przychodzą do Koziej Wólki tylko wtedy, gdy im ze Ścianek do Zawal wypadnie pilny interes. Hrabia mógł za polowanie zapłacić trzydzieści rubli, dlatego, że hrabia. Od czegóż są panowie na świecie, jeżeli nie od tego, by ludzie korzystali z ich fantazyi?

Wyjaśnienie to zaciekawiło pana Pomeranc bardziej jeszcze.

— Mój panie Bączkowski — rzekł z uśmiechem, w którego wyrazie malowało się, jak wiele go ta rzecz zajmuje — powiedz mi pan, jak pan hrabia robi to polowanie?

— Jakto, proszę wielmożnego dziedzica? — odparł ekonom, zdziwiony tem zapytaniem.

— No, ja myślę, jak on poluje?... Ja się dlatego pytam, że on mnie zaprosił na polowanie... On mówił nawet, że ma dla mnie wierzchowca — dorzucił tonem przechwałki.

Ekonom pełną dłonią musnął wąsa, ażeby ukryć przed okiem dziedzica uśmiech, który ściągał kurczowo mięśnie jego twarzy.

— To wielmożny pan dziedzic będzie miał wielką przyjemność, bo pan hrabia poluje na wielką skalę — tak rzecze z powagą.

— Na wielką skalę?... A to jak!...

— Ho, ho! z wielką paradą!... Pan hrabia trzyma dla tych polowań dwanaście koni, czterdzieści psów i sześciu ludzi...

— Przez cały rok?...

— A jakże, przez cały rok... Potem, jak przyjdzie jesień i nastanie czas polowań, zjeżdżają się do Pilichowa panowie, nietylko z sąsiedztwa, ale nawet z Warszawy. Wszyscy się ubierają jednakowo... A jakże, wszyscy w czerwone fraki i buty ze sztylpami, bo taki jest mundur do tego polowania...

Tak ubrani, wyjeżdżają z pałacu do lasu... Jeden ze służby, ten najstarszy, co go nazywają Mister, prowadzi polowanie, a ma pod sobą kilku pomocników, co doglądają psów... Jak psy stropią zwierzynę...

— Co to jest: stropią?...

— To niby jak znajdą ślad zająca albo lisa, wtedy zaczynają grać, aż się dusza raduje...

— Kto gra?...

— Psy...

— Co pan mówi? co pan mówi? — fuknął pan Pomeranc oburzony. — Jak psy mogą grać!... Przecież to nie są żadne muzykanty!...

Ekonom musnął wąsa znowu.

— To proszę wielmożnego dziedzica, tak się po myśliwsku mówi, że grają — odparł już z uśmiechem — ale one szczekają tylko co prawda, goniąc zwierzynę; taka już ich natura!... Więc jak psy tak zaczną gonić, wtedy lecą za niemi panowie na złamanie karku — płot, nie płot, rów, nie rów — dopóki zmęczony zwierz nie padnie... Wtedy go się psom odbiera, dawszy im odprawę; to się u pana hrabiego nazywa Hullali.

Pan Pomeranc uczuł słabość w sercu, słuchając tego, co ekonom opowiadał.

— I hrabia chce, żebym ja z nim kark łamał — rzekł do siebie, wzruszając ramionami. — Niech on sobie sam hula, kiedy chce.

— Mój panie Bączkowski — zaczął znowu po chwili milczenia. — To musi bardzo wiele kosztować?...

— O z pewnością, proszę wielmożnego dziedzica... Powiadają, że każdy koń taki kosztuje co najmniej tysiąc rubli, a teraz utrzymanie koni, psów, ludzi... Myślę, że tego czterema tysiącami rubli nie zapłaci...

— Pi, pi, pi — mruknął pan Pomeranc. — A cóż mu przynieść może takie polowanie?

— Jakto, proszę wielmożnego dziedzica?...

— No ja myślę, wiele on może upolować na takiem polowaniu?

— Rozmaicie!... Jednego dzika, albo sarnę, dwa lisy, trzy zające... Więcej nie można, boby konie pomarnował...

— A ile wart jest taki zając?...

Ekonom począł wąsa kręcić zajadle.

— Jak do zająca... sześć złotych, może nawet i rubla... Ale to już ze skórką — dodał z uśmiechem.

Pan Pomeranc wzruszył ramionami.

— Wiesz pan co, panie Bączkowski — rzekł tonem głębokiego przekonania. — Mnie się zdaje, że ten hrabia ma w głowie zające!

* * *

Minęło lato; nastała jesień tak cudna, że gdyby nie wygląd pól, z których już sprzątnięto zboże, toby ją było można z czystem sumieniem jako wiosnę przehandlować i niktby się nawet nie domyślił, że to jesień.

Pan Pomeranc był w cudownym humorze; — udało mu się bowiem znaleść dzierżawcę, który kaucyę złożył, inwentarz kupił, czynsz za cały rok z góry zapłacił, i przyjął wraz z gospodarstwem wszystkie trudy i kłopoty; — słowem wszystko to, co do niego należy. Z dzierżawy wykluczył dziedzic tylko dwór, aby przyjechawszy wraz z familią do swego majątku na letnie mieszkanie, miał nad sobą swój własny dach i mógł swojem własnem świeżem powietrzem oddychać — tudzież las, gdzie się znajdowała ładna buczyna.

Ta buczyna sprawiła mu bardzo ciężkie myślenie; — był to bowiem pieniądz gotowy, tylko że się do niego dobrać nie można było w żaden sposób. Okolica była leśna, więc nie było na drzewo popytu; palić węgiel, także nie było rachunku. Założywszy fabrykę giętych mebli, byłoby można spieniężyć materyał ten najkorzystniej, tylko że znowu dla fabryki było za mało lasu. Nie opłaciłoby się robić tak wielkich wkładów na to, by potem do fabryki drzewo kupować. Tu nie było żadnej spekulacyi!

Mimo to nie tracił pan Pomeranc humoru, czując, że tutaj pieniądz jest, tylko go trzeba wydostać; — więc też ile razy z Warszawy do familii przyjechał, szedł do lasu, przypatrywał się bukom, opukiwał je, cmokał, wzdychał, spekulując i spekulując, a nie mogąc nic wyspekulować. To była jego ulubiona przechadzka; — on już taki był, że jak gdzie interes czuł, to go nie chciał popuścić!

Otóż pzyjechawszy znowu do Koziej Wólki dla przepędzenia świąt na łonie rodziny, która korzystając z łagodnej pory, przedłużyła swój pobyt na wsi do tego czasu, wybrał się pan Pomeranc w pogodny dzień wraz z żoną i dziećmi znowu do swej kochanej buczyny. W koszyku wzięli z sobą pieczoną gęś, hałę, ciastka, owoce i butelkę wina, bo zamie-

rzali w lesie zabawić jak najdłużej, ażeby do syta użyć tej wsi, którą — dziękować Bogu — za swoje własne kupili pieniądze, a którą z powodu nadchodzącej zimy, mieli niebawem na czas dłuższy opuścić.

Pogoda była prześliczna. Niebo jasne wyglądało tak, jak jeden wielki turkus perski. Słońce wylewało takie morze światła, że nietylko dęby, sosny i buki, ale nawet całkiem proste osiki, takie co i rubla nie warte — kąpały się w złocie. Pani Pomeranc rozkoszowała się przepychem i wspaniałą rozrzutnością natury; pan Pomeranc cmokał i wzdychał, mierząc i opukując swoje buki, a małe ich kochane dzieci biegały i skakały sobie, goniąc babie lato, które bujało w powietrzu, niesione swawolnego wiatru podmuchem. Tak chodzili po lesie jakiś czas, każde ze swojem myśleniem; — wreszcie zmęczywszy się, usiedli przy drodze, pod cieniem rozłożystego buku na murawie, by się posilić. Wyborny posiłek był: gęś na szmalcu pieczona i szpikowaną czosnkiem, hała bielutka jak śnieg, smaczne owoce i ciastka. Ale najsmaczniejsze musiało być wino, bo zaledwie pan Pomeranc, podjadłszy sobie, wypił jedną, drugą szklaneczkę, zrobiło mu się jaśniej i raźniej, tak, iż mu odrazu przyszedł do głowy cały plan, jak ma poprowadzić bukowy interes. To była głowa! można ją pochwalić!

— Wiesz ty co, Malciu! — zawołał uradowany. — Ja sobie myślę, że jak ja do spółki wezmę hrabiego, to będzie fabryka.

— Niema sensu! — odparła pani Pomeranc, wzruszając ramionami.

— Dlaczego nie ma sensu?... Dlaczego nie ma być sens?...

— Hrabią z tobą spółki nie zrobi.

— Nie zrobi?... Ojoj!... Jak ja mu wytłómaczę cały interes, to zrobi... Dlaczego nie miałby zrobić?...

— Dlatego, że on dla ciebie, a ty dla niego nie pasujesz na wspólnika.

— Dlaczego ja nie mam pasować?... Ojoj!

— Dlatego, że ty jesteś kupiec tylko, a on... on jest muszkieter.

— Muszkieter, muszkieter — fuknął w miłości własnej podrażniony. — I ja także jestem muszkieter!... Dlaczego ja nie mam być muszkieter?... Ja sobie kupię czerwony frak i buty ze sztylpami i pojadę do hrabiego na polowanie.

— Tybyś się nie bał?

— Dlaczego jabym się miał bać?... Ja się nie boję!... Jabym się nie bał nawet... nawet chodzić ze strzelbą na plecach.

Zaledwie wymówił te słowa, wzbił się nad leśną ciszą rejwach daleki... To było szczekanie, które robią psy, kiedy gonią za tropem zwierza. Harmider ten zbliżał się, i słychać go było już oddawna, tylko że państwo Pomeranc nie zwracali na niego uwagi, zajęci jedzeniem i rozmową. Co prawda, rejwach ten rozbrzmiewał, to głuchł na przemian, łamiąc się o lasów ściany i zręby pagórków, tak, że się niemal gubił w szumie drzew.

— Co to jest? — spytała zaniepokojona pani Pomeranc.

— To hrabia poluje — rzekł po chwili pan Zygmunt, wsłuchując się w ten hałas, który zdawał się oddalać.

— Chodźmy do domu Zyś... Ja się boję!...

— He, he, he! — zaśmiał się pan Pomeranc.

Jemu nie był w głowie strach, tylko wino, i nadzieja, że fabrykę postawi. A może się chciał przed żoną popisać, że on jest taki wielki muszkieter; nie wiedzieć!

— Czego się to bać? — mówił, baraszkując wesoło. — Hrabia sobie poluje w swoim lesie, a my sobie siedzimy w swoim... Co nam się tu może stać?

— Oni tu mogą przyjść!

— Po co oni tu mają przyjść, kiedy tu niema zwierzyny? Oni tu nie przyjdą; oni tu nie mają żadnego interesu.

I dodawszy sobie własnemi słowami otuchy, począł gwizdać walca z »Ptasznika«. Bardzo odważny był człowiek ten pan Pomeranc!

Jednakże rejwach, który, szczekając robiły psy, wzmógł się znowu, idąc teraz jak gdyby od strony Koziej Wólki. Zdawale się, że tak wre pod ziemią. Widocznie zapadla psiarnia w jakiś niedaleki jar, a wiatr przeciwny przygłuszał i oddalał jej wrzawę.

— Tato, ja się boję tych psów! — zawołał Józio.

— Ty głupi Józio, czego ty się masz bać? — rzekł pan Pomeranc, nie tracąc fantazyi. — Patrz, ja się nie boję!

— One szczekają.

— Niech one sobie szczekają... Przecież one są od tego psy, żeby szczekały!... Czy ty chcesz, żeby one śpiewały, jak Kochańska i Mierz...

Nie dokończył tych słów, bo mu głos zamarł w piersiach ze strachu. Trzask suchych gałęzi rozległ się po lesie i równocześnie zakipiało — tuż, tuż niedaleko! — zawzięte ujadanie rozjuszonych psów, pędzących prosto w tę stronę.

Zerwawszy się z darni, skryła się pani Pomeranc za drzewo, pod którem siedzieli. Dzieci pobiegły za nią, wrzeszcząc i czepiając się jej spódnicy. Pan Pomeranc chciał także uciekać, ale już nie mógł wstać, bo mu nogi podcięło, gdy zobaczył...

Aj co on zobaczył?... Niechaj nasze wrogi to zobaczą, co on zobaczył!... Jemu się zdawało, że on zobaczył czarny rok!...

Naprzód leciało coś czarnego, takie wielkie jak góra, a pędzące jak lokomotywa. To był dzik; — taka z przeproszeniem świnia! Za nią szły psy, czterdzieści psów, robiąc wielki harmider; dalej na wielkim koniu człowiek jakiś czerwony, który ciągle krzyczał: »Dalej go, dalej go!...« Potem jechał hrabia ze swoimi gośćmi (wszyscy czerwoni jak raki) śmiejąc się i wołając:

— »Dzień dobry panu, panie Pomeranc!... Jak się pan ma, panie Pomeranc! Miłej zabawy, panie Pomeranc!« — Tak oni go wszyscy witali, ale on im nic nie odpowiadał.

On nawet tego wszystkiego nie widział, bo mu się było w oczach zrobiło ciemno od wielkiego strachu i mdłości, jaką

czuł w sercu i w żoładku. On tylko słyszał to sapanie, i te krzyki, i ten śmiech.

Zdawało mu się, że on już — broń Boże! — umarł i że to z niego tak szydzą te czarne paskudniki — żeby w złą godzinę nie wymówić ich nazwiska!

Na szczęście przeleciała ta burza, nie zrobiwszy mu żadnej szkody, chociaż co prawda musiał leżeć w łóżku i pić ziółka, bo bardzo wielką słabość miał w środku. Ale dziękować Bogu, i to mu po kilku dniach minęło. Nie minął jednak żal, jaki czuł do hrabiego.

— On mi zapłacił za polowanie trzydzieści rubli — powtarzał biadając. — Ale jabym jemu oddał te pieniądze, żeby takiego strachu nie było... Ajaj, co to było, co to było?... Tegoby i pięcioma milionami nie zapłacił; na moje sumienie!...

KÖNIGGRÄTZ.

Onego czasu — gdy myślę o tem, zdaje mi się, że to było wczoraj, a jednak lat już temu dwadzieścia ośm — onego czasu była kawiarnia Józia Müllera przy placu Maryackim we Lwowie, głównem ogniskiem publicznego życia nietylko nadpełtwiańskiej stolicy, ale i całej prowincyi.

Warszawa nie ma takiego punktu zbornego... Był to rodzaj literacko-artystycznej giełdy, na której o pewnych porach dnia spotkać można było wszystkich niemal młodszych przestawicieli lwowskiej inteligencyi. Adwokaci, lekarze, artyści, inżynierowie i literaci przychodzili tam co dnia, by się dowiedzieć czegoś nowego, zobaczyć znajomych i pogadać o interesie. Co dnia jawił się tu gromowładny »Jańcio«, zwany powszechnie »królem Janem«, aby w otoczeniu licznego sztabu »politycznych przyjaciół« ukazać się narodowi, położyć rękę na tętnie opinii publicznej, nakręcić ją odpowiednio swoim celom, pokokietować z demosem i upoić się kadzidłami swej popularności. Do niego spieszył każdy, ktokolwiek miał interes jakiś, potrzebujący poparcia najbardziej wpływowego podówczas we Lwowie dziennika. Wszystko tu gwarzyło i rozprawiało hałaśliwie, paląc cygara i popijając czarną kawę, z koniakiem, lub bez koniaku.

Ruch ten nadawał kawiarni Józia osobne piętno. Była to niejako lwowska Agora, na której się rozstrzygały wszystkie publiczne sprawy. Tutaj robiono i »odrabiano« prezesów rozmaitych stowarzyszeń, radców miasta, burmistrzów, ba nawet i wyższych autonomicznych urzędników.

Nie pamiętam już, z jakiego powodu zaszedłem raz do kawiarni Józia wieczorem. A tak... przypominam sobie: chcia-

łem pogadać z Andrzejem Grabowskim — z »Grabcem«, jak go nazywali wszyscy. Można go było zastać o tej porze, był to bowiem wielki karambolista przed Panem, i nie wiem istotnie, co go bardziej zajmowało, czy sztuka, w której jako portrecista wybitne już był zajął stanowisko, czy gra w bilard, którą namiętnie uprawiał?

Kawiarnia wyglądała teraz wcale inaczej, aniżeli w dzień. W powietrzu przesyconem ludzkiemi wyziewami i tytuniowym dymem, paliły się chorym jakimś blaskiem gazowe płomienie, oświetlając pożółkłe tapety, zaśniedziałe bronzy zwierciadeł i rozpromienione twarze »nocnych« gości.

Publiczność, którą tutaj ujrzałem, była też inną od tej, którą tu w dzień spotykałem. Byli to mieszczanie, a właściwie mówiąc, grubopłaskie mieszczuchy, którzy tu przybyli, aby się po całodziennej pracy w swój sposób zabawić.

Rozmowa toczyła się około spraw powszednich i codziennych zajęć. Mało kto żądał czarnej kawy; goście raczyli się ponczem i herbatą z arakiem. Gorący trunek podniecał rubaszną wesołość i rozwiązywał języki. W powietrzu unosił się gwar niewybrednych dowcipów i głośne śmiechy.

Było coś denerwującego w tej atmosferze, przesiąkniętej kwaśnym zapachem dymu i potu, coś, co rozstrajało i ogłupiało zarazem. Zdawało się, że od tej nieustannej wrzawy żółknąć muszą uczucia i że ta sama śniedź, która pokrywa bronzy zwierciadeł, pada tu na duchy...

Minąwszy bufet, na którym gawędząc z bufetową opierał się jakiś młody oficer z długim pałaszem i długiemi a cienkiemi nogami, dotarłem do bilardu. Nieznane mi towarzystwo grało na nim w kręgielki preferansa. Grabiec królował wśród tego grona, rozprawiając głośno i wesoło, a zapowiadając z fantazyą duble, tryple, kwadryple i karambole, które z prawdziwem wykonywał mistrzostwem.

Jakiś jegomość w białym cylindrze i wysokich kolnierzykach, z siwemi *à la bon gendarme* podstrzyżonemi wąsikami, notował punkta na czarnej tabliczce, zabawiając grają-

cych dowcipami, które na tem polegały, iż liczby w swój a dla graczów zrozumiały sposób nazywał«.

Dziesięć zwało się u niego »Szarmantem w krynolinie«, dwadzieścia ośm »Kaczką z cwikierem«, sześćdziesiąt sześć »Baraniemi rogami...«, siedmdziesiąt cztery »Siekierką z bocianem« i tak dalej. Ile razy któryś z graczów zrobił dwadzieścia cztery punktów od jednego uderzenia, kreślił jowialny jegomość, którego wszyscy zwali profesorem, przy nazwisku szczęśliwca krzyżyk na tabliczce. Znaczyło to, iż obdarzony uśmiechem fortuny, winien profesorowi kupić czterocentowe *Cuba* za prowadzenie rachunków.

Nie sposób było rozbawionego Grabca oderwać od bilardu. Usiadłem więc opodal przy stoliku, kazałem sobie podać czarną kawę i jąłem się przypatrywać grze a przysłuchiwać konceptom pomysłowego profesora.

Gniewał mnie ten snobizm mieszczański, który tu panował. Jak mógł umysł taki jak Grabca znajdować przyjemność w pośród tych ludzi trawiących kilka godzin dziennie na przewracaniu kręgielków i śmiejących się idyotycznie z usłyszanych już po sto razy konceptów.

— Kaczka z parasolem!... Szarmant w cwikierze!... Bocian pod kapeluszem! — zapowiadał profesor.

A goście śmieli się, a kręgielki padały, a jowialny profesor znaczył co chwila krzyżyki na tabliczce. Zdaje się, że człowiek ten musiał sporą ilość cygar zarabiać w ten sposób co wieczora...

Znużony tym widokiem, zwróciłem oczy ku bufetowi. Austryacki oficer, rozmawiający z panną bufetową, nie należy wcale do rzadkich osobliwości, ale postacie tych dwojga, rysujące się na tem tle dymu i żółtego gazowego światła, miały w sobie coś, co przykuło moją uwagę.

Widzę ich dotychczas przed oczyma, choć lat już temu dwadzieścia kilka, tak mocno utkwił mi obraz ich w pamięci. Byli oboje młodzi; on mógł mieć lat dwadzieścia trzy, a ona ośmnaście — wiek rozkosznych upojeń i zachwytów! Zajęci

rozmową, w siebie wpatrzeni, zdawali się nie widzieć zgiełku i nie słyszeć gwaru, który ich otaczał.

Na orzechowem tle bufetu rysowała się smukła postać jego. Krótki biały mundurek z granatowym kołnierzem uwydatniał harmonijne kształty, znamionujące zręczność i siłę. Męskie jego rysy ożywiało dwoje bystrych wesołych oczu, które zdawały się uśmiechać do życia, widzianego przez różowe szkiełka młodości, miłości i nadziei.

Wiała od niego ta pewność siebie, która cechuje austryackich oficerów. Był ubrany starannie, owszem nawet z pewną kokieteryą. Z pod czapki zawadyacko aż na tył głowy odsuniętej, wyglądała prosta, wymuskana przedziałka, która widocznie przez całą się ciągnęła głowę. Za uchem miał zatkniętą słomkę, służącą do przetykania cygara, a w ustach długie hawańskie *Virginia*.

Czułość jego spojrzenia świadczyła, że kocha; niedbała swoboda, z jaką się oparł na bufecie, stwierdzała iż wie, że jest kochanym, a uśmiech niewysłowionej błogości igrającej około jego ust, był wymownym dowodem, że go ta świadomość słodkiem napełnia upojeniem.

Musiało być wielce zajmującem to, co szeptał swej towarzyszce, bo go słuchała całą duszą na ustach jego zawieszona, w oczy jego wpatrzona, uśmiechowi jego odśmiechnięta.

Od czasu do czasu przystępowali do bufetu garsonowie, zapowiadając doniosłym głosem cenę podawanego gościom napitku. Wtedy, jak gdyby senna, sięgała ręką po miseczkę z cukrem, kładła ją na tacy garsonowi i zapisywała długim ołówkiem w księdze rachunek.

Potem zwracała się znowu ku swemu towarzyszowi z uśmiechem, jak gdyby chciała przeprosić go za to, iż się przez chwilę musiała czem innem zajmować, i topiła znowu w oczach jego swe duże błękitne oczy, zamglone marzeniem.

Zauważyłem już dawniej tę dziewczynę. Była to smukła blondynka, o szlachetnych rysach twarzy i nader delikatnej cerze, ożywionej kraśnym rumieńcem. Białość jej drobnej wą-

skiej rączki o różowych długich paluszkach, świadczyła, iż przyzwyczajoną jest do porządku i do dbałości o siebie.

Nie było w niej nic z tego, co zwykło cechować bufetowe damy. Z gośćmi rozmawiała uprzejmie lecz bez zalotności. Przytem żadnych świecidełek, żadnych jaskrawych kolorów. W ciemnej aż po szyję zapiętej sukience, w stojącym jak wówczas noszono, kołnierzyku, w białej batystowej wąską koronką obszytej krawatce, gładko uczesana, z kwiatkiem we włosach, robiła wrażenie panny z dobrego domu.

Mówiono o niej, że jest sierotą, córką gimnazyalnego profesora, i że nieszczęścia familijne skłoniły ją do przyjęcia służby w kawiarni. Nie przykładałem wagi do tego opowiadania. Wiadomo, że legenda o sieroctwie, o familijnych nieszczęściach i t. d. jest zwykłą śpiewką bufetowych panien.

Tym razem jednak zrobił mi widok jej inne wrażenie. Uderzyła mnie poezya onego uczucia, które się malowało na jej wdzięcznem licu, i wyodrębniało ją niejako z zebrania, w jakiem się znajdowała. W tej atmosferze dymu i zaduchu, przy mdłem oświetleniu żółtych gazowych płomieni, pośród tego zgiełku i gwaru, mile spoczywało oko na tej twarzy, jaśniejącej szlachetnem upojeniem miłości. To tak dziwnie odbijało od wyrazu tych lic, na których w tej chwili grubsze jeno, zmysłowe żądze wyciskały swe poniżające piętno.

Gdym na nią patrzył, przyszedł mi na myśl ów rzadki talent, właściwy kiedy niekiedy kobietom, a pozwalający im chodzić po zbłoconym bruku tak lekko, iż nawet nie powalają trzewików.

Musiała mieć coś z tej lekkości w sobie ta dziewczyna, bo nie przylegało nic do niej z tej atmosfery dymu, gazu, rubasznych żartów i głośnego śmiechu, w pośród której wypadło jej pędzić życie. Zdawała się wypływać z niej jasna i czysta, tak jak księżyc kiedy się z chmur powodzi wynurza. A tak ją wyszlachetniał ów majestat kobiety, która kocha, że chociaż w skromnej roli służebnego dziewczęcia, zdawała się górować nad całem swem otoczeniem.

Istotnie piękną była w tem upojeniu, które rzekłoby się, iż na wskróś ją przenika i promieniuje od niej na zewnątrz — w jej głosie, który wezbrane tłumiło uczucie, w spojrzeniu, którem pieściła kochanka, w uśmiechu, którym się odśmiechała jego uśmiechowi. Niezawodna rzecz, iż dziewczę to kochało po raz pierwszy w życiu, że kochało gorącą, bezinteresowną miłością, i że temu uczuciu całą oddało duszę.

Mile wzruszony przypatrywałem się długi czas temu wdzięcznemu obrazkowi, którego widok w tem miejscu był dla mnie niespodzianką. Opanowała mnie owa błoga rzewność, jakiej doznajemy, przypatrując się kwiatkowi co rozkwita, lub wsłuchując w śpiew rozkochany słowika. Bo i czemże jest miłość, czemże pieśń co z serca płynie, jeżeli nie rozkwitem duszy!

I nie mogłem oczu oderwać od tej uroczej sielanki, której za tło służyły żółte gazowe światło i obłoki tytoniowego dymu. Wreszcie zbudził mnie Grabiec z zadumy. Wyszliśmy więc, ale wrażenie, jakiego doznałem, utkwiło mi w pamięci. I długo jeszcze długo potem stali mi przed oczyma ci dwoje, którzy dzięki żywości swego uczucia, umieli się tak całkiem oderwać od świata, i wpośród tego zgiełku i gwaru tętniącego dokoła, być we dwoje światem dla siebie.

* * *

Długi czas nie zaglądałem do kawiarni Józia, opuściwszy Lwów i przerwawszy moje dziennikarskie zajęcia na kilka miesięcy. Miło mi było porzucić tę syzyfową pracę, w którą tyle zwykliśmy wkładać nerwów, zapału i energii, a która ostatecznie i światu i nam samym przynosi tak mało pożytku.

Nawet — było to w r. 1866-tym — i porażka pod Sadową, która w tym czasie wstrząsnęła posadami habsburskiej monarchii, nie zdołała obudzić mojego zajęcia. Nie chciałem słyszeć o świecie, pijąc wszystkiemi porami wiejską ciszę i spo-

kój. Dla ludzi żyjących ciągle wśród trawiących wrażeń, ma niekiedy podobny żywot roślinny, urok osobny!

Wróciwszy do Lwowa, poszedłem pod »Trzy korony« na kolacyę. Zastałem tam Grabca i Filippiego. Przegawędziliśmy czas bardzo przyjemnie, rozmawiając o sztuce, o ludziach, o stosunkach, skutkiem ostatniej wojny zmienionych do niepoznania, wreszcie o tem, o czem najwięcej mówić zwykli młodzi ludzie — o kobietach i miłości.

Po kolacyi zaciągnął nas Grabek na czarną kawę do Józia. Wypadki, które tak ważne w świecie wywołały przeobrażenia, żadnej tu nie przyniosły zmiamy. Te same, tylko więcej od dymu pożółkłe tapety, te same żółtem światłem migające kandelabry, te same nad herbatą i ponczem pochylone rumiane twarze, ten sam jowialny profesor prowadzący rachunek preferansa, ci sami gracze śmiejący się do rozpuku z jego starych konceptów.

Grabiec przyłączył się natychmiast do towarzystwa grającego w preferansa; ja zaś i Filippi kazaliśmy sobie podać czarnej kawy i usiedliśmy opodal przy stoliku.

Przypomniała mi się sielanka, którą tu widziałem przed moim wyjazdem i zwróciłem oczy w stronę bufetu.

— *Dolorosa!* — zawołał Filippi, który spojrzeniem pogonił za mojemi oczyma.

I wyjąwszy z kieszeni notesik, począł skwapliwie rysować. W istocie trafiła mu się tu gratka nielada. Utalentowany rzeźbiarz nosił się z myślą stworzenia posągu »Żalu i boleści«; trudno było o model lepszy od tego, któryśmy w tej chwili mieli przed oczyma.

Była to ta sama dziewczyna, którą widziałem przed kilkoma miesiącami promienną szczęściem, lecz jakże zmieniona do niepoznania! Z białego lica spełzł ów rumieniec, który je niegdyś krasił. Oczy jej zamglone dawniej rozkosznem upojeniem, poglądały smętnie, lecz nie przed siebie, jeno — rzekłoby się — gdzieś w głąb, gdzieś do wnętrza własnej zbolałej duszy. Liljowy rąbek, który je okalał, świadczył o prze-

płakanych bezsennych nocach. Rysy jej twarzy wyciągnęły się i wydłużyły, przybierając ów wyraz ascetyczny, jaki widujemy na obrazach u męczennic.

Było coś nadzwyczaj szlachetnego w tym głębokim smutku leżącym na jej twarzy, około brwi ściągniętej lekko, w kątach ust opuszczonych nieznacznie ku dołowi. Tak, jak ją niegdyś wyodrębniało czyste upojenie miłości, tak samo wyodrębniała ją teraz boleść głęboko uczuta z pomiędzy rubasznego otoczenia, w jakiem się znajdowała.

Przypomniałem sobie niewysłowioną błogość, jaka się niegdyś malowała na jej licu i zadawałem sobie pytanie, czy rysy jej mogłyby jeszcze tym samym ożywić się wyrazem? Nie, nigdy!... Rachunek życia był tu już stanowczo zamknięty. Twarz ta świadczyła, iż serce jej zrosło się już z tą boleścią, i że ta boleść zamroczy całe jej życie.

Lecz jakiż był powód tego cierpienia? Odgadnąć to nie było trudną rzeczą. Wiedziałem, że miłość wypełniała duszę jej aż po brzegi, nie pozostawiając tam miejsca dla żadnego innego uczucia. Nie było wątpienia, że cios, który zranił jej serce, dotknął ją właśnie w tem kochaniu.

Tysiące zapytań stanęło mi teraz na myśli. Nie wiedziałem, co się stało z jej kochankiem. Pułk, do którego należał, opuścił Lwów, udając się na wojnę. Może więc zginął w bitwie, może zdradził zrozpaczoną i szydzi teraz z jej boleści, może całkiem zapomniał o niej, będąc daleko? Patrząc na biedną dziewczynę, podczas, gdy Filippi rysy jej kreślił, starałem się z twarzy jej wyczytać odpowiedź na to zapytanie.

Mógłbym był snadnie zaspokoić mą ciekawość, badając gospodarza, lub też ją samą. Wszakże była tylko służebną dziewczyną i nie śmiałaby się obrazić takiem natręctwem. Ale głęboki smutek wyryty na jej twarzy, onieśmielał mnie... Zdawało mi się, że brutalne podniesienie zasłony z jej tajemnicy, byłoby już rodzajem świętokradztwa.

A więc patrząc na tę biedną dziewczynę, o której tyle jeno wiedziałem, że dawniej była szczęśliwą, że nią teraz nie

jest i że nią już nigdy nie będzie, snułem w myśli historyę tego złamanego serca. I żal mi było tych łez wylewanych pokryjomu i mąk tej zranionej duszy, cierpiącej samotnie wśród kawiarnianego zgiełku i gwaru, bez jęku, bez skargi, której by nigdy nie zrozumieli rubaszni ludziska, w pośród jakich żyć jej przypadło.

* * *

— Königgrätz — zawołał jowialny profesor, wywołując tym konceptem huczne śmiechy dokoła. — Nie »Baranie rogi«, tylko Königgrätz! — powtórzył raz jeszcze, zadowolony ze swego dowcipu.

Dziewczyna drgnęła na te słowa; twarz jej zbladła jak opłatek. Podniósłszy rękę zakryłą nią oczy skwapliwie.

Chwilę siedziała tak, pogrążona w bolesnej zadumie, a kiedy dłoń odjęła od czoła, świeciła łza na jej rzęsie.

Ta łza wyjawiła mi jej tajemnicę.

W MAJU.

Im wunderschönen Monat Mai,
Als alle Blüthen sprangen,
Ist auch in meiner Brust das Herz
Vor Liebe aufgegangen.
Heine.

Spotykałem ją codnia na ulicy.

Było to w »miesiącu maju, gdy rozkwitają wszystkie pączki.«

Poranne słońce rzucało w długą szyję Marszałkowskiej ulicy złote promienie.

Prawa jej strona tonęła jeszcze w chłodnym cieniu, lewa wesoło uśmiechnięta, kąpała się w blaskach, od których tu i owdzie zapalały się szyby.

W głębi, tam gdzie jeszcze słońca nie dotarły promienie, nurzało się wszystko w błękitnej mgle, łagodzącej jaskrawą surowość świateł i ostrość linij, wydłużając tem samem perspektywę, otwierającą się przed okiem patrzącego. Ta mgła i to oświetlenie nadawały panoramie ów ton srebrny, który tak miłe i wesołe robi wrażenie w krajobrazie.

Ulica kipiała porannym ruchem — ruchem ludzi, kwapiących się do codziennych zajęć o wczesnej porze wiosennego dnia.

Co kilkanaście kroków mijać było trzeba kamienicznych stróżów, skrapiających bruk i chodniki. Kwiaciarki zajmowały swe uprzywilejowane stanowiska, wiążąc bukiety i układając je na wyszczerbionych fajansowych talerzach. Druciarze, szlifierze, kościarki i piaskarze wchodzili do kamienic, by obwołać swój proceder; tu i owdzie koło wystaw sklepowych, krzątali się handlowi pomocnicy, podnosząc z chrzęstem ciężkie żelazne zaluzye.

Wpośród tego tłumu, rozpoczynającego już swój trud powszedni, przesuwały się z tornistrem na plecach uczennice, dążące do szkół lub na pensye, zabiegliwe gosposie, zmierzające z koszykiem w ręku na targ po zakupy, szwaczki, magazynierki, panny sklepowe i nauczycielki, udające się do swych codziennych zajęć, wreszcie uczniowie, idący do szkół i urzędnicy lub kantorzyści, śpieszący tak jak ja, do biura.

Warszawa jest istotnie piękną o tej porze roku i dnia. Nie jest to już zima, z chłodnym, tęsknym kolorytem, a licznemi troskami i dolegliwościami; nie jest to jeszcze lato, nieznośne u nas skwarem i tą dusznością, która oddech piersiom odkrada.

Słońce nie rzuca jeszcze tych gorących promieni, których jaskrawe blaski tak niemile rażą oczy. Trawniki Saskiego ogrodu uśmiechają się świeżą, soczystą zielenią. W cieniu drzew, gdzieniegdzie światłem przesutych, wydzwaniają ptaszki pierwsze kuranty. Gdzieś z daleka, od pól zamiejskich, wieje lekki wietrzyk, mówiący o budzącem się życiu i nadziei. Wszystko dokoła chłonie w siebie z chciwością pierwsze wiośniane tchnienia; zewsząd zdaje się tętnić głos jeden: »Nareszcie!... Nareszcie!...

Wszelakoż to wrażenie swobodnego oddechu, zdwojonej chęci życia i otuchy, jakie w nas budzą pierwsze wiosny uśmiechy, najsilniejszem jest w Warszawie o wczesnej porze dnia. Nie widać jeszcze tych bladych, zmęczonych twarzy, których właściciele wlokąc przesyt swój i nudę z uciechy w uciechę, nie mogą już w życiu odnaleść żadnego czaru ni żadnej ponęty.

Ci, których się wtedy spotyka, to ludzie pracy, nie zepsuci do tyla, ani tak znękani troską, by prostych nie odczuwać rozkoszy. Dla nich jest ten piękny majowy poranek prawdziwą biesiadą.

Wszyscy spieszą do swych zajęć, wypoczęci, rzeźcy, pełni otuchy, wchłaniając w przelocie wiosenne tchnienia i słońca uśmiechy. A to, co w siebie wchłonią światła i powietrza,

i co im w głębi sklepów, biur i pracowni starczyć musi na zapas całodzienny, upaja ich i niesie, dodając im sił i otuchy, a bijąc niby luna z ich twarzy.

— Dziś, dziś! zdają się mówić ich oczy, witając ciekawie ten początek dnia, widziany jakby w chmurce nadziei. O z pewnością, dziś będzie jaśniejszem, weselszem i szczęśliwszem, niżeli wczoraj!

* * *

Na tle tej perspektywy i tego wczesnego ruchu widnieje mi postać jej w pamięci.

Była to smukła ośmnastoletnia może blondynka, o nader harmonijnych rysach twarzy, i czerstwej rumianej cerze. Oczy miała niebieskie, wesołe, długą przysłonięte rzęsą, a nad oczyma łuczastą, ciemną, owszem nawet prawie czarną brewkę.

Ta brew ciemna, kontrastująca z barwą jasnego jej i bujnego, popielato-płowego włosa, nadawała wdzięcznej twarzyczce jej niezwyczajną jakąś, w oczy wpadającą cechę.

Nie był to jednak urok, ani też niezwykłość jej powabów, które zwróciły mą uwagę. Niezawodna rzecz, iż była piękną, i że z sobą niosła jakąś woń młodości, czerstwości i ochoty. Ale o tej wczesnej porze spotyka się tyle pięknych, młodych twarzy, iż trudno jest wyróżnić się z tłumu. Zresztą spiesząc do kantoru, by uniknąć nagany surowego pryncypała, nie miałem czasu zastanawiać się nad wdziękami kobiet, które, zdaniem mojem, uwydatniają się dopiero po bliższem zbadaniu.

To, co mnie przedewszystkiem uderzyło, to była dziwna jej akuratność. Codzień pogoda czy słota, o dziesięć minut przed dziewiątą, spotykałem ją idącą chodnikiem po lewej stronie Marszałkowskiej ulicy. Spotkanie to było tak regularnem, że byłbym mógł według niego nakręcać zegarek.

Była w tej akuratności pewna pedanterya, która odpowiadała moim kupieckim instynktom i nie mogła nie wzbudzić mojego zajęcia. Wiedziałem, iż wyszedłszy z Saskiego ogrodu a minąwszy pałac Blocha, zobaczę niezawodnie gdzieś niedaleko

czarny jej kapelusik. Spotkanie to mogło nastąpić o kilkadziesiąt kroków bliżej lub dalej, lecz w każdym razie tylko na tej połaci pomiędzy Królewską a Zielonym placem. To była rzecz tak pewna, jak zamknięcie bilansu!

Rozciekawiała mnie tą skrupulatnością. Kto była ta dziewczyna, którą przypadek stawiał na mojej drodze? Nauczycielka, modniarka, czy panna sklepowa, trudno to było z jej stroju rozpoznać. Ubrana była skromnie, lecz schludnie i gustownie, bez owych zachcianek wykwintu, któremi się próżność zdradza, bez owych źle pokrytych braków, które świadczą o niedostatku. W ręku niosła zawsze słomiany koszyczek, a w nim prawdopodobnie kilka bułek i serdelków na drugie śniadanie. Niezawodnie była to więc jedna z tych pracownic, przykutych tak jak ja do taczki, i pracujących na chleb powszedni.

Codzienne te spotkania weszły teraz w program mojego życia. Miałem podówczas lat dwadzieścia trzy, i zajmowałem posadę niższego rachunkowego urzędnika w jednym z kantorów na Zielonym placu.

Z trzechset sześćdziesięcioma rublami pensyi rocznej, tyle wynosiły podówczas moje dochody, nie można wcale używać świata w mieście takiem, jak Warszawa; więc też wlokłem żywot bezbarwny i jednostajny, złożony z trudów i niedostatku. Dnie moje były tak do siebie podobne, jak te rubryki, które zapełniałem cyframi. Jedynemi ważniejszemi wypadkami były dla mnie kupno nowego kapelusza lub tużurka, na które długo trzeba było składać grosz do grosza, odmawiając sobie wszystkiego.

Obecnie wchodziła w bilans mojego dnia nowa pozycya. Wiedziałem najniezawodniej, że o dziesięć minut przed dziewiątą spotkam piękną blondynkę, i że widok jej rzuci na szare pasmo mych godzin promyk jaśniejszy. Pełen oczekiwania, lecz i pewności, szedłem na to spotkanie, ciesząc się z góry już nadzieją przyjemnego wrażenia.

Potem, gdym wieczorem wrócił do mej samotnej izdebki na Nowolipiu, odtwarzałem sobie w pamięci obraz pięknej nieznajomej, i rozpamiętywałem wszystkie jej zalety. Trzeba

albowiem wiedzieć, że na podstawie spostrzeżeń, jakie poczyniłem, urobiłem sobie pewien sąd o jej charakterze, i że wyobrażenie, które o niej powziąłem, odpowiadało najzupełniej mojemu ideałowi.

Akuratność jej była dla mnie rękojmią, iż moja nieznajoma musi mieć wysokie poczucie obowiązku. Skromność jej ubrania świadczyła, iż jest wolna od próżności, a schludność, będąca jedynym jej wykwintem, była dla mnie dowodem, iż lubi porządek. Szczera wesołość, opromieniająca jej twarzyczkę, mówiła mi, że piękna blondynka zadowoloną jest ze swego losu, a wyraz oczu, któremi zdawała się odśmiechać pogodzie majowego ranka, zdradzał umysł wrażliwy, pełen niewinnej prostoty. Niezawodna rzecz, iż to była kobieta, mogąca uszczęśliwić tego, któregoby pokochała! To były rzeczy dla mnie tak pewne, jak weksel na Rotszylda!

Weszła tedy nieznajoma poniekąd w moje życie. Codzienne moje spotkania się z nią usposabiały mnie do marzeń, a wnosiły w marzenia, które prządłem, nowy, nieznany mi dotychczas żywioł miłosnych rojeń, pragnień, tęsknot i nadziei.

Marzyłem więc o niej wieczorami w izdebce mojej, przy szumie samowaru, układając program mój według tego, co znałem z życia. Ożeniwszy się z nią, porzuciłbym ponurą moją izdebkę, i przeniósł się do innej dzielnicy miasta. Najęlibyśmy skromne jakieś mieszkanko: dwa pokoiki z kuchenką gdzieś na trzeciem piętrze; dla młodych nóg to nie za wysoko, zwłaszcza gdy się cały dzień siedzi przy pracy.

Okna musiałyby zwrócone być ku słońcu, a pełne kwiatów, któreby ona polewała co rana. Kupiłbym jej negliżyk i czepeczek z niebieskiemi wstążkami, taki, jaki widziałem przechodząc ulicą na głowie jakiejś młodej mężatki, polewającej kwiatki w oknie parterowego mieszkania.

O pół do dziewiątej zrana udawalibyśmy się oboje, każde do swego zajęcia. Wieczorem jabym przychodził po nią i wracalibyśmy razem do domu. W niedziele i święta bywalibyśmy

w teatrze: w dni pogodne robilibyśmy zamiejskie wycieczki... A potem... a potem!... Nie było końca tym tęczowym rojeniom!

Niestety, do urzeczywistnienia tych snów na jawie było strasznie daleko. Posiadając trzysta sześćdziesiąt rubli dochodu, nie można myśleć o założeniu rodziny. Spodziewałem się wprawdzie podwyższenia i awansu, ale to wszystko było jeszcze w dalekiej perspektywie. Trzeba było myśl o żeniaczce odłożyć na lepsze czasy.

Więc też nie starałem się zbliżyć do pięknej blondynki, onieśmielony tem poczuciem, iż nie mogę jej nic ofiarować, prócz nadziei. Niemniej jednakże czułem, iż miłość moja ku niej wzrasta coraz bardziej i bardziej, ogarniając całą duszę moją i wypełniając mi serce aż po brzegi.

I ona także zwróciła na mnie swoją uwagę. Rzecz prosta, dwie tak skrupulatne akuratności, nie mogły co dnia obok siebie przechodzić, nie odczuwszy się wzajemnie. Zdawało mi się nawet, jak gdybym w oku jej wyczytał coś podobnego do sympatyi, coś w każdym razie życzliwszego nad prostą ciekawość.

Być może, że to, co tam wyczytywałem, było tylko poszeptem próżności, chociaż prawdą a Bogiem, dlaczegóżby tak miało być koniecznie, dlaczegóżby nie miała o mnie roić tak, jak ja o niej roiłem?

Cokolwiekbądź pewną jest rzeczą, iż te codzienne spotkania się ze mną podrażniły jej ciekawość. Spostrzegłem, iż minąwszy cukiernię Sztengla, rzuca zawsze wkoło niespokojnem okiem, jak gdyby kogoś szukała i że się twarz jej ożywia, gdy się nasze spotkają wejrzenia.

Była widocznie zakłopotaną. Usta jej składały się do uśmiechu, a nie śmiała folgi uczynić serdecznej ochocie. A więc przygryzała wargi i rumieniąc się spuszczała oczy. Nie, to było zbyt zabawnem spotykać co dnia tego samego jegomości, zawsze na tem samem miejscu i o tej samej porze.

* * *

Wszystko szło więc dla mnie jaknajlepiej i byłbym powinien zbliżyć się do uroczego dziewczęcia, by zawiązać znajomość; stała jednak temu obopólna nasza akuratność na przeszkodzie. Mijaliśmy się pędem, śpiesząc każde w swoją stronę. Zaledwie sobie pozwalałem zatrzymać się chwilę i pogonić za nią oczyma, dopóki nie znikła w bramie Saskiego ogrodu. Prawdopodobnie była zajętą w którymś z magazynów na Niecałej lub Wierzbowej ulicy.

Tak minął cały maj i czerwiec, pozostawiając mi wspomnienie najszczęśliwszych chwil w mem życiu. W początkach lipca poprawiły się znacznie moje widoki: pryncypał wysłał mnie do Lublina, gdzie mi się udało załatwić znaczny i ważny interes. Powierzając mi tę sprawę, dał on dowód wielkiego zaufania do mej uczciwości; starałem się zatem wywiązać z otrzymanych poleceń jak najlepiej.

Gdym po dwóch tygodniach wrócił z podróży, podwyższył mi pryncypał odrazu pensyę na pięćset rubli, przyrzekając zarazem, iż w październiku na wyższą posadę z płacą ośmiuset rubli rocznie i gratyfikacyą w kwocie stu rubli przy rocznem złożeniu bilansu postąpię. Nie posiadałem się z radości; awans ten stawiał mnie odrazu u celu moich marzeń. Teraz można było już małżeńską kampanię rozpocząć.

Jakoż nazajutrz, wstawszy raniej niż zwykle, i ubrawszy się jak najlepiej, udałem się na Marszałkowską ulicę, z mocnem postanowieniem zbliżenia się bądź co bądź do mojej nieznajomej. Po drodze kupiłem prześliczną różę Niel, którą miałem zamiar wręczyć jej przy tej sposobności. Przyszedłem na miejsce naszych spotkań wcześniej niż zwykle i zacząłem tam i z powrotem chodzić po trotuarze, oczekując przyjścia uroczej blondynki i spoglądając co chwila na zegarek.

Czas płynął leniwo, a ona nie nadchodziła. Nadeszła i minęła chwila, w której zwykleśmy się spotykali, lecz daremnie wytężałem wzrok mój, rozglądając się dokoła: nie widać było ryżowego jej kapelusza. Tysiące obaw i przypuszczeń rozlicznych obsiadły teraz mózg mój i ściskały mi serce

srogim niepokojem. Może chora, może się przeprowadziła do innej dzielnicy, może nigdy już więcej jej nie zobaczę. Przy zajęciu mojem, pochłaniającem cały dzień, przy moim sposobie życia, było to możliwem. Gdzież jej szukać będę, jak i kogo o nią zapytam, nie znając wcale jej nazwiska!

Wreszcie uderzyła dziewiąta. Znękany chciałem się już udać do biura, gdy wtem zwrócił turkot niezwykły moją uwagę. Sam nie wiem, co mnie skłoniło do tego, iż w tę stronę spojrzałem. Był to szereg weselnych karet, podążających ku ulicy Próżnej. Ogłupiony żałością, która mnie gnębiła, przypatrywałem się bezmyślnie ślubnemu orszakowi, jadącemu do kościoła, gdy wtem w jednej z karet spostrzegłem twarz, przypominającą rysy mej nieznajomej. Przywołałem dorożkę i kazałem się zawieźć za ślubnym orszakiem, pragnąc się bądź co bądź przekonać, czy mnie nie omyliły oczy.

Niestety, to czego się obawiałem, było prawdą. Był to właśnie ślub pięknej blondynki, która rękę swą oddawała jakiemuś rzemieślnikowi. Zrozpaczony, wróciłem do biura, spóźniwszy się skutkiem tego zajścia po raz pierwszy i ostatni w mem życiu.

DWA SŁÓWKA.

Humoreska.

Przepędziłem dwa tygodnie u tych poczciwych Janostwa. Zacni ludziska! Karmili mnie, poili, myśląc jeno o tem, aby mi dogodzić. Chyba, że nawet już świętym w raju lepiej być nie może!

A jak mnie zapraszali, jak zatrzymywali! Już to prawda, że i ja sam nie bardzo się wyrywałem. Koniec końców, siedziałem tam dwa tygodnie, jak w niebie.

— Bodaj to mieć żonę — pomyślałem, wyjeżdżając. — Człowiek wtedy nie potrzebuje się kłopotać temi tysiącznemi drobnemi sprawami codziennego życia, które staremu kawalerowi tak zatruwają dolę.

Zaledwie oczy otworzysz, jest już kawcia i to z kożuszkiem, tak, jak ja lubię i świeże zawsze bułeczki i masełko... Chcesz się ubrać? Jest świeżutka bielizna, biała, jak papier, pachnąca; nie brak nigdzie guziczka ani tasiemki... Chcesz zapalić papierosa? Leżą już pod ręką, a obok nich zapałki i gazety, abyś je sobie, jeśli chcesz, przeczytał!

Jednem słowem, nie masz czasu niczego pożądać, bo zaledwieś pomyślał, jest... stoi już przed tobą. Masz, używaj!... A żona patrzy ci w oczy, czy ci smakuje, czyś kontent?... I pyta jeszcze z uśmiechem, koteczka: »A może ci mężusiu to, a może ci owo?... Słowo honoru daję, w czepku się chyba urodził ten Jaś; trudno sobie wymarzyć większe szczęście.

— A ja, żal się Boże — tak dalej myślałem, dojeżdżając do kolejowej stacyi — a ja?... Oto wracam teraz do Warszawy, do mojego kawalerskiego mieszkania na Chmielnej i nikt mojego przybycia nie wygląda, nikt się niem nie ucieszy, nikt

mnie nie powita... Powita mnie chyba stary lokaj, Józef, jeżeli przypadkiem nie pije w szynku. Wyjdzie do mnie zaspany i zły, żem go zbudził, bo jeśli nie pije, to śpi z pewnością!

Ciekawa rzecz, czy podczas mojej niebytności wietrzył futra, a trzepał meble i dywany, jak mu to poleciłem? Ale gdzie tam! Jeszcze się taki lokaj nie urodził, któryby robił to, co mu pan rozkazał, skoro mu nikt na palce nie patrzy... Niema wątpienia, że kurzu wcale nie ścierał, że pokojów nie przewietrzał, że bielizny do praczki nie oddał, że na ścianach pełno zastanę pajęczyn... Otóż to są przyjemności kawalerskiego życia!

Sam nie wiem, jak się to stało, że się dotychczas nie ożeniłem. Nie miałem do małżeństwa wstrętu, ani też do kobiet; o, nie, bynajmniej! Ale młodość przeszła mi, jak temu osiołkowi, co to mu w złoby dano, w jeden owies, w drugi siano. Ta była piękna, ta miła, owa dowcipna, tamta znów gospodarna; niepodobna było wybierać pomiędzy tylu doskonałościami!

Odkładałem tedy wybór na później, powtarzając sobie ciągle: Jeszcze czas, jeszcze czas! A lata płynęły dalej i dalej; minęła czterdziestka, bo nawet i do pięćdziesiątki już niedaleko. Włosy rzednieją na głowie coraz bardziej, coraz więcej zmarszczków rysuje się na czole i żołądek jakoś dokuczać zaczyna.

Jakby to dobrze było mieć teraz kogoś, któryby tak dbał o człowieka, kogoś, któryby go zapytał tak poczciwie a serdecznie: Co ci jest, czego ci brakuje?... Cóż, kiedy już zapóźno! Trzeba się stołować w restauracyi i zatruwać frytkami, a wróciwszy do domu, tęsknić w samotności, nie mając do kogo dwóch słów przemówić.

— Ej, czyż za późno? Wszakże mam dopiero lat czterdzieści pięć i jestem bądź co bądź przystojniejszym od djabła. Mam jaki taki fundusik i nie potrzebuję gonić za posagiem, Dlaczegóżbym nie miał znaleźć szczęścia?

Nie żądam żadnych nadzwyczajności, ale serca jakiejś poczciwej istoty, któraby chciała los mój podzielić i odpłacić mi przywiązaniem za przywiązanie.

No, a zdaje się, że byłbym wcale dobrym mężem, bo jestem z natury łagodnym i wyrozumiałym.

Najlepszym tego dowodem jest to, że trzymam od lat dziesięciu tego leniucha i pijaka Józefa przy sobie, przyzwyczaiwszy się do głupiej jego twarzy.

* * *

Te i tym podobne myśli plątały mi się po głowie, gdym dojeżdżał do stacyi w Koluszkach, rozmarzony ciepłem, jakie znalazłem u Janowstwa, zasmucony chłodem, pustką i samotnością, jakie mnie w domu czekały.

Na dworcu hałas, tartas, zgiełk, bieganina! Ledwie zdołałem bilet kupić i oddać pakunki, a już się ozwał dzwonek ostatni. Konduktor umieścił mnie w wagonie, gdzie już siedziała pani jakaś z małą dziewczynką. Chciałem się przesiąść do innego wagonu, by obecnością moją nie krępować jej swobody.

— O bardzo proszę, niech pan wsiada... Jest miejsca dosyć — zawołała, zbierając zabawki dziecka, porozrzucane dokoła i sadowiąc dziewczynkę obok siebie. — Ależ nie, i owszem — dodała skwapliwie, spostrzegłszy, iż się waham. — Pan zapewne palący i sądzi, że nie znoszę dymu... Otóż nie, przeciwnie!... Ja bardzo lubię zapach cygar i papierosów... Niech się pan tym względem nie krępuje, proszę, bardzo proszę!

— Uprzejmość pani wprawia mnie w kłopot prawdziwy — rzekłem, aby coś odpowiedzieć.

— Ależ nie! — odparła, śmiejąc się wesoło. — Czynię to we własnym interesie... Podróż wydaje się tak długą, gdy niema nikogo, komuby można dwa słówka powiedzieć... Człowiek potrzebuje towarzystwa, zwłaszcza w utrapieniu — dodała z westchnieniem. — Rozmawiając, zapominamy o tem, co nam na sercu cięży.

Spojrzałem na nią. Nie widać było strapienia na jej licu. Miała twarz czerstwą, rumianą, ożywioną dwojgiem czarnych

wesołych oczu. Usta jej kraśne, mięsiste, wilgotne, zdawały się uśmiechać do życia i pożądać uciechy. Podbródek okrągły i średnia, wcale nie rażąca tusza, cechowały kobietę zbliżającą się do czterdziestki — kobietę, która wprawdzie już kosztowała rozkoszy życia, ale jeszcze daleką jest od przesytu. Mówiąc prędko i dużo, szepleniła trochę i zwilżała co chwila usta języczkiem...

— Czy pan daleko jedzie? — zapytała, przerywając chwilową ciszę.

— Do Warszawy — odparłem.

— Za interesem?

— Nie, pani, mieszkam stale w Warsz...

— Niezawodnie z familią? — przerwała mi w połowie wyrazu.

— Ach nie — rzekłem z westchnieniem. — Nie mam nikogo... Jestem niestety kawalerem!

Poprawiła pulchną rączką grzywkę skwapliwie.

— Niestety? — odparła z uśmiechem. — Zdaje mi się, że nie ma nic straconego... Jest to nieszczęście, które można zawsze naprawić.

— Nie zawsze... Coraz trudniej... A jak się dojdzie do moich lat, to mimo szczerej ochoty, widzi się, że już za późno.

Spojrzała na mnie, przypatrując mi się badawczym wzrokiem.

— Bluźnisz pan — zawołała po krótkim przeglądzie. — Przecież pan nie ma więcej, niż czterdzieści lat.

— Czter...dzie...ści... pięć! — wycedziłem z naciskiem.

— No i cóż ztąd?... Wielkie rzeczy!... To właśnie najlepszy wiek... Zresztą nie wyglądasz pan wcale na więcej, niż czterdzieści... Jaka szkoda, że się nie znamy, bobym pana zaraz wyswatała.

Chciałem jej wymienić moje nazwisko, ale mi nie dała przyjść do słowa.

— O, bo ja wielką jestem apostołką małżeństwa. Może dlatego właśnie, żem tak szczęśliwą była w pożyciu z mężem, którego trzy lata temu straciłam — zauważyła z westchnie-

niem. — Została mi tylko po nim ta oto córeczka... Pójdź tu, moje dziecko, niech cię pocałuję! — dodała z czułością, zwracając się ku dziewczynce.

— Mamo, ciasteczka — rzekło dziecko, ośmielone pieszczotą matki.

— Nie, nie, nie dostaniesz już więcej... Zjadłaś już trzy, to dosyć; jeszczeby cię bolał brzuszek... To brzydko się napierać... Widzisz, ten pan, co tu siedzi, gniewałby się na ciebie, gdybyś się napierała.

Dziewczynka spojrzała na mnie szeroko otwartemi oczami.

— Ot lepiej połóż się spać — ciągnęła dalej matka, podkładając dziecku poduszkę pod głowę. — Spij, moje dziecko, spij — tłómaczyła onieśmielonej. — Ten pan cię za to pochwali.

— Dobra to, posłuszna dziecina — mówiła dalej, zwracając się ku mnie. — Cóż, kiedy to takie jeszcze małe!... Ani to człowieka zrozumie, ani to z tem pogadać... A to tak ciężko, tak tęskno żyć na świecie samej, utraciwszy takiego przyjaciela... Pan musiał znać mojego męża — dodała z zapytaniem w oku.

— Jak godność? — odparłem.

— Winnicki, Tadeusz Winnicki. Był urzędnikiem w Towarzystwie kredytowem miejskiem.

— Nie, nie miałem tej przyjem...

— Ach panie, co to był za człowiek — przerwała mi z żywością. — Jak go żałowali wszyscy ci, którzy go znali. Jak on dbał o mnie; to prawda, że i ja o niego dbałam, odgadując wszystkie jego myśli.

I zaczęła mi opowiadać o swym nieboszczyku mężu i o tem, jak mu dogadzała, piekąc dla niego ciasteczka i smażąc konfiturki, które miał lubieć namiętnie. Wkrótce dowiedziałem się, że jej mąż zostawił kamienicę na Hożej, na której posag jej został zabezpieczony, że się o jej rękę starało kilku młodych ludzi, że im dała odkosza, bo dzisiejsza młodzież ma tylko *fiu-fiu* w głowie, i że gdyby się ostatecznie namyśliła wyjść za mąż, to chyba tylko za człowieka poważnego,

za takiego, któryby mienia jej nie strwonił, a umiał ją kochać i szanować.

— Dlaczego mi ona mówi to wszystko? — pomyślałem. — Znamy się dopiero dwadzieścia minut, a ona mnie wtajemnicza we wszystkie swe stosunki... Przecież to nie bez kozery!

Spojrzałem na nią, pokręcając wąsa. Przypatrywała mi się z nietajonem upodobaniem.

— Hm, dziwna kobieta — tak dalej myślałem. — Gadatywus co prawda, ale to nic nie szkodzi. Lubię jak mi kto nad uszami terkocze, zwłaszcza, jeżeli ten ktoś jest kobietą i szepleni. Człowiek wtedy nie potrzebuje nic myśleć; patrzy tylko jak ten języczek chodzi, i słucha... Dziwna, dziwna kobieta! Jeżeli to prawda, co ona mówi, to wartoby szczęścia spróbować... A nużbym się jej podobał, ha, ha, ha!

Tymczasem terkotała dalej, nie dając mi umieścić jednego słówka w rozmowie. Opowiedziała mi, że wraca z Kieleckiego, od brata, który się niedawno temu ożenił, że bratowę swoją, wychowaną w Warszawie na pensyi, wtajemniczała w gospodarskie sekrety, że tam piekła ciasteczka, smażyła konfitury, robiła pasztety, nalewki i t. d. i t. d.

— Może pan zechce skosztować pasztetu na sposób strasburski — dodała, wyjmując z koszyka garnuszek, płótnem owinięty.

— Serdecznie dziękuję — odparłem, łykając ślinkę na widok ulubionego mi specyału.

— Ależ proszę, proszę — nalegała z uprzejmym uśmiechem. — Chciałabym wiedzieć, czy pan wielką znajdzie różnicę pomiędzy kupnym a domową robotą... Bo ten pasztet widzi pan, to moja duma, a te bułeczki, pieczone są także według mego przepisu... No, jest także i nalewka — dodała, wyciągając z koszyka sporą szampankę i kieliszek. — Nalewka na sposób litewski. Może pan słyszał o Estwojnach z Grodzieńskiego.

— Nie, proszę pani, nie słyszałem...

— Powiadają, że najlepsze sery, wędliny i nalewki bywały w ich domu — zawołała, wpadając mi w słowo.

— W istocie — rzekłem, pociągnąwszy hausta. — Ta tutaj świadczy, iż to najzupełniej zasłużona repu...

— Ależ pan żartuje — przerwała mi znowu — śmiejąc się wesoło... To moja mama była Estwojnówna z domu... nie ja... Zresztą nalewka tegoroczna tylko... Wzięłam ją od wypadku; może się zdarzy poczęstować kogoś w drodze... W domu mam inną, lepszą daleko — dodała z naciskiem. — Mam dziesięcioletnią jarzębówkę, którą istotnie mogłabym się pochwalić... Niechże pan weźmie więcej pasztetu; proszę, bardzo proszę!

— A to istny anioł nie kobieta! — myślałem, zajadając. — Co za pasztet, uuummm! Rozkosz prawdziwa!... I prosi mnie jeszcze gołąbka, żebym jadł i pił, a patrzy mi ciągle w oczy, czy mi smakuje... Uuumm!... Jakżeby mi nie miało smakować, kiady to takie dobre, a ona patrzy na mnie słodkiemi oczkami, i miele językiem bez przerwy: frrr, frrr!

Chciałem jej powiedzieć coś przyjemnego, ale mnie nie dopuściła do słowa terkotka. Ha, niechże sobie terkocze, ja piję i jem. I to jej widocznie sprawiało przyjemność wielką, bo się uśmiechała wesoło i raz wraz poprawiała grzywkę.

Powoli jednak, powoli, zaczęła mnie nalewka rozmarzać. Pot mi wystąpił na czoło; miałem wielką ochotę zawiązać głowę fularem, co zwykle czynię w podróży z obawy przed reumatyzmem, ale jakoś nie wypadało. Zresztą było mi całkiem dobrze, bardzo dobrze nawet! Oczy mi się kleiły do snu, a ona terkotała bez przerwy, i to mnie właśnie niby kołysało. Prostowałem się więc ciągle, aby nie zasnąć i patrzyłem na nią z życzliwym uśmiechem. Słowo honoru daję, anioł nie kobieta!

Dojechaliśmy tak do Warszawy. Ucałowałem jej rączkę pulchną, jak poduszeczka... bardzo lubię takie łapki — i wymieniłem moje nazwisko.

— Jastrzębski? — zawołała uradowana. — Czy pan nie jest kuzynem pana Stanisława Jastrzębskiego, buchaltera w Towarzystwie kredytowem miejskiem?

— Pradziadkowie nasi byli rodzonymi braćmi, ale oprócz tego łączy nas przyjaźń i szkolne koleżeństwo.

— Ach, jakże mnie to cieszy — odparła, rumieniąc się z widocznem zadowoleniem. — Żona jego, Zosia, jest moją najlepszą przyjaciółką... Dziwna rzecz, żeśmy się tam nie spotkali... To prawda, że dopiero pierwszy rok mieszkają w Warszawie... Niechże pan będzie łaskaw o mnie pamiętać: ulica Hoża, numer X.

— Nie omieszkam skorzystać z uprzejmości pani.

Wyszukałem jej dorożkę, zająłem się jej pakunkami i pożegnawszy jeszcze raz, odjechałem do domu.

— Anioł prawdziwy, nie kobieta! — westchnąłem, zasypiając. — Jakby to było przyjemnie, gdyby ona mnie tą pulchną łapką pogłaskała po brodzie... Uuummm!...

* * *

Spałem tej nocy, jak król. Śniło mi się morze z syropu i wyspy ze strasburskiego pasztetu. Strumienie nalewki płynęły, obracając koła młynów, które klekotały bez przerwy. Tylko że klekot ten pieszczotliwym był, jak terkotanie mojej nowej znajomej.

Zbudziłem się z tego snu dziwnie rozmarzony i smutny. Tak, jak to przewidywałem, nie wykonał Józef żadnego z moich zleceń. W pokojach woń stęchlizny i zamkniętego powietrza. Widocznie okien nie otwierał ani razu.

Na meblach pełno kurzu, na ścianach festony pajęczyn. Na mojem biurku niedopita flaszka wódki, okruchy chleba i niedogryzek kiełbasy. Hultaj uczty sobie wyprawiał w moim pokoju! Cały dzień strawić musiałem na robieniu porządków. Nie, tak dłużej trwać nie może żadną miarą!

Obiad zjadłem w restauracyi. Podano mi jakiś łykowaty kawałek mięsa i leguminę, po której mnie zgaga paliła całą noc. Jak to się człowiek truje w tych warszawskich restauracyach. Serce mi się krwawi na myśl o tych frykasikach, któ-

remi Jasiowa karmi swego mężusia. Nie, stanowczo ten tryb życia trzeba zmienić koniecznie! Trzeciego dnia otrzymałem list od pani Zofii. Wzywała mnie, abym ją w ciągu dnia odwiedził.

— Winszuję, serdecznie winszuję konkiety! — zawołała, witając mnie w progu. — Pani Winnicka zachwycona jest swym towarzyszem podróży... Mówiła, że dawno już nie spędziła chwil równie przyjemnych.

— Ależ pani chyba żartuje — odparłem nie dowierzając.

— Seryo mówię, całkiem seryo... Zachwycała się pańskim rozumem i dowcipem...

— Wcale z nią nie mówiłem... Nie wiem, czym miał sposobność dziesięć słów powiedzieć.

— No, ale ona mówiła za pana i za siebie — odparła, śmiejąc się wesoło. — Otóż w tem właśnie leży dowcip, żeś pan musiał słuchać... To nie każdy potrafi.

Roześmiałem się, ubawiony tą uwagą.

— Bądź co bądź, radzę kuć żelazo, dopóki gorące — ciągnęła dalej poważnie. — Babina zajęła się i to na seryo... A warto się pokusić: kobieta młoda jeszcze, przystojna, dobra i wesoła... Była żoną bardzo przykładną i kochającą, wyborna gospodyni; będzie panu dogadzała na każdym kroku... Przytem rzecz, która w teraźniejszych czasach ma także swoje znaczenie: pół kamienicy na Hożej, na której, oprócz Towarzystwa, niema ani jednego szeląga długu. Jednem słowem, trzeba korzystać z losu, skoro się fortuna uśmiecha... Ach, jakbym się cieszyła, gdyby małżeństwo to doszło do skutku, bo jestem przekonana, żebyście byli szczęśliwi.

— Dziękuję, bardzo dziękuję pani za dobre życzenie.

— Tylko się pan weź ostro do rzeczy: raz, dwa!... Idź tam jutro i oświadcz zaraz, że przybywasz w zamiarach... Emilka jest już przygotowaną... Mówiłam jej wczoraj dużo o panu, a możesz być przekonanym, że mówiłam jak najlepiej. Jesteście stworzeni dla siebie, więc co się tu długo namyślać?... Kobiety nie lubią tych, co się lękliwie biorą do rzeczy.

Zabiła mi ćwieka w głowę temi słowy. Więc ja się jej podobałem istotnie i to tak odrazu na pierwsze wejrzenie, proszę, proszę!... Mój Boże, człowiek nigdy nie wie, gdzie go czeka szczęście. Bo to przecież prawdziwe szczęście, spotkać na drodze swojej taką kobietę.

»Będzie panu dogadzała na każdym kroku« cały dzień mi w uszach brzmiały te wyrazy. W ustach czułem smak półgąsków, pasztetów i nalewek.

Nazajutrz wstałem rano, ubrałem się starannie i poszedłem do fryzyera. Kazałem sobie wąsy żelazkiem wyciągnąć i włosy podfryzować, tak aby zakryły trochę czoło, które z prawej strony zbyt wysokiem być zaczyna. Ogolony i wyświeżony wyglądałem nieźle. Wsiadłszy do dorożki, kazałem się zawieźć na Hożą i z bijącem sercem wszedłem po schodach na pierwsze piętro.

Z przedpokoju, na którego drzwiach widniał napis: »Emilia Winnicka«, doleciał mnie odgłos rozmowy, ale rozmowy prowadzonej tylko przez moją znajomą. Od czasu do czasu odzywał się jakiś głos męzki tuż koło drzwi, oraz zgrzyt klamki, którą gość widocznie trzymał w swem ręku.

— Jeszcze dwa słówka — mówiła moja znajoma.

I sypała, jak z worka słów tysiące i krocie, których związku nie mogłem pochwycić. Nie było wątpienia, że wdowa żegna kogoś, że się ten ktoś spieszy, że mu odejść już pilno, i że go jeno terkotanie pani Winnickiej do miejsca przykuwa.

Chwilę jakąś zatrzymałem się przy drzwiach, oczekując prawdopodobnego odejścia tego pana, z którym rozmawiała wdowa. Po chwili wydało mi się jednak, że to niestosowne i że widząc mnie pode drzwiami, mógłby ktoś pomyśleć, iż podsłuchiwałem rozmowę. Zszedłem więc na dół, by tam poczekać dopóki gość nie odejdzie.

Po kilku minutach uczułem w sercu coś podobnego do zazdrości. Gniewała mnie długość tej rozmowy, której końca nie mogłem się doczekać. Wróciłem więc na górę i pocisnąłem guzik od elektrycznego dzwonka. Drzwi się otworzyły i czło-

wiek jakiś podeszłego wieku wysunął się niemi skwapliwie, tak skwapliwie, iżby się rzekło, że ucieka. Przechodząc oblał mnie ciekawem i jak gdyby wdzięcznem spojrzeniem. Zdziwiłem się wielce, nie rozumiejąc, co to znaczy.

— Ach to pan — zawołała wdowa. — Jakżem panu wdzięczną, że pan o mnie pamięta... Proszę pana bliżej, bardzo proszę... Zastałeś mnie pan bardzo strapioną... Córeczka mi zachorowała. Ten pan, który ztąd wyszedł w tej chwili, to lekarz... Wezwałam go, będąc niespokojną o moje dziewczątko,

— Cóż to takiego? — zapytałem z współczuciem. — Jakże mi przykro, iż przyszedłem w tak niestosownej porze.

— Ależ nie, bynajmniej!... Niechże pan raczy siadać... To tylko mały katarek, nic więcej, jak mnie właśnie upewnił doktor... Bardzoby mi przykro było, gdybym z tego powodu utraciła przyjemność widzenia pana. Wezwałam doktora dlatego tylko, by się uspokoić, bo jak ktoś z moich choruje, to mi głowę nachodzą tysiące czarnych myśli... Niechże pan siada, bardzo proszę; Zuzulka śpi teraz w najlepsze, możemy swobodnie gawędzić — dodała, naciskając sprężynę elektrycznego dzwonka.

— Bogu dzięki, że to nic ważnego — rzekłem, siadając na fotelu. — Przeraziła mnie pani w pierwszej chwili, mówiąc o swem strapieniu... W oczach mi stanęło biedne dziewczątko, takie to miłe, takie sympatyczne, że...

— Rzeczywiście, bardzo dobre dziecko — przerwała mi skwapliwie. — Daje się lubieć istotnie.

I zwróciwszy się do służącej, która weszła w tej chwili, zaczęła jej coś szeptać w ucho.

— Tak, to dobre dziecko — jęła mówić znowu, nawiązując przerwaną rozmowę. — Pan nie uwierzy, jakie to sprytne; ma już swój sąd o rzeczach i ludziach. Jednych lubi, drugich nienawidzi. Pana polubiła na pierwsze wejrzenie... Pytała mnie już kilka razy, kiedy do nas przyjdzie ten pan, który razem z nami przyjechał do Warszawy.

— Czy podobna?

— O, tak! To bardzo dobra dziecina... Bywając u nas częściej, przekonasz się pan, że jakkolwiek matka, wcale nie przesadzam... — I zaczęła mi opowiadać o swej Zuzuli, wychwalając dowcip jej, tkliwość i delikatność. Nie mogłem słówka jednego umieścić w tej rozmowie.

Tymczasem wniosła służąca nalewkę, bułki, masło, wędliny; przybył tedy nowy temat do terkotania dla mojej gosposi.

— Niechno pan spróbuje tej nalewki... dziesięcioletnia; wszyscy chwalą ją bardzo... A do tego bułeczki z maselkiem, nie prawdaż?... Bo u mnie masło, proszę pana, to podstawa całej kuchni, a to, które w mieście sprzedają, to prawdziwa trucizna... Szyneczki, czy półgąska?... Jabym radziła półgąska, bo to podobno przy nalewce najlepiej smakuje... Niechże pan weźmie więcej, bardzo proszę. Mogę panu zaręczyć, że nie zaszkodzi wcale.

Terkotała tak bez przerwy. I nie mogłem nawet pochwalić tych przysmaków, chociaż istotnie były znakomite. Co usta otworzę, to mi je natychmiast zamyka, to nalewką, to szynką, to półgąskiem, to konfiturami. Uuummm, zacna kobieta! Należałoby jej przecie wdzięczność wyrazić, no i nareszcie przystąpić do rzeczy, tak, jak mi to radziła pani Zofia.

Uchwyciwszy tedy stosowną chwilę, robię wzmiankę o przyjemnych wrażeniach, jakie wyniosłem ze wspólnej naszej podróży. Ale zaledwie dotknąłem tego przedmiotu, a już go w lot porwała i nie wypuściła więcej z swej ręki.

To nie ja, lecz ona doznała przyjemnych wrażeń. Jestem jak dwie krople wody podobnym do jednego z jej wujów, którego kochała bardzo i który wiele podróżował po obcych krajach. Jak wpadła na ten temat, musiałem wysłuchać całej jego biografii.

* * *

Kilka razy jeszcze powracałem do tego samego przedmiotu. Zdawało mi się, że najskładniej będzie, wyszedłszy z tego punktu, zawiązać czulszą rozmowę i wynurzyć jej moje

zamiary. Ale gdzie tam! Nie było sposobu dwóch słówek umieścić! Zamykała mi usta opowiadaniem o ludziach, których nigdy nie widziałem, bo będąc panną podróżowała wiele po świecie.

— Ha, no — myślę sobie — czekajmy!... Może się przecież wygada. I założywszy ręce, przypatrywałem jej się ze zdziwieniem. Za rok cały tegobym nie wygadał, co ona w jednej godzinie. A jednak czekałem, jakiejś chociażby chwilowej tylko pauzy, by ją pochwycić i na raz, dwa, jak doradzała pani Zofia, powiedzieć, o co mi chodzi. Gdzie tam! Poprawiała tylko raz wraz grzywkę i terkotała dalej.

Wtem zabrzmiał głos dzwonka; w przedpokoju ozwał się szelest jedwabi, drzwi się otworzyły, i wpadła do saloniku z szumem i żywością jakaś upudrowana i wymalowana blondynka.

— Wpadam do ciebie na momencik, moja Emilko — zawołała ode drzwi. — Spotkałam Szczyglewicza; mówił mi, żeś już ze wsi wróciła i żeś go wzywała do Zuzuli... Byłam niespokojną, chciałam się osobiście przekonać co to jest — wyrecytowała jednym tchem, jakby się obawiała, by jej tamta nie przerwała mowy.

— Nic, nic, Bogu dzięki; mały katarek... Kochana, droga, jakżem ci wdzięczna za twoją troskliwość — odparła wdowa skwapliwie, całując przybyłą w usta. — Pan Michał Jastrzębski — dodała, zwracając się ku mnie.

Blondynka dygnęła pretensyonalnie.

— Nic, Bogu dzięki — ciągnęła dalej wdowa. — Mały katarek... Zdaje się, że to zmiana powietrza... Zuzulka przepędziła teraz dwa miesiące na wsi, więc odwykła od tych warszawskich zapachów... Ale że to moja jedyna pociecha, więc położyłam ją do łóżka i kazałam poprosić Szczyglewicza.

— Bardzoś dobrze zrobiła — wybuchnęła blondynka. — Troskliwość nigdy nie zawadzi, a z katarem nie można wiedzieć, na czem się to skończy... Córeczka Rzepeckiej zachorowała także dwa tygodnie temu na katar... Mówiłam matce, żeby zawołała lekarza... Gdzie tam, katar i katar!... Dziewczę

biegało po podwórzu i zaziębiło się gorzej... Katar spadł na piersi; teraz wezwali lekarza, który oświadczył, że to pleura. Ale à propos Rzepeckiej, czy wiesz, że brat jej rozwodzi się z żoną... Powiadają, że tam były jakieś historye z tym młodym inżynierem... jakże on się nazywa?... ten, ten, wiesz, któremu Broklinówna dała odkosza, dlatego, że za małą ma pensyę.

— Nie może być! A to skandal praw...

— No, ja nic nie wiem — przerwała blondynka. — Tak powiadają; dość na tem, że mąż podał o rozwód, a żona jego wyjechała do rodziców... No i jakżeś się moja najdroższa bawiła na wsi, bo ja się w Zoppot bawiłam wybornie... O nie, nie mój aniołku, serdecznie ci dziękuję. Wpadłam do ciebie tylko na momencik... Muszę się spieszyć, bo tam mąż niezadługo przyjdzie na obiad... No zresztą, jeżeli już koniecznie, to proszę cię o kilka wisienek... To wiśnie, nie prawdaż?

— Tak jest!... Z ogrodu mojego brata — zaczęła teraz wdowa, korzystając z pauzy. — Posiadają ogromny ogród; co tam owoców; możnaby smażyć całe lato i całą jesień... Tylko, że moja bratowa na niczem się nie zna, a więc ją wyręczałam; nasmażyłam soków, konfitur, powideł, dla nich i dla siebie... Robiłam nawet miód, wedle przepisu Ćwierciakiewiczowej, i nalewkę na mój sposób, a pan — dodała, wskazując mnie oczyma — który ze mną jechał z Koluszek i był łaskaw kosztować, powiada, że dobra.

Teraz zaczęły równocześnie terkotać. Jedna mówiła o pobycie swym na wsi, druga o podróży do Zoppot i ludziach, których tam widziała. Rzecz dziwna, terkocząc razem, rozumiały się wybornie, podczas gdy ja mogłem tę tylko zrozumieć, na której mowę zwracałem uwagę. W głowie mi się kręciło, jak gdyby w młynie. Zdawało mi się, że mam na karku olbrzymi kocioł, w którym się gotują powidła. Oszołomiony patrzyłem na ten turniej językowy, zadając sobie pytanie, która też z nich zwycięży? Wdowa podsuwała ciągle swej przyjaciółce to wiśnie, to agrest, to poziomki, w nadziei, że jej usta zamkie jakim przysmakiem; ta jednakże wietrzyła

podstęp i opierała się pokusie stanowczo. Mimo to, zwyciężyła wdowa. Czy to spiesząc się do domu istotnie, gdzie mąż, nie mogąc się gaduły swej doczekać, prawdopodobnie siarczystemi klął piorunami, czy też może wyczerpawszy już zapas nowinek, zerwała się blondynka, zapewniając, że musi do domu uciekać. W istocie było już późno; momencik trwał przeszło godzinę.

Ale wdowa nie myślała dać za wygraną.

— Jeszcze dwa słówka! — zawołała, przytrzymując rękę swej przyjaciółki; i stojąc już, zaczęła na nowo pytlować.

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego mi doktor, wychodząc, rzucił takie wdzięczne spojrzenie. Popatrzyłem na zegarek: Boże święty, wpół do czwartej! Siedzę już tutaj półtrzeciej godziny, a ta ciągle i miele i miele. O, nie głupim czekać odejścia blondynki. Chcąc tutaj dotrwać aż do chwili, gdy się ta sroka wygada, musiałbym sobie chyba łóżko postawić w salonie.

Zbliżywszy się tedy z ukłonem, podałem rękę gospodyni.

— Co, już pan odchodzi? — zawołała zdziwiona i jakby z nieukontentowaniem.

— Muszę, proszę pani, muszę... Mam bardzo ważny interes o trzy kwadranse na czwartą, a jest już pół do czwartej.

I kontent, że mogę nareszcie także dwa słówka powiedzieć, rzekłem jej:

— Żegnam panią!

— Uuummm!... Drugi raz już mnie nie zobaczy.

Biblioteka Główna w Kielcach

SPIS RZECZY.

Str.

Dyable wiano 1
Lisiarz 17
Drała 35
U »naszych« 47
Marcus Tullius Maruda 75
Przez jednę chwilę 97
Jak pan Pomeranc polował 109
Königgrätz 123
W maju 135
Dwa słówka 145

Wydawnictwa Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

w Krakowie.

	Złr.
Bałucki M. Nowelle: Głowa swoje a serce swoje. Pogrzeb przyjaciela. — Stara Kasia. — Panna Walerya. — Szpital waryatów	1·60
— Poezye, broszurowane złr. 1·20, oprawne . . .	2·—
Chmielowski Piotr. Nasi powieściopisarze, zarysy literackie. Treść: Józef Ignacy Kraszewski. — Michał Czajkowski. — Henryk hr. Rzewuski. — Zygmunt Kaczkowski. — Jan Zacharyasiewicz. — Teodor Tomasz Jeż. — Henryk Sienkiewicz	3·60
— Studya i szkice z dziejów literatury Polskiej. Serya I zawiera: Artyści i artyzm. — Sobótka. Ostatnie lata życia Jana Kochanowskiego. — Zapomniany poemat Wacława Potockiego. — Epopeja z czasów saskich. — Charakterystyka Ignacego Krasickiego.	
— Serya II zawiera: Pogląd na poezyę polską w pierwszej połowie XIX stulecia. — Kazimierz Brodziński. — Ballady Tomasza Zana. — Juliusz Słowacki Towiańczykiem. — Korespondencya Zygmunta Krasińskiego. — Józef Bohdan Zaleski. Cena obydwóch seryj	4·80
Chołoniewski ks. Stanisław. Kazania niedzielne i świętalne, 2 tomy, wydał ks. Jan Badeni	4·—
Gawalewicz M. Majster do wszystkiego. Zbiór nowel: Majster do wszystkiego. — J. Zyg. — Do Mimi. — Grajek z »Pod kotwicy«. — Filiżanka. — Ostatnia schadzka	1·20
— „O niej". Szkice i obrazki, 2 tomy	1·80
Hajota. „Błędne koło", Powieść	1·50
— Nowele: Ślubna obrączka. — Wymarzone spotkakanie. — Nemezys serca. — Czemu ciebie tu nie ma? — Ostatni kosz. — Przeciągnięta struna. — Kwiat paproci pana Leonarda. — Znaszli ten kraj?	1·50
Naganowski Ed. Hessy O' Grady, powieść oryginalna na tle stósunków obecnych w Irlandyi	1·20
Pułaski Kaz. Szkice i poszukiwania historyczne . .	1·60
Rapacki W. Do światła! Powieść z XV w.	1·40

Biblioteka WSP Kielce
0069074

A. M

Obrazki z życia.

Dziwactwo losu. — Marzenie i rzeczywistość. — Sztuka czy miłość. — Miodowa sielanka. — Alboż ja wiem? — Kosztem życia. — Przeznaczenie. — Niewierny Tomasz. — Skora do buntu. — Bóg zapłać! — Bez miłości. — Wart pałac Paca, a Pac pałaca.
Szereg 12 nowel znakomitej autorki, — wydanie wytworne, w 8-ce, str. 298. — Cena Złr. **2**.

Jadwiga z Wittów Korzeniowska.

NAD SIŁY.

Powieść, w 8-ce. str. 195, złr. **1·20**.

Tomasz Babington Macaulay,

Szkice i rozprawy historyczne.

Tłómaczył Stanisław Tarnowski.
Tom I, w 8-ce, str. 348, złr. **1·60**, tom II, str. 253, złr. **1·40**.

KAROL GIDE, Profesor Uniwersytetu w Montpellier.

Zasady Ekonomii społecznej

z 3-go wydania oryginału francuskiego przełożone,
pod kierunkiem redakcyjnym Profesora Dra Juliusza Leo.
8-o, str. 511, złr. **4**.

KONSTANTY GÓRSKI.
pułkownik piechoty, przedtem kapitan kwatermistrzostwa generalnego.

Historya piechoty polskiej

na podstawie nowoodnalezionych a nie zużytkowanych jeszcze zródeł,
w 8-ce, str. 272. — Cena złr. **2·60**.

J. N. Sadowski.

MIECZ KORONACYJNY POLSKI

„SZCZERBCEM“ zwany.
Z 2 tablicami i 12 rycinami w tekście, w 8-ce str. 60. — Cena **1·50**.

„Wieliczka“.

Prześliczne i bardzo wiernie wykonane zdjęcia całego podziemia, wszystkich hal i komnat Wieliczki. Widoki te, fotograficznie zdjęte, utrwalił w fotograwurze słynny Zakład artystyczny Paulussena w Wiedniu. — „W pracę tę wlał artysta całego swego ducha, tworząc album tak piękne, że oglądając je, nie wiedzieć co pierwiej podziwiać, czy wykonanie i prawie cudowne oświetlenie, czy też imponujące głębie i wyżyny, uwydatniające i charakteryzujące wnętrze kopalń Wieliczki“ — mówi jeden z recenzentów. Album, zawierające 10 widoków, każdy z podpisem w trzech językach, kosztuje w ozdobnej teczce Złr. **4**·—
Album, złożone z 20 widoków w teczce płóciennej Złr. **7·50**.